

TO  
JESUS CHRIST



Mariusz Szczygieł  
Zrób sobie raj



*Mariusz Szczygieł*

**Zrób sobie raj**

**Dla Gaygi, Krystyny Stolarskiej**  
**(1954-2010)**

## Zamiast wstępu

Marzyła mi się książka o moim ulubionym kraju bez napinania się. Żeby nie musiała odzwierciedlać, obiektywizować, syntetyzować.

Jestem niechlujnym czechofilem, ta książka nie jest kompetentnym przewodnikiem ani po kulturze czeskiej, ani po Czechach.

Nie jest obiektywna.

Nie rości sobie pretensji do niczego.

Jest wyłącznie o tym, co mnie zafascynowało przez ostatnich dziesięć lat, od kiedy pierwszy raz przyjechałem do tego kraju. Jest notatką z lektur i ze spotkań z ludźmi, których chciałem tam spotkać. Niektóre teksty ukazały się pierwotnie w „Gazecie Wyborczej”, ale do książki zostały przeze mnie przepracowane i rozszerzone o nowy materiał.

Mówiąc w skrócie - jest to książka o sympatii przedstawiciela jednego kraju do innego kraju.

Może jest jeszcze o czymś, ale to już zostawiam Państwu.

## COMING OUT

Przez całe lata, kiedy przychodziłem na jakieś przyjęcie, wiedziałem, że jeśli się ujawnią, to nie od razu. Mogłem rozglądać się godzinami i mój radar nie był w stanie ich wyczuć. Mogłem czekać i nic. Przy mnie nigdy nie przekazywali sobie żadnych znaków.

Jednak od kiedy publicznie się wyoutowałem, wielu już przy uściśnięciu mi ręki deklaruje, że też są.

Teraz już na wejściu obstepuje mnie grupka i: „Ja też!”, „Ja też!”, „I ja też!”. Nie zliczę, ile maili dostałem przez ostatnie lata z wyznaniem w stylu: „Cieszę się, że mogę do Ciebie przynajmniej pisać. Karol”.

Kiedy już się ujawnimy, z przyjemnością obserwuję, jak poprawia nam się od razu humor i rozluźniają mięśnie twarzy. Nawet wśród obcego i nieznanego otoczenia - pożądamy się.

Kiedy przez kilka minut przeżywamy odrobinę wspólnej przyjemności, od razu widać, czym dla nas, czechofilów, są Czechy.

Są jak deser, jak bita śmietana, jak polewa czekoladowa, której nie sposób się oprzeć.

Są tą częścią naszej osobowości, której nie mamy.

Tęsknimy do niej. Szukamy, ale w Polsce z widu powodów nie możemy znaleźć. Są jak kobieta dla drag queen.

Każdy z nas ma zaraz w głowie jakiś czeski dowcip, scenę z filmu lub zachowanie, które przytacza na dowód tego, jak Czesi się od nas różnią.

Mój kolega (Piotr Lipiński, reporter) pieści wspomnienie z gospody (Na Skałce, róg ulic Na Veselí i 5. května w Pradze), gdzie zobaczył mężczyznę, który siedział przy piwie ze swoim psem. On na krześle, pies na podłodze. Brodaty pan nabierał wskazującym palcem piany z kufla i delikatnie karmił nią szczęśliwego psa.

Mój znajomy (Józef Lorski, informatyk) pieści wspomnienie takiej scenki z Moraw: „Piekarnia, w której sprzedaje się pieczywo, słodkości, kanapki, a nawet placki kartoflane. Jedyna w tym sklepie sprzedawczyni, młoda dziewczyna, rozmawia głośno przez komórkę. Śmieje się, opowiada jakąś historię z poprzedniego dnia, tymczasem tworzy się coraz większa kolejka. Trwa to pięć minut, dziesięć, patrzę i czekam, aż się ktoś wkurzy. Ludzie cierpliwie stoją, a nawet się uśmiechają. Wreszcie sprzedawczyni kończy rozmowę i tłumaczy, że to była ważna sprawa. Na to klient z

uśmiechem: »Musiała pani wygadać chyba ze dwieście koron«. I nikt nie miał pretensji".

Moja znajoma z forum „Czechy” na [Gazeta.pl](http://Gazeta.pl) Mirka Hanczakowska pieści wspomnienie z Ołomuńca. Była w dość zaawansowanej ciąży i szła sobie wieczorem na spacer. Zobaczyła, że na końcu pasażu bije się grupa młodzieży. W Polsce - jak mówi - zawróciłaby, ale w Czechach nie przyszło jej to do głowy i bezrefleksyjnie szła wprost na walczących. A oni, widząc ją, przestali się bić, zrobili jej przejście, po czym zaczęli się tłuc dalej.

Ja pieszczę wspomnienie znad pisuaru (na stacji metra Plac Republiki w Pradze). Gdy podniosłem wzrok na ścianę, na wyblakłej, niebieskiej naklejce, przyklejonej tu jeszcze w ubiegłym wieku, widniał napis: PIELĘGNUJ CIE PRZYPADKOWĄ ŻYCZLIWOŚĆ I PIĘKNE CZYNY POZBAWIONE SENSU.

Czy gdzieś w świecie istnieje jakaś grupa cudzoziemców, która przechowuje podobne imponderabilia z Polski?

Żeby jednak nie ulec (łatwej u mnie) skłonności do mitologizowania i idealizacji, użyję teraz poglądu Oscara Wilde'a, że najbardziej nie lubimy ludzi, którzy mają takie same wady, jak my.

A więc dlatego uwielbiamy Czechów.

Bo to naród, który ma zupełnie inne wady.

## ZAPALIŁO SIĘ ŁÓŻKO

„Szanowny Panie Egonie Bondy, wielu Czechów jest przekonanych, że wymyślił Pana Hrabal. Ci, którzy wiedzą, że nie został Pan wymyślony, uważają jednak, że Pan nie żyje. W związku z tym proszę o spotkanie.

M. Szczygieł".

„Szanowny Panie Kolego, uprzejmie zapewniam, że żyję. Niemniej z powodów zdrowotnych, co Panu wyjaśnię osobiście, żyję dopiero od godziny czternastej. Proszę nie przyjeżdżać wcześniej, raczej dokładnie o czternastej lub troszkę później, wtedy będziemy mieć nieograniczony czas.

Pański Bondy".

Hrabal wymyślił go tak:

„Egon zawsze, kiedy stał w słońcu, wyglądał jak faun, który wynurzył się z cysterny z piwem, jasne włosy zawsze opadały mu wzdłuż uszu, a broda w blasku słońca wyglądała jak zalana jasnym leżakiem. [...] Vladimír, Bondy i ja tak bardzo lubiliśmy piwo, że gdy przynoszono nam do stołu po pierwszym kuflu, wprawialiśmy w popłoch całą gospodę, nabieraliśmy pianę w dłonie i nacieraliśmy sobie nią twarze, wcierając pianę we włosy, jak Żydzi, którzy smarują pejsy wodą z cukrem, a że przy drugim piwie powtarzaliśmy ten zabieg z pianą, świeciliśmy się i pachnieliśmy piwem na kilometr".

Egonem Bondym został tak:

Urodził się w 1930 roku i najpierw nazywał się Zbyněk Fišer. To nazwisko rodu czeskich młynarzy. Najwyżej zaszedł ojciec Zbyńka, ponieważ został oficerem. Zamieszkali w Pradze. Matka - niestety - nie pozwalała Zbyńkowi na żaden kontakt z innymi dziećmi. Prowadziła go do kawiarni, a raz w tygodniu do opery, gdzie do wojny mieli własną lożę. Nie znosił matki, nerwowej i nieźrównoważonej. Raz odpychającej go, raz „rzucającej się na niego z małpią miłością". Mówił, że kiedy umarła, gdy miał trzynaście lat, poczuł ulgę. Gdy poszedł do pierwszej klasy, doznał szoku, że na świecie żyje tyle dzieci. Jako siedmiolatek bez pamięci zakochał się w koledze z ławki (tak mówił o tym, kiedy miał lat siedemdziesiąt jeden). W chłopcu z wilgotnej sutereny, synu bezrobotnych rodziców. Zapraszał go do domu. „Bo mój

ojciec nie miał żadnych klasowych uprzedzeń". Dla ojca chłopca generalnie znalazł nawet pracę. Jak narodził się w Bondym marksista? Sam tego dokładnie nie wyjaśniał, ale może klucza trzeba szukać właśnie w postawie jego ojca.

Marksizm Egon Bondy pokochał na zawsze. „Marksizm - napisał - daje ludziom nadzieję, aby całkowicie nie wpadli w rozpacz, że czeka nas katastrofa, po której nie zostanie już nic”.

Pod koniec 1948 roku w Związku Radzieckim zaczęła się antyżydowska obsesja. Informacje o czystkach w szeregach komunistów doszły do Pragi.

- Dla nas, osiemnastolatków - mówił - to było szokujące. Trzy lata po Holokauście! Przecież komunizm budowali Żydzi, bo właśnie dla nich miał być najsprawiedliwszym ustrojem. Wszystkie narody miały być równe. No, tego po ZSRR się nie spodziewaliśmy! W powieściach Karela Čapka każdy bogaty Żyd nazywa się Bondy. Więc w ramach protestu ja, Aryjczyk, przyjąłem to nazwisko. I do dzisiaj się go trzymam.

Sławę zdobył jako Egon Bondy i za niego uchodził niemal we wszystkich sytuacjach.

Żebrakiem został tak:

Przestał chodzić do liceum, w lutym 1948 roku komuniści przejęli władzę i szkoda mu było czasu na szkołę. Zapisał się na szkolenie dla funkcjonariuszy Komunistycznej Partii Czechosłowacji i zaczął pracę w bibliotece Komitetu Centralnego. Partia potraktowała to, jakby skończył uniwersytet. W grudniu 1948 roku wrócił ze szkolenia do domu i zobaczył na stole kartkę od jakiejś dziewczyny, która chciała go poznać, zostawiła adres. Rano ją odwiedził. Drzwi otworzyła zaspana panienka, ale uchyliła je tylko na małą szparkę. Myślał, że chce się ubrać, a on ma czekać. Ona jednak zapraszała go do mieszkania, tyle że nie otwierała drzwi szerzej. Wcisnął się więc w szczelinę i zrozumiał: cały przedpokój zawałony był brudnymi naczyniami i niezliczoną ilością ubrań, dlatego drzwi nie dało się szerzej otworzyć. Tak samo w pokoju, toalecie, a nawet w spiżarni. Naczynia były z drogiej porcelany, dom pachniał likierem. Dziewczyna w nocnej koszuli nazywała się Jana Krejcarová, studiowała sztuki plastyczne. Mówili na nią Honza. Miała sporo ciała i była w szóstym miesiącu ciąży.

Wszedł do środka, a wyszedł dopiero po trzech tygodniach. „Bo bardzo potrzebowałem już nowej bielizny”.



Ich późniejszy wspólny kolega, poeta i malarz Ivo Vodsedálek opowiadał, że oprócz braku najmniejszej potrzeby utrzymywania porządku wokół siebie, Honza miała jeszcze gorszą przypadłość, która dla otoczenia kończyła się komplikacjami: nie znosiła być sama. Bondy wspominał, że liczba jej kochanek i kochanków szła w setki. Jeden z nich opowiadał, jak odwiedził Janę w domu. Oboje się rozebrali, a Honza go związała. Nagle do pokoju wszedł jakiś inny nagi mężczyzna, z którym ona poszła do łóżka. Na oczach tego związanego.

Żyła z Bondym osiem lat. Równocześnie żyła z jego kolegą, i to w sposób dla obu mężczyzn okrutny. „Jak tylko przespała się ze mną, zaraz dzwoniła po Černego, żeby natychmiast zajął w łóżku moje miejsce”.

Bondy uciekał od niej wiele razy. „Ale zaraz przyjeżdżała taksówką i mnie zabierała. Nie byłem w stanie się jej oprzeć. Mówiłem, że jej nie kocham, ale szedłem jak cielę na rzeź. Černý czuł się wobec niej tak samo bezbronny jak ja”.

Była córką Mileny Jesenskiej, dziennikarki i komunistki, znanej na świecie jako miłość Franza Kafki. Wychowana przez dziadka (Milena zginęła w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück), Jana odziedziczyła milionowy spadek, który wydała w rok. Miała potem pięcioro dzieci, ale tak je zaniedbywała, że trafiła nawet za to do więzienia<sup>1</sup>. Uciekała Černemu z Bondym, a Bondy'emu z Černým na całe tygodnie. Nie mieli co jeść. Ojciec Bondy'ego jako przedwojenny generał został pozbawiony przez komunistów wojskowej emerytury i nie mógł mu już dawać pieniędzy, poza drobnymi na tramwaj. Wyjechali za miasto, gdzie spali w jakimś hotelu robotniczym, a w dzień w Pradze żebrawali na nocleg. Jako nigdzie niepracujący nie mieli kartek żywnościowych. Dojadali resztki w barach, kradli ludziom pranie ze sznurów, rowery, wózki i natychmiast sprzedawali.

Potem cała kilkusobowa grupa okradała rodziców i znajomych (Krejcarová i Bondy byli nawet za to zatrzymani). Kupowali czeskie kryształy, które Egon przemycił, przedzierając się przez lasy do Austrii (granice uszczelniono na dobre w 1951 roku), a stamtąd przywoził nylonowe pończochy. Tylko raz Honza miała w domu porządek - kiedy mieszkanie było zupełnie puste, bo wyprzedawała wszystkie rzeczy i nie miała już co rozrzucić<sup>2</sup>.

---

1 Wiele lat później jako Jana Černá napisała o swojej matce fascynującą książkę, którą komunistyczne władze natychmiast po wydrukowaniu przeznaczyły na przymiał. Książka wyszła po polsku pod tytułem *Moja matka Milena i Franz Kafka*, Wydawnictwo Akapit i Od nowa, Katowice 1993.

2 Wszystko to Egon Bondy opisał w swojej książce *Pierwsze dziesięć lat*, która wyszła dopiero w XXI wieku i wielu uważało, że Bondy swoje ówczesne przygody zmyślił. Jednak edytor i badacz jego twórczości Milan Machovec zajrzał do teczek Bondy'ego, tworzonych przez Służbę Bezpieczeństwa i milicję. Teczki potwierdziły tak bogate życie filozofa na początku lat pięćdziesiątych.

Cały ten czas - co Bondy podkreśla - Honza uczyła go czeskich pieśni narodowych.

Poetą został mniej więcej tak:

Szybko zauważył niepokojące sygnały. Najpierw, że sławny pochód komunistów, który w lutym 1948 maszerował przez plac Wacława, za rogiem od razu rozbiegał się do domów, żeby zdążyć na wołowinę z knedlikami. Potem - kiedy zaraz po Zwycięskim Lutym Egon został referentem do spraw młodzieży w Komitecie dzielnicowym KPCZ - że nabór do partii odbywał się także nowymi metodami. Na przykład na biurku w jednym banku położono ankiety do wypełnienia, a obok nich pistolet i wszyscy się zapisali. Potem, że z planu wydawnictwa Girgala usunięto wszystkie pozycje surrealistyczne. Potem, że przestano grać jazz. Potem, że ludzie zaczęli się bać własnych spontanicznych reakcji. A w końcu, że jego partyjni koledzy przyjmują to wszystko bez mrugnięcia okiem.

- Nie należy ideologii bolszewickiej mylić z marksizmem. Nie mają ze sobą nic wspólnego - powiedział im wyraźnie i postanowił, że już nie będzie dla tego reżimu pracować.

- Mogę być tylko poza tym, absolutnie poza tym - oznajmił.

Poznał grupę młodych poetów surrealistów, którzy głównie rozmawiali o tym, kiedy Czechosłowację wyzwolą Amerykanie. Lgnął razem z nimi do guru czeskiego surrealizmu Karela Teigeo, wybitnego teoretyka sztuki, któremu komuniści szykowali proces, ale nie zdążyli, bo w 1951 roku umarł na zawał. Guru swoimi kolażami ze zdjęć - drogowskaz „Praga” potrafił na nich wyrosnąć z gołej kobiecej nogi, a blaty kawiarnianych stolików były pokryte damskimi sutkami - irytował władzę. W czasach Stalina ten typ wyobraźni nie miał prawa istnieć. Czescy surrealiści sami zresztą zrozumieli (jak określiła to jedna wielbicielka Bondy'ego), że surrealizm to teraz pokojowy kwiatek, który w klimacie kultu jednostki musi zwiędnąć.

Pierwsze wiersze Bondy'ego są więc o tym - jak sam mówił - że ZSRR to faszystowski reżim.

Gdy wszyscy pisali: „Z ust do ust leci / Imię, co jak słońce nam świeci / Imię, co słońcem się zaczyna / Imię Towarzysza Stalina” lub: „W krainie socjalizmu nikt się nie martwi / oto jest linia naszej partii”, Egon Bondy pisał tak: „Z delikatną ostrożnością pierdę, żebym się nie zesrał”.

Potem krytycy określili to jako sposób manifestacyjnego oderwania się od kultury oficjalnej, naznaczonej konformizmem.

Nurt fekalizmu, do którego należy także Bondy, przybliżyć mogę tak:

„W tekstach dojrzeć można naturalną reakcję zdrowego rozumu na obowiązkowe nauczanie w szkole oficjalnej, państwowej doktryny marksizmu-leninizmu. Podstawowe tezy fekalizmu (primo: Wszystko jest gównem, ergo secundo: Na wszystko się mogę wysrać, ergo tertio: Wszyscy mi mogą wylizać dupę), mogą brzmieć w swojej jawnie koprofagicznej formie jako wtórne i niezbyt innowacyjne. Ale w konkretnym okresie historycznym, kiedy były rozumiane jako antyteza rewolucyjnego optymistycznego światopoglądu partii rządzącej, mogły być zakwalifikowane w swojej antyspołecznej, antypaństwowej wymowie i kontrrewolucyjnej konsekwencji jako czyn zagrażający państwu i sprzyjający jego demontażowi.

Fekalizm eliminuje przemiany rewolucyjne i rozwój oraz własność środków produkcji, skupia się zaś na rozwoju stosunków międzyludzkich, które można zilustrować fekalistycznym obrotem srania. I tak epokę monarchii charakteryzowano jako stan, gdzie jeden srał na wszystkich, jednak rewolucja przyniosła zmianę: teraz wszyscy srali na jednego. Aż doszło do stanu współczesnego, kiedy wszyscy srają na wszystko. Z tego wywodzi się pesymistyczna prognoza, w której nie brakuje marksistowskiego wyczucia ekonomii, ale która stoi w przeciwieństwie do oficjalnie deklarowanej optymistycznej wizji komunizmu. Po zwycięstwie socjalizmu na czarnym horyzoncie spotykają się dwie ostatnie żyjące ludzkie istoty. Jedna z nich zwraca się do drugiej z prośbą: »Nie pożyczylbyś mi gówna, żebym mógł się wysrać?«<sup>3</sup>.

Prekursorem undergroundu dziewiętnastoletni Bondy został tak:

Postanowił, że nigdy nic oficjalnie nie wydrukuje. Z nowego systemu postanowił brać tylko to, co najniezbędniejsze, a jeśli to możliwe, w żaden sposób mu się nie przysłużyć. Honza Krejcarová, jej kochanek Egon Bondy i ich kolega Ivo Vodsedálek zaczęli w 1949 roku przepisywać swoje wiersze w kopiach na maszynie, kartki spinać i dzielić się nimi z zaufanymi. Pismo, które nazwali „Edice Sever”

---

3 „Fragmenty fekalizmu” opisał Vladimír Borecký (1941-2009) w książce *Druga strona humoru*. Był psychologiem klinicznym, filozofem i strażakiem. Także mistyfikatorem i powyższy fragment, jako fikcyjny wykład o fekalizmie, należy do tego nurtu jego twórczości. Do ciekawszych wykładów należy tekst o szkole czystego humoru bez dowcipu.

(Edycja Północ), jest dziś uznawane za jedno z pierwszych podziemnych wydawnictw. W wierszach ośmieszali Związek Radziecki i jego Boga - Stalina. W utworze *Do dupy Bondy* pisał:

„Wszystko do dupy przyjaciele / i w dzień powszedni i w niedzielę / Tylko filmowcy z Kraju Rad zgodnie z nauką widzą świat”.

Albo: „Dzisiaj wypilem dużo piw / Więc mnie nie chwyci żaden syf / I wyczytałem z »Rudego Prava« / że rośnie naszej partii sława”.

Vodsedálek ogłosił (ale po cichu), że jest to nowy gatunek poezji: poezja rozpaczliwa.

Gatunek wymagał odwagi. Za takie pisanie groziło co najmniej dwadzieścia pięć lat więzienia, a nawet kara śmierci. Jeszcze w latach siedemdziesiątych za opowiadzenie w gospodzie dowcipu o ZSRR pewien muzyk został wsadzony do więzienia na rok.

Honza pisała o czymś innym: „Nie w pupę dzisiaj nie / boli mnie to...”. W grudniu 1948 roku, po raz pierwszy w czeskiej literaturze, kobieca ręka napisała wiersze typu hard seks: „Pizdy szyje się na miarę / a krawcowi się mówi / Proszę dać mi tam jedwabną podszewkę / ale guzików proszę nie dawać / będę ją i tak nosiła rozpiętą”.

Po poezji rozpaczliwej Bondy postanowił ujmować świat w sposób surowy. Uświadomił sobie, że stalinizm przekreśla każdą metaforę. Powołał do literatury realizm totalny, z którego jest dumny do dziś:

- Napisałem to, co myślałem, w czasach, kiedy nikt tego nawet nie pomyślał, a już na pewno nie odważyłby się napisać.

„Czytałem właśnie doniesienie o procesie zdrajców narodu / kiedy przyszłaś / Po chwili się rozebrałaś / a kiedy się z tobą położyłem / byłaś jak zawsze fajna / Kiedy poszłaś / skończyłem czytać komunikat o ich egzekucji”.

„Nie musi się długo czekać / Radziła towarzyska w kolejce do Rady Narodowej / Jak znajdziecie mieszkanie po aresztowanym / Przydzielą je wam bez zwłoki”.

Z Hrabalem poznał się tak (w 1950 roku):

„Ktoś mi powiedział, że ten pan mi postawi piwo, więc poszedłem do niego na Libeň i Hrabal rzeczywiście mi piwo postawił”.

Z Hrabalem rozstał się tak (w 1954 roku):

„Któregoś dnia wstałem rano, to znaczy w południe, i miałem przed sobą swój normalny program - pięć spotkań z celem: napić się piwa, z Honzą, Hrabalem i innymi. I nagle poczułem, że nie chcę nigdzie iść. Usiadłem i napisałem do każdego krótki list, że przyjdę jutro. Ale jutro też nie przyszedłem. I od tego dnia nikogo z moich przyjaciół nie widziałem przez lata. Zostałem sam. Chodziłem do bibliotek, studiowałem buddyzm i taoizm. Chodziłem do knajp z zeszytem i ołówkiem w rękę i pisałem. Dzięki temu mogłem przemyśleć to wszystko, co potem złożyło się na moją pracę filozoficzną *Radość z ontologii*. Hrabala spotkałem po dziesięciu latach przypadkiem na ulicy. Na pogrzeb Honzy w 1981 roku pojechała moja żona Julia”.

Doktorem filozofii został tak:

Poznał swoją lekarkę rejonową. „Była jak królowa pszczół. Tego, kto jej zrobił dziecko, natychmiast porzucała. Tego, kto jej od razu dziecka nie zrobił, porzucała jeszcze szybciej. Dzięki Bogu, że nie miałem z nią stosunku”. Była miłośniczką filozofii Wschodu. Zaczęła go przekonywać, żeby zaczął studia. Załatwiła wszystko, co trzeba. Aby mógł chodzić do liceum dla pracujących, musiał się zatrudnić. Poszedł pierwszy raz w życiu do pracy. Został dozorcą wieloryba w Muzeum Narodowym. Pilnował trzydziestometrowego szkieletu i czytał. W wieku dwudziestu siedmiu lat Egon Bondy zdał maturę, a potem dostał się na studia filozoficzne.

W czechosłowackiej filozofii (pod prawdziwym nazwiskiem Zbyněk Fišer) zasłynął tak:

Napisał: *Kwestie bytu i egzystencji* (1967), *Radość z ontologii* (1967), *Budda* (1968). Był pierwszym, któremu udało się w Czechosłowacji w przystępny sposób wytłumaczyć filozofię Wschodu i porównać ją z zachodnią tradycją. Na początku lat dziewięćdziesiątych wyszło sześć tomów jego *Uwag do historii filozofii*. Na pytanie, jak się zostaje filozofem, zawsze odpowiadał, że się nim rodzi. Uważał, że jest to zdolność wrodzona, jak talent malarski, muzyczny czy literacki. Pierwsza wersja doktoratu (w którym zajmował się wymyśloną przez siebie ontologią niesubstancjalną) zawierała tyle wulgaryzmów, że jego profesor musiał poświęcić szukaniu odpowiednich ekwiwalentów słownych cały tydzień.

Od napisania pierwszej wersji tego szkicu usiłowałem znaleźć kilka zdań, które by oddały charakter myśli ontologicznej filozofa Zbyńka Fišera. Przeglądałem bryki, podręczniki, *summary*, zamówiłem nawet streszczenie jego myśli u znawców, ale

żadne ze zdań do tej książki się nie nadawało. Sądziłem, że ratunkiem będą wspomnienia przyjaciółki i dentystki Bondy'ego - Marii Klečackiej-Beyly. Przyjaźniła się z nim i jego żoną Julią prawie trzydzieści lat, niemal codziennie przychodziła do nich na Nerudovą 51 na Malej Stranie i rozmawiała z Bondym o filozofii. Pani stomatolog streszcza te filozoficzne rozmowy, niestety, w jej wywodzie nie znalazłem żadnego zdania na swoim poziomie. Zrozumiałem tylko jedno: „Zawsze zadawał nieprzeliczoną ilość pytań, odpowiedzi nie dał nigdy żadnej”, ale - jak wiadomo - w ten sposób rozczarowuje każdy filozof.

Dentystka świetnie za to opisała wygląd filozofa.

Bondy wyglądał tak:

„Na początku lat siedemdziesiątych doktor filozofii Fišer był nieproporcjonalnie otyły, średniego wzrostu, jednak miał harmonijnie zbudowane kończyny. Cieniutkie, gładkie, jasnokasztanowe włosy z zakolami nosił artystowsko dłuższe, jego uczesanie potocznie określa się fryzurą »na pazia«. Pod gęstymi brwiami, których najdłuższe włoski spontanicznie spływały na górne powieki, świeciły jasnozielone, ciekawe, niezwykle przenikliwe małe oczy. Miał długi, wyrazisty, lekko spiczasty nos i wąskie usta. Były one obramowane starannie zachowanym, filozoficznym zarostem, z czasem siwiejącym, o zmiennej długości. O szczękę nordyckiego typu, mimo moich ustawicznych ostrzeżeń, niespecjalnie dbał, czego później wielokrotnie żałował. Ręce, przeciwnie, jak na mężczyznę aż zaskakująco drobne, raczej przypominające kobiece, pielęgnował z widoczną troską; na lewym palcu serdecznym nosił wążiutką złotą obrączkę ślubną. Charakterystyczna sylwetka z zapadniętą klatką piersiową i wystającym brzuchem z biegiem lat nieodwracalnie utrzymywała się, a nawet można powiedzieć, że osuwała - nazywał ją sylwetką gotycką. Poruszał się powoli i cicho, bez gwałtownych ruchów i gestów. Tak samo też mówił, chociaż czasem z lekkim ożywieniem, które podkreślało powagę diskutowanego tematu. Nosił sprane koszule, znoszone swetry najdziwniejszych kolorów i powyciągane spodnie, najczęściej džinsy. Słynną częścią domowego stroju był tak zwany chałat, koc w czerwono-żółtą kratę, rozcięty na połowę i zszyty w ramionach z otworem na głowę. Na stopach, tak samo drobnych jak ręce, dokładnie rozmiar trzydzieści osiem, nosił przydeptane półbuty, po domu najróżniejsze pantofle, a zimą kapcie ze sprzączką”<sup>4</sup>.

---

4 Marie Klečacká-Beyly, *Vzpomínky malostranske*, Praha 2008

Papieżem undergroundu czterdziestoletni Bondy został tak:

Kiedy nie miał się gdzie podziać i co jeść, pakował się do szpitala psychiatrycznego. Miał na to swoje metody. Na przykład brał czerwoną lampę, jaką mieli robotnicy drogowi, wychodził na autostradę i krzyczał: „Morderstwo! Pomocy!”.

Potem już trafił na psychiatrię z powodu autentycznych wskazań medycznych. Przez wiele lat robił wszystko, żeby dostać rentę inwalidzką na głowę i za państwowe pieniądze oddać się tylko pisaniu. W szpitalu na początku lat siedemdziesiątych poznał Ivana Jirousa, zwanego Świrusem, młodego krytyka sztuki, który był duszą zespołu rockowego The Plastic People of The Universe. Świrus ukrył się w psychiatryku przed wojskiem. (Czechosłowaccy psychiatrzy zrobili dla podziemia sporo dobrego).

Plastikowi zwariowali na punkcie starych wierszy Bondy ego.

Powstali w Pradze w 1968 roku, dwa miesiące po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Bondy zaczął pojawiać się na ich nielegalnych koncertach, został idolem undergroundu. Pisał książki i powieści, które wydawane w nielegalnym obiegu, zachwycały. „Płodzimy dzieci dla piekła” - charakteryzował Czechosłowację po sowieckiej inwazji.

Jego teksty z lat pięćdziesiątych - „gówno upoetyzowane”, jak wyrażał się o nich sam autor - naruszały językowe tabu. Jego wierszyki idealnie nadawały się na szlagworthy („Pokojoy, pokojowy, pokojowy jak papier toaletowy”). W erze neostalinizmu lat siedemdziesiątych teksty Bondy'ego nabierały nowego znaczenia.

Młodzi muzycy skomponowali do jego tekstów muzykę monumentalną, co dawało porażający efekt. O mieszance rozpaczliwie brzmiących skrzypiec, nieumiejętności grania i free jazzu ktoś napisał, że nie ulega terrorowi podobania się.

Władza zarzucała im w telewizji i prasie obrzydliwą pogardę dla wartości. A także brak szacunku dla ludu pracującego.

Dla nich - jak mówili - teksty te były wołaniem, żeby żyć inaczej. „Może jest to śpiew myszy w labiryncie. Może dlatego muzyka Plastikowych tak różni się od rocka na Zachodzie” - pisał wtedy Jirous. Underground jako izolacja: nic wspólnego ani z władzą, ani z opozycją; opozycja jest przecież jakimś dialogiem z władzą. Od ich głośnego procesu sądowego rozpoczął się opozycyjny ruch antykomunistyczny, zwany Kartą 77.

Ich najważniejsza płyta (wydana w Kanadzie i przemykana do kraju) nosi tytuł *Egon Bondy's Happy Hearts Club Banned*, czyli Zakazany klub szczęśliwych serc

Egona Bondy'ego.

Pisałem o tym w poprzedniej książce, ale muszę powtórzyć, że najsłynniejszy hit Bondy'ego w wykonaniu Plastikowych brzmii (w udanym polskim tłumaczeniu) tak:

„Wczoraj rano przy niedzieli strasznie jajca mnie swędzieli”<sup>5</sup>.

Poezję Egon Bondy ujmował tak:

„a przecież istnieje różnica między streszczeniem *Iliady* a *Iliadą* / i dla tej przedziwnej różnicy / poeci codziennie wałą sobie konia”.

Jak się okazało, przyjaciółka dentystka przez trzydzieści lat ich przyjaźni unikała jego wierszy i powieści. Powód był jeden: obsceniczny język. Kiedy wyprowadziła się z Czech do Francji, napisała mu w 2003 roku list o jego (jak się konsekwentnie wyrażała) „*indecent words*”.

Bondy nie tolerował żadnej krytyki swojej twórczości, więc wpadł w szal. Odpisał, że przysyłając mu list z tymi anormalnymi poglądami, „srała, nie trafiając w muszlę”. Wykonał mrówczą pracę - na kilku stronach zaprezentował jej statystykę, ilu wulgaryzmów użyli w swoich książkach Hrabal, Topol i inni. („Było mi to obojętne, bo ich nie czytywałam”). Objasniał jej, że słowa rynsztokowe są już dawno nieodzowną częścią światowej literatury. (Choć mógł przyjaciółce zacytować swój wiersz: „Moje wiersze są zapewne wszystkim / tylko nie ogrodem poezji”). Wykazywał jej ignorancję i zacofanie. („Oba te moje braki w kontemplowaniu sztuki są dla mnie komplementem, ponieważ nigdy nie odczuwałam przyjemności z rozdeptywania łajna”).

Tym listem Bondy zerwał z nią znajomość na zawsze. Ważniejszy od lekarstw, pieniędzy i jedzenia, w które zaopatrywała Fišerów przez dziesięciolecia, okazał się brak zrozumienia.

Jedna z jego fiksacji prezentowała się tak:

Ponieważ skutek choroby miał usuniętą część odbytu, uważał za stosowne informować o tym niemal w każdym swoim dziele. A liryczno-dramatycznymi sprawozdaniami z wydarzenia, jakim było robienie przez poetę kupy, obdarowywał swoich gości bez pytania o zgodę. („Często miałam poczucie - napisała dentystka - że

---

<sup>5</sup> Więcej o zespole piszę w książce *Gottland*, w rozdziale *Życie jest mężczyzną*. Tłumaczenie wersu o jajcach - Andrzej Jagodziński; wiersz o *Iliadzie* pochodzi z przekładzie Anny Car (antologia *Czeski underground. Wybór tekstów z lat 1969-1989*, oprac. Martin Machovec, Wrocław 2008).



te reportaże z ubikacji są niegodne wielkiego ontologa"). Swoją analną fiksację tłumaczył ateistycznym i alternatywnym przejawem swojej religijności (powoływał się na Freuda), kiedy klozet staje się rodzajem świątyni czy ołtarza.

Słabości nie znosił tak:

„Nie jestem słaby - wybuchnąłem. - Nie jestem słaby, nawet gdybym łąził na czworakach. Mam dość tego nieustającego ponizania, którym Bóg podobno raczy nas uszczęśliwiać. Gdyby tak Bóg mógł być wyklęty - nie tylko przeklęty, co niczemu nie służy, ale konsekwentnie usunięty, anihilowany, zabity - gdzie bym wtedy był! Bowiem nie tylko mnie niszczy już trzynaście lat każdą prostą biologiczną przyjemność z życia, lecz także dla wszystkich byłaby to ulga, ściągnięcie jarzma, które waży tyle, że nie mamy siły wstać z kolan. Truizmem już jest powtarzanie, jak to dla takiej, stworzonej przez ludzką głupotę kreatury przelało się więcej krwi i było zamęczonych więcej ludzi, niż umarło śmiercią naturalną". (Z powieści-eseju *Piwniczna praca* z 1973 roku).

W 2004 roku wyszedł w Czechach komiks inspirowany tym dziełem. Młodzi twórcy wymyślili dla bohatera mnóstwo nowych sytuacji. Na przykład Bondy, który umarł przez pomyłkę, w prosektorium spotyka ciało Jezusa w koronie cierniowej. Przystaje i wygłasza nad nim takie zdanie ze swojej książki:

„Gdyby dożył osiemdziesiątki, tobyśmy chociaż przez chrześcijaństwo nie ucierpieli".

W Bratysławie sześćdziesięcioletni Bondy zamieszkał tak:

Pogłoska mówi, że wyprowadził się tam i przyjął słowackie obywatelstwo w ramach protestu przeciwko rozdzieleniu Czechosłowacji w 1992 roku. W rzeczywistości Uniwersytet imienia Jana Amosa Komeńskiego w Bratysławie zaproponował mu wykłady z historii filozofii. Przeprowadzili się więc z żoną Julią na zawsze.

Poznał ją w czytelnicy Uniwersytetu Karola, gdzie pracowała. Miał 33 lata, ona dziesięć więcej. Powtarzał, że Julia jest jedynym powodem jego życia.

Zmarła rok po przeprowadzce.

Ostatni raz z Hrabalem widział się tak (w 1995 roku):

Było to w domku letniskowym Hrabala w Kersku, widział to Tomáš Mazal

(biograf i przyjaciel H.). Bondy pocałował Hrabala w głowę i powiedział, że przyszedł się pożegnać na zawsze. Że Hrabal umrze, a on już z Bratysławy nigdy do Czech nie przyjedzie. „Co pan opowiada za bzdury” - powiedział Hrabal (zawsze mówili sobie na pan). „Jak tak na pana patrzę, to pan za rok w tej Bratysławie umrze. Ale ponieważ jest pan poetą z Pragi, do niej pan należy. Niech pan sobie zaraz znajdzie adwokata i go opłaci, żeby pana zwłoki po śmierci przewieźli do Czech, dlatego że z Pragi jest bliżej do nieba. Może się tam spotkamy<sup>6</sup>”.

Na nowe czasy Egon Bondy najpierw narzekał tak:

„Najgorzej jest rano i wieczorem / i w dzień / Kiedy śpię można wytrzymać” (zima 1992).

Potem mocniej: „Lustracyjna miłość i kapitalistyczna prawda zwyciężyły / a prości ludzie gdziekolwiek przyjdą / gadają w tramwaju i bufecie / że znów słyszą tylko nienawiść / i czytają kłamstwa [...] »Idziemy właściwą drogą!« / »Wybieramy prosperity!« / Swoich czy obcych kapitalistów?” (wiosna 1992).

„Wyprowadzili nas z fanfarami / na Drogę do Europy /a wyklula się z tego wycieczka do przeszłości / Wszystko do dupy a jednak promyczek: / co znaleźliśmy tylko z książek / widzimy na własne oczy”.

Co widzimy?

„Pięćdziesiąt procent z nas żyje poniżej minimum / (cytuje z zachodnich źródeł) / Spożycie spadło o jedną trzecią / (Główny Urząd Statystyczny)”.

Wiersz kończy. „Nie myśl o niczym innym / myśl o pieniądzach a znajdziesz sens życia / Tym kilku filozofom którzy są przeciw / daj w mordę - przecież to są tylko komuniści”.

Cały tomik o nowej rzeczywistości ma tytuł: *Bal upiorów*.

W dawnym reżimowym „Rudym pravie” drukuje w 1994 roku esej, w którym przekonuje, że „tradycja duchowa Zachodu zbankrutowała: kapitaliści przestali być klasą panującą, władzę nad całym światem przejęły finansowe oligarchie”.

Plotka o Egonie Bondym w Bratysławie brzmi tak:

Jako alterglobalista, między wykładami na uczelni, żeby na własną rękę odzyskiwać to, co ludzkość marnuje, przeszukuje śmietniki.

---

6 Bohumil Hrabal zmarł dwa lata później, wypadł lub skoczył z okna na piątym piętrze szpitala. Wyżej opisaną scenę znalazłem w: Tomáš Mazal, *Spisovatel Bohumil Hrabal*, Praha 2004

Z Egonem Bondym spotkałem się tak:

W mieszkaniu w centrum przyjmuje gości: młodych autorów i studentów. W drugim - większym, w blokowisku Petrzalka na peryferiach Bratysławy - odpoczywa i pisze. Jedziemy z moją współpracownicą do tego drugiego. Bondy dokładnie namalował plan i dopisał: „Domofon jest zepsuty, proszę krzyczeć”. Pokój z socjalistyczną meblościanką, zakurzony, pełen książek, przypadkowych przedmiotów. Niewysoki, brodaty pan w brązowym golfie, zachwycony wizytą.

- Podejrzałem, że pan żyje - mówię. - W związku z tym przywiozłem prezent.

Wyciągam fartuch kuchenny z ceraty. Zakładany na szyję i wiązany z tyłu. Kupiony w Tate Modern Gallery, specjalnie z myślą o Bondym. Jest szaro-biały, a z przodu ma naturalnej wielkości nagie męskie pośladki.

- Kurwa fix - wykrzykuje Egon Bondy - będę miał dupę i z przodu, i z tyłu!

(Justyna wiąże Bondy'emu troczek na plecach). Gospodarz staje wyprostowany na baczność i oznajmia:

- Teraz w nim będę wykladał filozofię. Obraca się w fartuchu.

- Jutro tak pójdę na uczelnię i wiecie, będę się zachowywał, jakby się nic nie stało, kurwa fix!

Egon Bondy przynosi wielkie szklane kufle, wypełnione aż po brzegi.

- Piwo i Hrabal... - nadmieniamy.

- Wiecie, że my w ogóle z Hrabalem i Vladimírkiem do knajp nie chodziliśmy?

- Właśnie, że chodziliście - wyjaśniam. - *W Czułym barbarzyńcy*.

- Hrabal wszystko zmyślił. Ale nie kłamał. Bo jemu się wydawało, że to wszystko naprawdę się wydarzyło. My głównie siedzieliśmy u niego w domu i rozmawialiśmy o filozofii. Zrobił ze mnie pajaca, prawda? Nigdy nie protestowałem.

- Dlaczego?

- Bo byłem postacią literacką. Postać literacka nie ma przecież nic do gadania.

Podnosimy wielkie kufle:

- O! To nie jest piwo!

- Do tych kufli wlewam od lat herbatę ziołową, chi, chi, chi, żeby wyglądała jak piwo, cha, cha, cha.

- A co z piwem?

- Trzydzieści pięć lat chodzę z nowotworem jelita. Noszę teraz taką torebkę na stałe i pod żadnym pozorem nie mogę pić alkoholu. Zresztą te wszystkie ablucje załatwiam do czternastej. Jak ktoś jest pozbawiony przyjemności biologicznych tyle

lat, to co mu pozostało? Tylko robienie sobie jaj.

- Napisał pan taki wiersz o swojej ojczyźnie, że gdyby jako Polak ułożył pan coś podobnego o Polsce, tobyśmy pana powiesili.

- Za jaja. A przetłumaczył pan na polski?

- Tak. „Czechy raczej mi nocnik przypominają / Zaś, Czesi w swej patriotycznej dumie uważają / Że jest on z lepszej porcelany / Bo moczem Masaryka był często zlewany / Praga leży w samym jego środku na dnie / Łatwo na nią wysram się dokładnie”.

- Chi, chi, chi. Cha, cha, cha. To jeden z najlepszych moich wierszy. To fragment eposu z 1954 roku i proszę sobie wyobrazić, że po każdej recytacji, czy to w 1960, 1970, 1980 roku, czy dziś, przychodzą młodzi ludzie i pytają, czy napisałem to niedawno, bo tak aktualnością uderza. I że tamte moje wiersze dobrze ilustrują XXI wiek. Odpowiadam im, że to teksty sprzed pięćdziesięciu lat, a oni nie mogą uwierzyć. Im się wydaje, że one mówią o obecnym reżimie. Ale nic dziwnego, przecież istota reżimu się nie zmieniła. Polski poeta by się do takiego wiersza z nocnikiem nie posunął, prawda?

- Nawet gdyby chciał, toby się raczej wstrzymał.

- Polacy ani Słowacy nie mają takiego odpowiednika w literaturze, bo wy macie swoją dumę narodową. Jeszcze Serbowie ją mają. A Czesi nie, Czesi bardzo źle mówią o swoim państwie. Ja długie wiersze pisałem, żeśmy kurwami godnymi pogardy - i nic. U nas nie ma tabu i żadna prowokacja nie wychodzi. Byłem na konferencji naukowej w Brnie, gdzie zeszła się śmietanka intelektualna, i wiedziałem jedno: możesz ich obrażać, a oni łykną wszystko. Ja ich obrzucam gównem, a oni cmok, cmok. Wziąłem tysiąc koron i publicznie spaliłem.

- Banknot?

- Tak, podpałem go, a salę ogarnęła cisza, wszystkim zabrakło tchu. Dorośli ludzie, *crème de la crème* i wszyscy: „Panie doktorze, to było fałszywe tysiąc koron, prawda? Nie było prawdziwe, tak?”. Tylko to ich interesowało. A fakt, że korona czeska - królewska waluta - jest profanowana, to nie?! Spalić, proszę pana, sto złotych w Polsce na konferencji, ooooo, to by była afera. Proszę pana, jak się jest członkiem takiego małego narodu, to jest to strasznie śmieszne. Ale jak się jest poetą takiego małego narodu, to jest już sto razy śmieszniejsze. Pan sobie potem oczywiście coś wybierze z tego, co ja mówię, bo czasem pieprzę<sup>7</sup>.

---

<sup>7</sup> Znalazłem opowieść o tym, jak Egon Bondy spalił banknot stukoronowy (artykuł *Chwała nieprzyzwoitości* Petra Pospíšila w „Novym prostorze” 353/2010). W marcu 1971 roku w teatrze Orfeus na

- Nie uciekł pan jednak na Zachód.

- Dlatego że mimo wszystkich potworności mogłem żyć tylko w Czechosłowacji. Miałem dylemat, czy nie wygodniej byłoby stać się pisarzem niemieckim. Gdybym pisał w Monachium czy jakimś Berlinie, dobrze opłacany za to, że piszę antysowieckie wiersze, nie byłoby to wtedy autentyczne.

- A co to znaczy być marksistą dzisiaj, bo pan jest nadal?

- To znaczy czekać.

- Na rewolucję październikową?

- Jako rewolucja marksizm zawiódł. Ale on się objawi. Za sto lat, tylko zupełnie innym sposobem niż dziś, technologie będą inne. Bogaci muszą stawać się ciągle bogatsi, biedni muszą być coraz biedniejsi - to jest ta cała globalizacja. Jakakolwiek humanitarna pomoc Afryce jest ekonomicznym przestępstwem. A mnie interesuje system, w którym by nie była...

(Egon Bondy opowiada o marksizmie nieradzieckiego i niemaoistowskiego typu prawie dwie godziny. Okno jest cały czas zamknięte).

- ...dla mnie globalizacja oznaczałaby równą szansę dla wszystkich narodów świata. Każdego dnia umiera 305 tysięcy dzieci z diagnozą lekarską: głód. Dorośli, którzy umierają na to samo, nie są liczeni. A 11 września zginęło w Nowym Jorku... O, przepraszam bardzo, dzwonek!

Egon Bondy wychodzi i wraca:

- To listonosz z rentą.

- A na czyje nazwisko przychodzi?

- Na Zbyńka Fišera. Ale podpisuję zawsze: „Przyjął Egon Bondy”. Wywalczyłem, że teraz nawet na poczcie głównej muszą to respektować.

Współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa został tak: (jest 15 marca 2004 roku i gazety czeskie oraz słowackie ujawniły niedawno, że siedemdziesięcioczeroletni

---

Malej Stranie w Pradze mężczyzna o piskliwym głosie recytuje swoje wiersze. Reaguje na wyrok, który zapadł w sprawie przeciwnika reżimu Petra Uhla i jego przyjaciół z Ruchu Rewolucyjnej Młodzieży. Publiczność słucha obelg pod adresem ludzi, którzy dostosowują się do wymagań reżimu. Autor wyśmiewa ich wartości: pieniądze, pracę, pragnienie potomstwa, samochody, wille. Przy słowach: „Macie tu swoją świętą stukoronówkę, którą zaoszczędziłem ze swoich sześciuset koron renty” wyciąga sto koron z rysunkiem wieśniaczki i robotnika i podpala. Jiřina Šiklová (socjolożka, która po wystąpieniu z Komunistycznej Partii Czechosłowacji w 1969 roku ma prawo pracować tylko jako sprzątaczką w szpitalu) siedzi wśród publiczności i krzyczy: „Zbyńku, to jest niszczenie pieniędzy, za to cię mogą zamknąć!” Poeta jest w transie i nie słucha. „Tu macie moją dupę - recytuj dalej - możecie sobie tam wszyscy wejść” - i wystawia publiczności goły tyłek. Spalenie banknotu w Brnie, o którym mówi Bondy, może być prawdą, ale i wymyśłem na potrzeby rozmowy z dziennikarzem z Polski. Znamca życia i twórczości Bondy’ego oraz edytor jego dzieł Martin Machovec mówi, że o tej konferencji w Brnie nigdy nie słyszał.

Bondy był agentem. Potwierdził to w najpoważniejszym czeskim tygodniku „Respekt”).

Werbowali go trzy razy. Pierwszy - w 1961 roku, kiedy studiował filozofię. „Mój pogląd na ZSRR był negatywny - wyjaśnia tygodnikowi - ale za jeszcze większe zło uważałem międzynarodowy imperializm. Jeden kolega na studiach powiedział, że zapisał się do koła myśliwskiego, żeby dostać pozwolenie na strzelbę, i czeka tylko na to, że będzie walczył z bolszewikami. Drugi z wielkim zapalem mówił mi o szopie, gdzie ma maszyny do rozwinięcia kapitalistycznego biznesu. Jak tylko komunistów się powystrzela”.

Uwagę Bondy'ego zwrócił odczytany student, z którym się zbliżył, a który zdradził mu, że dorabia sobie w SB.

Bondy, jak twierdzi ów student, sam zaproponował im współpracę. Z akt wynika, że donosił, jaką literaturę zachodnią czytają koledzy i kto ma inklinacje religijne. Na pytanie dziennikarza, czy tym samym ich nie krzywdził, mówi: „Zaraz, jeśli ci ludzie naprawdę mieli zamiar odbudowywać u nas kapitalizm, było mi obojętne, czy spotka ich jakaś krzywda”.

Kiedy skończył studia, SB go zostawiła. Zjawili się wiele lat później. Chcieli, żeby donosił na swojego przyjaciela, opozycjonistę. „Musiałem podpisać zobowiązanie, bo grozili, że skrzywdzą moją chorą wtedy żonę”.

Jednak wielu jego znajomych przyznaje: Bondy, żeby nie donosić, przestał kontaktować się z ludźmi. Zniknął. Zgłaszał się do szpitali psychiatrycznych i tam szukał azylu. On sam mówi: „Wiedzieli już, że od jałowej krowy mleka nie dostaną”.

Tyle z prasy.

Jego przyjaciel, a nasz znajomy, poprosił przed tym spotkaniem, żeby nie poruszać tego tematu. Że Bondy nie chce już o współpracy rozmawiać. Wyjaśnił raz i wystarczy. Po tym, co przed chwilą wyszło na świat, nie udziela już wywiadów. Na ten („dla zagranicy”) zgodził się pod warunkiem, że nie będziemy go dręczyć.

Nie dręczymy.

W 1997 roku ukazały się *Zapiski Świrusa*. Zawierały zaskakujące wyznania. Ivan Jirous po procesie The Plastic People przeczytał protokoły zeznań Bondy'ego. Bondy jako jedyny zdradził przesłuchującym wszystko, „a nawet więcej”. Jirous nie miał słów na jego zdradę. Miesiącami obmyślał w więzieniu list, który mu napisze o „intelektualistach, mocnych na papierze, a robiących w portki nie tylko przy pierwszym policzku, lecz także już przy pierwszym tupnięciu esbeckim butem”.

Spotkali się dwa tygodnie po wyjściu Jirousa z więzienia: „Tylko się objęliśmy, o liście zupełnie zapomniałem. Przecież Bondy żył w tym świństwie piętnaście lat dłużej, zaliczył lata pięćdziesiąte, kiedy ja byłem dzieckiem. A to tak, jakby był starszy o pięćset lat”.

I dalej: „Był to przejaw mojej pychy, że nie wybaczyłem mu zaraz przy czytaniu tych protokołów. Przecież w Ewangelii jest napisane, gdy pytają się: ile razy mam odpuścić swemu bratu? Siedem? Odpowiedź brzmi: nie siedem, ale siedemdziesiąt siedem razy”.

- Więc jak pan widzi, żyję - kłania się w pas Egon Bondy na klatce schodowej. - I bardzo przyjemnie mi było pana o tym zapewnić.

Egon Bondy nie żyje. Zmarł 9 kwietnia 2007 roku. Jego piżama zapaliła się od papierosa, kiedy usnął.

Największy czeski dziennik „Mladá fronta DNES” na swoim portalu internetowym napisał o zasługach filozofa i o tym, że nie miał telefonu, radia ani telewizora, bowiem całe życie walczył ze społeczeństwem konsumpcyjnym.

Artykuł o jego śmierci zatytułowano *Śmiertelny papieros w łóżku Bondy'ego*. Pod informacją dodano „linki związane z tą wiadomością”:

„Łóżka - szeroki wybór on-line”.

„Szukacie łóżka czy materaca? Tysiące ofert tutaj!”.

„Raj łóżek”.

## WYROZUMIAŁOŚĆ

Chciałem spytać o coś pisarza Pavla Kohouta.

Swoją powieścią *Kacica* - akcja dzieje się w szkole dla katów, gdzie uczniowie uczą się katowania nowego typu - Kohout tak zdenerwował władzę, że pozwoliła mu w 1979 roku wyjechać służbowo do Wiednia, po czym go już do socjalistycznego raju nie wpuściła. A zaraz potem pozbawiła obywatelstwa.

Pavel Kohout jest aktualnie właścicielem wspaniałego poglądu:

„Kapitalizm znowu popełnia stare błędy. Jest tak egoistyczny i okrutny, że na swoją zgubę hoduje socjalistów i komunistów”.

Dziś pisarz mieszka i w Austrii, i w Czechach, więc kiedy udało mi się go zastać w Pradze (17.08.2005), powiedziałem przez telefon, że chcę mu zadać tylko jedno pytanie. Zaproponował kawiarnię pałacu Mánes, który wyrasta prosto z Wełtawy, dokładnie naprzeciwko okien jego domu. Pavel Kohout ma tyle lat, co Mánes, wybudowany na rzece pod koniec lat dwudziestych jako centrum lewicowych artystów. Pałac wygląda jak bezczelna prowokacja wobec starych, wysokich, flirtujących z renesansem i gotykiem kamienic na Nabrzeżu Masaryka. Niewysoki, prosty, funkcjonalistyczny, bez ozdób, miał zgodnie z intencjami artystów informować, że świat, który nadchodzi, może być prosty, przyjazny i na miarę przechodnia<sup>8</sup>.

- Do jednego pytania będzie pasowała jedna woda mineralna - stwierdził, kiedy usiedliśmy przy stole. - Jakie to pytanie?

- Jak się w panu rodzi wyrozumiałość?

- A co pan ma na myśli?

- Wiadomo, że w aktach Służby Bezpieczeństwa znalazł pan nazwiska dwustu sześćdziesięciu trzech osób, w tym przyjaciół, którzy na pana donosili. Postanowili państwo z żoną nie ujawniać tych nazwisk i w żaden sposób nie odpłacać tym ludziom. Skąd ta wyrozumiałość?

- To dlatego - odparł bez zastanowienia Pavel Kohout - że jestem pisarzem.

- To ma znaczenie?

- Pisarz musi widzieć nie tylko czyn człowieka, o którym pisze. Pisarz musi

---

<sup>8</sup> Mánes - to nie tylko nazwa budynku (wzięta od nazwiska Josefa Mánesa, dziewiętnastowiecznego malarza, który projektował sztandary towarzystw patriotycznych), lecz także przedwojenne stowarzyszenie lewicowych artystów. W Pradze - głosi anegdota - całe lata debatowano, który dom jest najbrzydliwszy. Od kiedy wybudowano Mánes, dyskusje ustały.



widzieć życie tego człowieka dwadzieścia lat przedtem i dwadzieścia lat potem. Musi widzieć jego pradziadków, dziadków, rodziców, dzieci, wnuki i prawnuki. Musi go widzieć przed jego narodzeniem i po jego śmierci. Wtedy wszystko rozumie.

## POD NIEOBECNOŚĆ PANA HRABALA

Kiedy myślę o panu Hrabalu i o tym, co dał ludzkości, przychodzi mi na myśl słowo „oszustwo”.

Pan Hrabal nas wszystkich, proszę Państwa, oszukał. I Czechów, i Polaków, i Włochów też, bo jego książki są przez nich uwielbiane. Otóż pokazał nam, że wszystko, co nas spotyka, może być czymś cudownym. Cud zdarza się każdego dnia i nie jest inaczej. Głupie okazuje się u niego piękne. Pokraczne jest piękne. Podłe jest piękne (bo podłe jest z własnej pięknej głupoty i pięknej niedoskonałości). I oczywiście piękne też jest piękne.

I to oszustwo Hrabala na temat życia (przecież dobrze wiemy, że mało co jest naprawdę piękne) jest piękne.

Co więcej: to oszustwo jest potrzebne. Pożądamy go zwłaszcza Polacy, którzy na świat patrzą ze swoją wadą wrodzoną, bo w jednym oku siedzi nam etos, a w drugim patos.

Hrabal opisał na przykład bezwstydnie, jak sika w rogu podwórka w nocy, oblewając sobie buty - i było to piękne. Albo jak dostał od żony nową maszynę do pisania. I musiał ją wypróbować. I my wypróbowalibyśmy ją banalnie, a pan Hrabal - zachwycająco. Bo żeby tę nową wypróbować, starą maszynę przykrył pierzyną, aby nie była zazdrosna, że jest jej niewierny.

Patrzenie na księżyc. Nikt odczytany, naogładany nie powie, że patrzenie na księżyc jest piękne. (Od razu wyjdzie na jaw, że człowiek ten nie posiada kultury literackiej i jest wielbicielem Paula Coelho. Właściwie to go tak dyskwalifikuje towarzysko, że na przyjęciach mogą mu za karę wlewać rumuńskie wino półsłodkie zamiast burgunda, a „Elle Decoration” nigdy nie wydrukuje zdjęć jego mieszkania). A pan Hrabal by się tym nie przejął. On widzi rzeczy w zachwycie.

„Wszystko, co spotykam, jest silniejsze niż ja. Muszę potem dojść do siebie, oprzytomnieć. Nie tylko ludzie tak na mnie działają, ale choćby i księżyc w pełni, nie jestem w stanie na niego spojrzeć, najpierw muszę popatrzeć w lewo, potem w prawo, i dopiero wtedy, przejęty do głębi, spoglądam mu w oczy, i za chwilę przymykam powieki, tak jakby spojrzała na mnie piękna kobieta, o której wiem na pewno, że gdyby tylko mnie zagadnęła, zaraz zacząłbym mówić od rzeczy. Z trudem dochodzę potem do siebie”<sup>9</sup>.

---

9 Za: *Drybling Hidegkutięgo. Z Bohumilem Hrabalem rozmawia László Szigeti*, przeł. Aleksander

(Różnica między nami a panem Hrabalem polega na tym, że wszystko, co spotykamy, przeważnie jest słabsze niż my).

Ja ostatnio spotykam niemiłe sytuacje. Kiedy tylko coś pozytywnego o Czechach napiszę do naszych gazet, zaraz dostaję przynajmniej jeden mail z opisem przykrego przypadku. Proszę bardzo:

W restauracji, która kiedyś była ulubioną restauracją tłumaczy literatury, podają czeską wodę mineralną za 35 koron, w rachunku wpisując francuską za 135. Kiedy gość się zorientuje, każdy kelner zawsze tłumaczy się tak samo: „Pracuję tu dopiero pierwszy dzień”.

W gospodzie, gdzie sławne piwo wytwarza się od 1499 roku, gdy goście nie znają czeskiego, nie są w stanie zorientować się, że kelnerzy przemawiają do nich pieszczotliwie: „Piwko dla ciebie, głupolu, kretyniátko ty jedne...” Przy wejściu podają kieliszek becherovki i goście, zachwyceni takim bonusem na początek, wypijają, by dopiero na rachunku zobaczyć, że ma on swoją cenę. Kelner przy rozliczeniu chętnie wyjaśni: „Mam dwoje dzieci do wyżywienia, a pan by chciał, żeby ta becherovka była za darmo!”.

W kawiarni, która mieści się w pałacu zbudowanym przez dziadka prezydenta Havla - naprzeciwko wiszącego u sufitu świętego Wacława - do dwóch wypitych win doliczyli trzecie. Na protest gościa barman odpowiedział: „Polibte nám prdel”. (Gość nie znał czeskiego, ale zapisał sobie to zdanie, żeby sprawdzić, co to znaczy. A znaczy: „Niech nas pan w dupę pocałuje”).

Więc od kiedy sławie Pragę, takich informacji od zrobionych w konia cudzoziemców mam setki.

I to nie są incydenty, proszę państwa! To jest już przemysł!

Mnie zrobili na szaro w centrum z siedem razy. Ani razu za to nie zdarzyło mi się być oszukany na Žižkowie, gdzie niby jest więcej spelun. Od strony psychologicznej to rozumiem. Nawet w kraju, którego mieszkańcy uchodzą w zbiorowej świadomości Europy za ludzi o gołębih sercach, agresja podlega niezmiennemu prawu hydrauliki. Musi gdzieś wybić otwór i wypłynąć. Nawet w społeczeństwie, które stworzyło urocze zdrobnienie dla słowa „spokój”, a uporczywym jego powtarzaniem w różnych sytuacjach przydaje stanowi spokoju szczególnego znaczenia<sup>10</sup>.

Kaczorowski, Świat Literacki, Izabelin 2002.

10 „Spokój” to *klid*, ale jest też *klidek*. W języku czeskim zdrobnienie ma też słowo „miejsce” *místo* na *místeczko*. Kiedyś w gazecie przeczytałem o „kosmosiku” (*vesmírek*). Niekiedy Czechom wyjaśniam, że w Polsce od tych słów zdrobnień nie mamy, bo każde społeczeństwo zdrabnia to, co chce obdarzyć czułością. My w

Jeśli kultura czeska jest piosenką, to jej refren zawsze ma słowo „spokój”: „Proszę spokojnie poczekać”, „Proszę spokojnie spróbować”, „Proszę spokojnie napisać”, „Tylko spokój...” Absolutnym władcą refrenów jest określenie „spokoik” (komputer przy każdej okazji poprawia mi je na „pokoik”).

Jednak nawet w spokoiku i nawet wśród ludzi, którzy rzadko podnoszą głos (więc kiedy ktoś wydziera się na czeskiej ulicy, najprawdopodobniej jest Anglikiem, Włochem lub Polakiem), agresja nie może nie istnieć. A że jest aktorką, potrafi wcielić się w różne postaci i tak oto w jednej z nich objawia się w praskich knajpach.

(Znam to jej aktorstwo, bo mój psychoterapeuta udowodnił mi, że jestem bardzo miły i to też może być agresja. Potrafię nawet strzelać z karabinu miłości).

Doszedłem do wniosku, że na te wypadki w lokalach gastronomicznych Pragi brakuje mi spojrzenia pana Hrabala. Bo na pewno zauważyłby w nich jakąś cudowność.

Jakie zastosowałby kłamstwo, żeby omamić nas, że te oszustwa to nie oszustwa, tylko piękne zdarzenia w dziedzinie stosunków międzyludzkich?

Raz powiedziałem młodej kelnerce, że w centrum mogą do rachunku w knajpie dopisać nawet datę urodzenia.

- Ja widzę to tak, że po komunizmie mamy wreszcie wolność - odparła młoda Czeszka, jeszcze studentka.

- I jak pani tę wolność rozumie? - spytałem oszołomiony.

- No, jak nas oszukają w jednej knajpie, mamy wolny wybór, możemy sobie pójść do innej.

Uważam, że aby poznać tę dialektykę, warto było dać się oszukać. (Tak się pocieszam pod nieobecność pana Hrabala).

## PO OBU STRONACH OKNA

Pytany jestem o moje miejsce w Czechach. Jakieś moje miejsce szczęśliwe czy coś w tym rodzaju. Mimo że mieszkałem już w siedemnastu różnych mieszkaniach (hoteli nie zliczę), to myśląc o swoim miejscu w Czechach, zawsze siedzę na parterze przedwojennej willi w Pradze. W stumetrowym, czteropokojowym mieszkaniu, gdzie przed sobą widzę wielkie okno... O, przepraszam, inaczej powiem. Ponieważ przeważnie przebywam jednak w Warszawie, to:

Widzę, jak widzę przed sobą wielkie okno.

Zamykane na dwadzieścia osiem klamek, z widokiem na ogród: na pole białych przebiśniegów w marcu, na złote forsycje w kwietniu, na krzaki ciemnofioletowego i białego bzu w maju i na wodospady śnieżnobiałego jaśminu, które w czerwcu przelewają się przez płot na stojące za nim samochody. Nad wszystkim unosi się ciemna zieleń świerku. Stoi po lewej stronie w rogu ogrodu i jest rówieśnikiem właścicielki okna. Nie wdzięczy się niczym o żadnej porze roku, a kontakt z człowiekiem nawiązuje ewentualnie jesienią, bombardując szyszkami. Żeby wejść do mieszkania, trzeba z ogrodu wdrapać się po wysokich schodach na ganek, z którego od razu wchodzi się do pokoju z oknem. Jest największy w domu, lecz nie jest to salon, choć tak może się wydawać. Znajdujemy się w hallu, a salon to następny pokój i ma jeszcze większe okno niż to, które tak lubię.

Mieszkanie nigdy nie będzie moje, ale nie ma to większego znaczenia, bo - jak się Państwo domyślają - będzie moje już na zawsze.

Moje okno w Pradze wygląda tak:



Z właścicielką okna poznaliśmy się przez przypadek, kiedy prawie nie mówiłem po czesku. Jest tłumaczką z języka polskiego, wprosiłem się więc po coś, znajdując jej numer w książce telefonicznej. Czesi, w przeciwieństwie do Polaków, wciąż jeszcze wykazują minimum zaufania do świata. Zostawiają więc nadal bez większego lęku swoje domowe numery i adresy w książkach telefonicznych. Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, ale naprawdę nie wykazano, żeby od tego zwiększała się liczba morderstw i włamań. Dzięki książce telefonicznej poznałem kobietę wysoką, zgrabną, o prostych włosach do szyi, zafarbowanych na ciemnowisniowo. W mojej głowie chodzi zawsze w powiewnej pomarańczowej sukni, która wygląda jak strój wyznawców Kryszny. Z biegiem lat okazało się, że jest połączeniem damy ze starej szkoły i spontanicznej dziewczynki. Kiedy widzieliśmy się po raz drugi w życiu, powiedziałem (może bezczelnie trochę), że jeśliby gdzieś wyjeżdżała, chętnie popilnuję okna wraz z całym mieszkaniem. Na co właścicielka bez słowa wyciągnęła zapasowe klucze i oznajmiła: „Jak przyjdzie czas, to pan popilnuje, a klucze może pan wziąć już teraz. Może mnie przecież nie być, a pan będzie miał silną potrzebę zamieszkania”. (Muszę przyznać, że kilka razy nowo poznani Czesi, nie wiedząc o

mnie wiele, chcieli mi dać klucze do swoich mieszkań. Nie wyciągam z tego pochopnych uogólnień ani na ich temat, ani na własny). Dom został zbudowany w 1931 roku, gdy właścicielka okna oczekiwała właśnie na swoje uroczyste wejście do naszego świata. Jej mama wybrała najlepszą w tamtych czasach lokalizację - willową część Dejvic. To matka budowała willę, ojciec - profesor fizyki teoretycznej i matematyki na Uniwersytecie Karola - wciąż słuchał wykładów Einsteina. Także wtedy, kiedy jadł w domu obiad, kiedy Einstein już nie wykladał w Pradze, a nawet kiedy Einstein już nie żył. Willa miała mieszkanie dla dziadków na pierwszym piętrze i kawalerkę, zwaną po czesku garsonką - dla ewentualnych gości. Na dole mieszkali profesorostwo. Po wojnie komuniści podzielili ich mieszkanie na pół, a tamtą połowę jeszcze na pół, i wprowadzili lokatorów. Apartament, którym się teraz zachwycam, jest więc tylko częścią tego, w czym mieszkali przed wojną. Jeszcze przed podziałem, z okazji setnej rocznicy urodzin dziadka, który był przyjacielem Bedřicha Smetany i wydał jego korespondencję, mama zaprosiła na domowy koncert sto osób i każda jeszcze miała dość miejsca wokół siebie. Kiedy właścicielka okna skończyła sześć lat, zaczęła uczęszczać do atelier Isadory Duncan. Przychodzili tam wtedy młodzi malarze i rysowali dziewczęta w tańcu. Studio Isadory mieściło się na szóstym piętrze pałacu Metro w alei Narodowej. Zaś na antresoli z widokiem na dziedziniec mieściła się słynna kawiarnia Metro, wąska jak wagon metra, do której czasem zaglądał Franz Kafka, często jego przyjaciółka Milena Jesenská, a najczęściej lewicujący pisarze. Za to teraz na szyldzie można przeczytać, że odbywa się tam MODELOWANIE PAZNOKCI. Właścicielka okna tańczyła na szóstym piętrze dziesięć lat, ale powoli pochłaniały ją inne zajęcia. Zaczęła naśladować to, co robi mama, i w wieku lat dwunastu sama tłumaczyła sobie francuskie bajki na czeski. Mama, która w siedzibie Mánesu wygłosiła nawet wykład o właściwym zachowaniu się w towarzystwie, ciągnęła córkę na wszystkie możliwe przyjęcia. Dzięki temu, kiedy właścicielka miała lat piętnaście, na bankiecie w ogrodzie Ministerstwa Spraw Zagranicznych z okazji zjazdu pisarzy czeskich, mama przedstawiła jej brata stryjecznego ojca. Nazywał się tak samo, jak tata - Karel Teige. O nim poeta Seifert napisał, że przywiózł z Paryża surrealizm. Teige był już guru czeskiego surrealizmu, Egon Bondy wprowadził jeszcze do mistrza nie lgnął, ale miał zacząć za dwa lata. Przyjęcie w pałacu było jedynym momentem, kiedy właścicielka okna osobiście zetknęła się ze stryjcem. Guru nie interesował się rodziną brata, ale dziś to bratanica pielęgnuje jego grób na sławnym cmentarzu wyszehradzkim, bo Stowarzyszenie Karela Teigego nie interesuje się guru. Tuż przed

maturą właścicielka okna dostała z drukarni pierwszą przetłumaczoną przez siebie książkę - była to powieść *Samson* Kazimierza Brandysa, o chłopcu, który miał grube i ciemne wargi, oczy wypukłe, o połysku dojrzałych oliwek, i żył w czasach, kiedy taka twarz była zarazą dla wszystkich. Czechosłowackie wydawnictwa musiały teraz wprowadzić rozróżnienie w podpisywaniu tłumaczek literatury polskiej - na Helenę Teigovą i Helenę Teigovą mł. Właścicielka okna na swoim koncie ma teraz dwieście przetłumaczonych tytułów, a jej rówieśnik świerk przerósł już czwarte piętro domu naprzeciwko. Był jednak czas, kiedy czułem się w tym mieszkaniu nieswojo. Chodziło o sąsiedztwo sztuki. W nocy zostawałem sam na sam z Alfonsem Muchą. Nie muszę mówić, jak mnie to stresowało. Otóż w salonie wisiał portret panny Gieni, Polki, która wyszła za mąż za czeskiego pisarza. Bez rzęs pomalowanych na niebiesko nie wychodziła z domu nawet po ziemniaki. Widać po mnie, że jestem szlachcianką, prawda? - pytała co jakiś czas. Jej mąż nazywał się Antonín Vyskočil - co i po polsku, i po czesku znaczy „wyskoczył” - ale przyjął pseudonim literacki Quido Maria Vyskočil. Niestety, nikt w Pradze tego nie respektował i wszyscy nazywali go Jezusmaria Hopsasa. Na ślub panny Gieni z Jezusmaria w 1926 roku Alfons Mucha podarował jej portret. Uchodził wtedy za najśłynniejszego czeskiego malarza na świecie, a w dowód uznania, po powstaniu państwa w 1918 roku, poproszono go o zaprojektowanie pierwszych czechosłowackich banknotów. Uwiecznił na nich swoją żonę Maruškę (na stówce) i córkę Jarkę (na dziesięciokoronówce), co mi się bardzo podoba, bo to kolejny przykład, jak kultura czeska nie napina się. Gdy córka dorosła, ulokował ją na pięćdziesiątce. Ponieważ Muchy już w tym domu nie ma, zasypiam bez obaw, że zostanę z jego powodu zabity. Nieopodal w okrągłym łóżeczku z futra śpi kot Jason, który jest gejem. Niewielu ludzi go widziało, bo ucieka przed każdym, kto odwiedzi dom. W życiu tego rudzielca z brzuchem w kolorze ni mniej, ni więcej tylko szampana istnieje jednak dwóch mężczyzn. Gdy tylko któryś pojawi się w drzwiach i zawoła go po imieniu, Jason przybiega natychmiast, nie wyrabiając na zakrętach. Z miaukiem sam kładzie się na plecy, rozciąga łapy i wypręża ciało. Jednym z tych mężczyzn jestem ja i wiem, co z takim kocim gejem robi się dalej. Klękam, mocno szoruję palcami brzuch Jasona, aż wydaje jeszcze więcej zachwyconego głosu i - ponieważ też muszę coś z tego mieć - pochylam się jeszcze bardziej i całuję Jasona w ten delikatny, jasny brzuszek. Drugi mężczyzna to pan Václav Říha, nauczyciel, który uczy nie tylko wychowania obywatelskiego, lecz także prac ręcznych, ale ja o jego ręce nie jestem zazdrosny, niech kot ma jakieś życie osobiste. Kiedyś zostałem z Jasonem na tydzień



sam, był czerwiec, i musiałem codziennie wyciągać mu kleszcze, które przynosił z ogrodu. Z jednym trudnym kleszczem poszliśmy do weterynarza, dwa domy dalej. Pan Josef Míka, tęgawy i zażywny, dobrze po sześćdziesiątce, kleszcza wyjął jednym ruchem. Dzięki Bogu, powiedziałem, na co pan doktor odparł, że Bóg nie ma z tym nic wspólnego, ważna jest specjalna pęseta. Jak już tak miło nam się rozmawia o religii, dodałem, to może powiedziałaby mi pan doktor, co się mówi po czesku, kiedy człowiek robi znak krzyża. Przyjeżdżam tu tyle lat, a jeszcze tego nie ustaliłem. Weterynarz otworzył szeroko usta, jakbym mu wyssał całe powietrze z gabinetu. Nie mam pojęcia, odparł po chwili, nigdy nie wykonywałem takiej czynności. Ale czeka tu jeszcze jedna pani, może ona wie, jak się po czesku przeżegnać. Zapytaliśmy, pani zadzwoniła nawet do koleżanki na Smíchov, niestety - też nie wiedziała. Ja to dla pana ustalę, obiecał doktor, tylko proszę mi dać kilka dni. Właściwie może w moim wieku dobrze by było znać te magiczne formułki, zastanowił się głośno. Prawda, panie Jasonie? - i zastukał w plastikową klatkę przestraszonego kota. Pod nieobecność mężczyzn Jason śpi na oknie w gabinecie i pilnuje biblioteki. Posiada ona ciekawą właściwość: ma wszystko z literatury czeskiej, co bardzo chciałbym przeczytać, ale nie ma tego, co czytałem ja. Niedawno biblioteka oddała swój jeden skarb. Właścicielka okna wręczyła mi prezent: cztery nietypowego wymiaru tomy, włożone do pudełka oklejonego żółto-złotawą tapetą w kwiatowy motyw, jaka mogła zdobić przedpokoje za Franciszka Józefa. Okładki czterech tomów oklejono tą samą tapetą, ale nie było na nich żadnego tytułu. O tym, co jest w środku, informowały małe karteczki przyklejone do grzbietów: „Jaroslav Seifert - *Wszystkie uroki świata*”. Kiedy otworzyłem któryś tom, oniemiałem: to była książka przepisana na maszynie. Strony z cieniutkiego, przezroczystego niemal papieru maszynowego (zanikłego z końcem lat osiemdziesiątych minionego wieku), odpowiednio przycięte i złożone w książkę. W tomie pierwszym błyszczał oryginalny autograf autora. Tak wszedłem w posiadanie wspomnień i podpisu czeskiego laureata Nagrody Nobla, który uważał, że poeta to ten, co zmusza mróz, by przeszedł wam po krzyżu, kiedy poeta obnaża prawdę. Seifert tak ją obnażał, że jego - należące do najważniejszych w historii czeskiej kultury - wspomnienia najpierw ukazały się poza Czechosłowacją. Reżim nie mógł mu wybaczyć, że przestał być komunistycznym poetą, więc blokował książkę jego życia. Zanim więc *Uroki* ukazały się w kraju, oficjalnie, ochotnicy przepisywali je na maszynach przez jak najwięcej kalek i ryzykowali wolność. Istniały maszyny, do których udawało się wcisnąć nawet więcej niż dziesięć kartek z kalkami równocześnie.

Kobietę, która przesłała do komitetu noblowskiego w Sztokholmie rękopis *Uroków*, za czyn ten aresztowano i osądzono. Była założycielką katedry socjologii Uniwersytetu Karola. Władza już wiele lat wcześniej - za karę, że uczona podpisała antyreżimową petycję - zdegradowała ją do sprzątaczk. Wielkoduszne ze strony władzy było to, że socjolog nie musiała sprzątać swojej katedry, ale oddział geriatryczny w szpitalu. Zresztą rozpoczęła tam tajne badania socjologiczne na staruszkach<sup>11</sup>. Być może Jaroslav Seifert to jedyny noblista świata, który zawdzięcza Nobla sprzątacze.

---

<sup>11</sup> Była to Jiřina Šiklová - ta sama, która, gdy Egon Bondy podpałał sto koron, ostrzegła go: „Zbyńku, za to cię mogą zamknąć!”



Helena Teigová, tłumaczka literatury polskiej, z Heleną Teigową, przyszłą tłumaczką literatury polskiej, Praga 1937

Nielegalne wydanie Seiferta właścicielka okna kupiła od sąsiadki z za białego bzu. Kosztowało wtedy majątek (sześćset koron czechosłowackich) i każdy egzemplarz z tej serii w tapecie był sygnowany odręcznym podpisem poety. Za kontakt z nielegalną kulturą właścicielka okna trafiła przed sąd. Księżę Giedroyc, który wydawał najważniejsze polskie pismo emigracyjne, paryską „Kulturę”, w 1969 roku, kiedy jeszcze przez chwilę dało się z Czechosłowacji wyjeżdżać na Zachód, zaprosił ją na kilka dni do Maisons-Laffitte. Potem wyznaczył zadanie, żeby w Polsce znalazła mu jakieś opowiadania do druku. Na czas pobytu w PRL oddała klucze do swojego praskiego mieszkania polskiemu studentowi, który w nim wyprodukował antypaństwowe ulotki. Kiedy studenta aresztowano, wygadał, że Helena Teigová, po mężu Stachová pracuje jako szpieg dla Giedroycia, określanego w aktach jej procesu jako agent CIA. Na ławie oskarżonych siedziała razem z zatrzymaną za produkcję ulotek studentką praskiej szkoły filmowej Agnieszką Holland. Przed ogłoszeniem wyroku sąd zarządził przerwę. W toalecie zagadnęła ją jakaś kobieta. Powiedziała szeptem, że jest żoną jednego z trzech sędziów i ma jej przekazać, że wyroki jeszcze przed procesem przysłała do sądu Komitet Centralny (Komunistycznej Partii Czechosłowacji oczywiście, dziś trzeba to wyjaśniać, wtedy każdy wiedział, o jaki komitet chodzi). Oskarżona Stachová dostała dziesięć miesięcy więzienia w zawieszeniu i zakaz publikowania. Dziewięć książek przełożyła więc pod nazwiskiem swojej matki. Dopiero amnestia pozwoliła jej znów używać w podpisach przekładów nazwiska po mężu (też tłumaczu). Na stresy stosuje podróże do egzotycznych miejsc, a kiedy z Czechosłowacji nie można było wyjeżdżać, stosowała wędrówki górskie w ramach swojego kraju, muzykę i sztukę. Nie lubi, kiedy ktoś patrzy na abstrakcyjny obraz i pyta: „A co on przedstawia?”. Ściąga wtedy okulary i ujawnia coś, co na co dzień stara się ukryć przed światem - swoje wielkie zdziwione oczy. Nie lubi, kiedy szklanki stawia się bezpośrednio na błyszczącej politurze stołu i nie używa się serwetek. Nie lubi, kiedy pisarze piszą slangiem, bo wie, że takie książki nie przetrwają. Pisarza Jáchyma Topola nie czytała tak długo, aż napisał jej list, w którym obiecał, że jego narracja będzie już neutralna. Jak widać, pani Helena ma zasady. „Gdy byłam uczennicą - powiedziała mi niedawno - uchodziłam za dziewczynkę bez poczucia humoru. A kiedy po pięćdziesięciu latach spotkaliśmy się z kolegami z gimnazjum, panowie byli zdziwieni, że jednak je mam. Skąd? Powiem ci jedno, kiedy człowiekowi zostaje już mało czasu, ma więcej poczucia humoru, bo inaczej by tego nie wytrzymał. I to jest naprawdę smutne”, zakończyła. Rozmawiamy, kiedy uda nam

się w tym mieszkaniu nie minąć, przy hebanowym stole na środku hallu. Jemy coś i pijemy białe wino, a wtedy powoli rozplývają mi się teorie, które wymyśliłem na temat jej społeczeństwa. (Jak na przykład ta, że kuchnia czeska ma trzymać Czecha przy ziemi). A gdy zostawia mnie tygodniami w swoim domu samego, świat zwija mi się do tego okna i ogrodu, a wówczas dni - jak pisał Seifert - skapują powoli, jak miód z drewnianej łyżki. Znajomi pytają mnie, gdzie tym razem jadę na wakacje, bo oni jadą nurkować w ciepłych morzach, i gdybym miał trzymać się faktów, a nie ludzi pokroju poety Seiferta, musiałbym odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że będę je spędzał jak co roku w tym samym miejscu - pięćset metrów od stacji przesiadkowej Dejvická, cztery stacje metra od centrum, sto pięćdziesiąt metrów od ruchliwej czteropasmówki Evropská, która prowadzi na lotnisko. Do tego w sąsiedztwie centrum biznesu, z najnowszymi ferrari ustawionymi dla reklamy w hallu. Choć też uważam swoje wakacje z oknem za nurkowanie.

Tę opowieść z życia w domu Heleny Stachovej skomponowałem tak, żeby dojść do wspomniałego przypadku. A ponieważ przypadek wygląda ciut niewiarygodnie (z kategorii: jeśli nie jest zmyślone, to mogło zdarzyć się tylko w Czechach), muszę mieć wiarygodnego świadka. A wiarygodniejszej osoby w Republice Czeskiej niż Helena Stachová nie znam, o czym chyba już Państwa przekonałem. Otóż pewnego ranka otrzymaliśmy list od sąsiadki. Wrzuciła go do skrzynki na listy, był napisany na komputerze i prawdopodobnie dostało go wielu adresatów w okolicy.

„Szanowni Sąsiedzi, myślę, że przyszedł już czas, abym jako nowa sąsiadka się Państwu przedstawiła. Mieszkam tu wśród Państwa właściwie już od dziewięciu miesięcy, w willi na rogu ulicy Glinkovej i Kapitana Nalepki. Ukończyłam politechnikę i posiadam tytuł inżyniera.

Mam wesoły charakter, a z powodu tego, że aktualnie nie jestem tak bardzo zajęta, pozwalam sobie zaproponować Państwu (zwłaszcza mężczyznom) swoje dyskretne usługi. Wiek ani pozycja społeczna nie są istotne. Jestem zdrowa i chodzę na regularne kontrole lekarskie.

Ucieszę się z Państwa propozycji.

Marcela".

- To na pewno żart - powiedziałem do pani Heleny.

Na to ona: - Naprawdę uważasz to za żart? Ja nie widzę w tym nic dowcipnego.

I tak nieoczywistość znów dała mi w Czechach po łapach.

A może powinienem zakończyć tę opowieść tak, jak czasem kończy do mnie maile pani Stachová?

„Howgh!”

## FOTOGRAF CZESKI

Na drzwiach jego mieszkania w kamienicy na Žižkowie w Pradze widnieje złocona wizytówka:

JAN SAUDEK - FOTOGRAF CZESKI.

Znałem treść tej wizytówki, zanim ją zobaczyłem, i fakt użycia przymiotnika na drzwiach fascynował mnie na równi ze zdjęciami artysty.

W dwupokojowym mieszkaniu okna są zawsze zasłonięte, kolorowe kotary nie dopuszczają światła dnia. Rzeczywistość nie ma też dostępu do fotografii artysty. W dużym pokoju, po jednej stronie stoi wielki, jak na moje oko ośmioosobowy tapczan, po drugiej - goła ściana. Odrapana, z zaciekami, kilka warstw farby chce przypomnieć, że kiedyś istniały. Wyschnięta farba łuszczy się, pęka i wygina. Przy takiej ścianie zrobił większość swoich zdjęć.

Sześćdziesięciosiedmioletni Jan Saudek (podczas gdy Państwo czytają tę książkę, ma odpowiednio więcej lat niż 2 maja 2002 roku) siedzi na skórzanej kanapie w okularach przeciwsłonecznych i czerwonej koszuli. Wygląda na pozera, ale zaraz wyjaśnia, że gdyby nie farbował włosów, nie miał okularów i nie ubierał się na czerwono, byłby brzydki, stary i nijaki.

- Wyglądałbym jak nikt, bez wyrazu - mówi.

Za komunizmu władze w ogóle zaprzeczały, że istnieje. Ministerstwo Kultury wstydzilo się fotografii obnażonych pulchnych kobiet. Kiedy z zagranicy przychodziły zaproszenia na wystawy, urzędnicy odpowiadali, że taki fotograf w Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej nie istnieje (po czesku: „Jan Saudek neexistuje”).

Przez trzydzieści lat pracował w drukarni jako robotnik. Nie lubił się uczyć, skończył szkołę w wieku piętnastu lat. Mieszkał w suterenie i kiedy wracał wieczorem z pracy, zawsze było ciemno. Styl jego fotografii powstał z braku dziennego światła. Nie mógł robić zdjęć reporterskich, więc wykorzystał to, co miał. A miał lizajowatą ścianę piwnicy, sztuczne światło oraz kobiety o wielkich piersiach i udach. Ściana była jego ucieczką.

O jej metaforycznym znaczeniu pisali krytycy w dwudziestu trzech krajach świata.

- Czterdzieści lat upłynęło od czasu, jak ma pan swoją ścianę.

- W tym roku tę prawdziwą ścianę porzuciłem. Pozbyłem się już tej piwnicy. Zbyt dużo wspomnień, zbyt dużo bólu. Mam kilka atelier w Pradze. Przyjrzyj się dokładnie, można włączyć światło: ta ściana w domu to jest już ściana artystyczna. Niech pan spojrzy, jest pomalowana. Tamta w suterenie była prawdziwa i ciągle pracowała. W nocy słyszałem, jak odpada z niej tynk. Przez całe lata pytano mnie, czy właśnie wróciłem z kościoła, bo zawsze śmierdziałem kryptą. A to taka wilgoć była w moim gniazdku. Nie chcę jednak wracać tam, gdzie przeżyłem tyle porażek.

- Praca robotnika...

- ...to była strata czasu. Jak byłoby pięknie, gdybym jak Mick Jagger mógł już w wieku dwudziestu pięciu lat zebrać owoce swojej pracy. Wszyscy swój sukces przeżyli w młodości, a do mnie przyszedł on na starość.

- Słyszałem, że za komunizmu pana modelki były zatrzymywane przez tajną policję.

- Chcieli z tych kobiet wyciągnąć, co ja mówię o państwie. Ale ukrytym i myślę, że ważniejszym, powodem było to, że ci tajniacy chcieli te kobiety osobiście poznać. Stworzyć przymus psychiczny, aby one się z nimi spotykały. No, bo skoro mnie dają się fotografować nago, to pewnie są łatwe. Kiedy ja widziałem esbeka, to umierałem ze strachu. Ale wiem od tych kobiet, że one się nie bały. W ogóle powiem ci, że kobieta mniej się boi.

- Jak na socjalizm, te zdjęcia musiały być bardzo odważne, skoro nawet Służba Bezpieczeństwa konfiskowała negatywy.

- W 1962 roku wynieśli mi z piwnicy filmy. Zrobili odbitki i praska SB zaczęła wyklejać swój album kobiet, która jest która. Oczywiście te zdjęcia brali potem do domu, żeby się przy nich onanizować. Ponieważ prawie nie istniało wtedy podziemie polityczne, nie było dysydentów, to tajniacy musieli wymyślać sobie pracę.

- W jakiej fazie życia teraz się pan znajduje?

- Nie ma fotografa na świecie, który by mnie nie znał, ale prezydent tego kraju, Havel, zupełnie mnie ignoruje. Jednak mam powody, by się cieszyć. Jestem zdrowy, mam przyjaciół, dach nad głową, dostałem od Francuzów order, mam co jeść, ale szczęśliwy nie jestem. Zawsze znajdę coś, co mnie martwi. A to, że mój sukces nie jest dość wielki, a to, że ja nie jestem dość wielki (w przeciwieństwie do ciebie)...

- Masz na myśli wzrost<sup>12</sup>?

<sup>12</sup> Kiedy w sierpniu 2010 roku w archiwach czechosłowackiej Służby Bezpieczeństwa szukałem śladów po przesłuchaniach modelek Jana Saudka (nie udało mi się znaleźć), trafiłem na notatkę z marca 1978 roku. Funkcjonariusze tajnej policji zanotowali, że rezygnują z pomysłu pozyskania fotografa do współpracy ze względu na to, że w ich ocenie jest całkowicie niepoważny. Zapisali, że jego niski wzrost jest niewątpliwym



- I że nie jestem młody. Szczęśliwy jestem tylko wtedy, jak się upiję, co robię często.

- I czuje się pan wtedy młody?

- Wtedy wierzę w to. Jak każdy alkoholik. Teraz dwa dni nie piłem, bo wiedziałem, że ma pan tu przyjść. Nie chciałem ci się tłumaczyć, że mam kaca. Oscyluję między dobrem a złem. Między kiczem a niekiczem, między pornografią a pięknem. Chętnie robię z siebie idiotę, jednak nigdy nie myślałem o pieniądzach. One przychodziły na końcu. Nie myśleć o pieniądzach - tak można stworzyć wartościową rzecz. Mam brata bliźniaka. On od czterdziestu lat pracuje tylko dla pieniędzy. W latach sześćdziesiątych był bardzo wziętym rysownikiem. To, co teraz robi, jest coraz gorsze. Gdybym chciał pieniędzy, fotografowałbym modę, pięknych ludzi albo gwiazdy. O, sfotografowałbym piosenkarkę Vondráčkovą. Chociaż nie, ją to niechętnie.

- A gdyby się rozebrała?

- To by mnie zainteresowało. Wtedy tak.

(Cały czas towarzyszy nam Sára Saudková. Nie jest oficjalnie żoną, ale przyjęła nazwisko Jana. Młodsza o ponad trzydzieści lat. Mówi, że jest jego matką i siostrą, córką i kochanką. Otwierała niedawno wystawę Saudka w Nowym Jorku, jemu już się nie chce jeździć. Sára jest menedżerem i psem łowieckim. Psem, bo wychodzi na ulicę szukać dla swego pana pulchnych kobiet. Sama jest szczupła, wysoka, koścista. Dziewczyna o długich rudych włosach na jego zdjęciach to najczęściej Sára. Skończyła ekonomię, prowadziła w telewizji *talk-show* erotyczny. Sprowadza mu też prostytutki.

- A na koniec - dodaje Jan - gdy jestem już z tymi kobietami kompletnie pijany, ona jedna, trzeźwa, odwozi je do domu).

- Wiem, że twoja mama uważała, iż słowa „udo” nie wolno wypowiadać w towarzystwie. Czy twoje zdjęcia nie są ucieczką przed zakazami?

- Na początku lat siedemdziesiątych, gdy już w fotografii objawiła się czeska nowa fala, dziewczyna miała na wierzchu piersi, a całą resztę zakrywała czarna szata. I wtedy ja swoim modelkom zacząłem szczerze zakrywać czarnym materiałem piersi, a obnażać łono. Takie są moje naturalne reakcje na zakaz. Mama rzeczywiście była bardzo sztywna. Miała panięńskie dziecko, ten syn żyje do dziś. Było to w czeskiej wsi na początku stulecia. Jej purytyzm był jakąś psychologiczną reakcją, może był ciągłym oczyszczaniem się z tamtego „grzechu”?

---

źródłem jego kompleksu i to powodowało, że podczas całej rozmowy kandydat na współpracownika starał się zachowywać bardzo męsko. „Stara się być facetem z jajami” - zanotowali.

- O pewnej kobiecie piszesz tak: „Wymieniłem ją z jednym pisarzem. Dałem mu chudą, on mi dał grubą”. Jak to brzmi? Wymieniłem ją... A co to jest, towar? Łup? Czy nie traktujesz kobiet zbyt przedmiotowo?

- Właśnie. Chyba masz rację. Zacząłem się ostatnio podejrzewać, że jestem ukrytym homoseksualistą i tak naprawdę skrycie nienawidzę kobiet. Przecież ja nie mogę patrzeć na kobietę, jeśli się nie upiję.

- Zaraz, zaraz. Ty, o którym mówi się w Pradze, że miałeś tysiąc kobiet, masz czwartą żonę i siedmioro zidentyfikowanych przez siebie dzieci...

- Właśnie! Pamiętaj, że jeśli mężczyzna ma zbyt dużo kobiet i jeszcze chce, aby inni to zauważali, najczęściej jest niepewny swojej męskości. Często chce ukryć własne zainteresowanie mężczyznami.

- A można pana zapytać, z iloma kobietami spałeś? Rzeczywiście było ich tysiąc?

- Nigdy nie odpowiadam na to pytanie. Albo... odpowiem. Odpowiem tak, jak odpowiedział raz mój brat. „Niech policzę - mówił i zaczynał liczyć na palcach: - jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem..., no tak, osiem... set”.

(Śmiejemy się, Jan próbuje ciastko. - Dobre są te ciasteczka - mówi. - Pani to sama piekła? - zwraca się do Sary. Zawsze mówi do niej per „pani”. Poza dwiema najmłodszymi córkami, kobietom nigdy nie mówi na „ty” ani po imieniu. Tylko „pani”. Wyjaśnia, że to ze względu na cześć, jaką obdarza kobiety).

- Wracając do pana rzekomego homoseksualizmu...

- Mówiłem to wszystkim kobietom, z którymi spałem, i żadna nie uwierzyła. Uważały, że to zgrywa.

- Saudek nie zatrzyma się przed niczym.

- Zatrzymam się przed wszystkim!

(„Saudek nie zatrzyma się przed niczym” - napisano. Na jednym ze zdjęć wisi między dwiema obnażonymi kobietami, jak Jezus na krzyżu między złoczyńcami. Na innym - ustawia nagą kobietę w pozycji ginekologicznej do obiektywu, sam też jest nagi, dorysował sobie jednak aureolę na głowie. A więc święty - stwórca - formuje kobietę).

- Nie masz zahamowań?

- Mam bardzo silną autocenzurę. Powiem więcej: ja mam nawet wrodzoną tchórzliwość.

- A swoje tabu w fotografii?

- Jasne, też mam! Nie chcę fotografować brzydkich rzeczy. Nie chcę fotografować ciał w rozkładzie. Nie chcę fotografować nędzy tego świata. Zatrzymam się przed zrobieniem fotografii, gdzie miałyby być deptana godność ludzka. Rynek teraz bardzo potrzebuje zdjęć obrzydliwych. Moje zdjęcie musi charakteryzować jedno: ono powinno być do powieszenia na ścianie. Jestem za dekoracyjną rolą fotografii.

- Fotografuje pan po pijanemu?

(- Wspaniałe pytanie! - Saudek podskakuje na kanapie i mówi, że za to da mi w prezencie swoje ulubione wino, przedostatnią butelkę z kolekcji. - Może pani przyniesie z kuchni - zwraca się do Sary. Za chwilę na stole stoi czerwone wino z Chile, z winnicy Tarapacá).

- Mój drogi - wyjaśnia podekscytowany. - Ostatnio mam coraz mniej odwagi. Mniej i mniej. A kiedy się upiję, odwaga do mnie znów przychodzi. Gdy jestem pijany, zdjęcie w sensie psychicznym nic mnie nie kosztuje. Jest tylko jeden mankament: że po pijanemu łatwo o coś zapomnieć, przeświecić film czy coś takiego.

- A czy zdjęcia zrobione po pijanemu różnią się od zdjęć trzeźwych?

- Nie, zupełnie nie. Nawet są ostrzejsze. Przez pomyłkę, oczywiście. Aparat, którego używam, ma pięćdziesiąt lat. Stosuję stary film i stary papier. Wywołane zdjęcia koloruję.

- Pewna znana krytyk, dyrektor poważnego muzeum w Pradze, napisała: „Przeszkadza mi skłonność Saudka do okropnego smaku i kiczu”. Co by jej pan odpowiedział, gdyby nadarzyła się okazja?

- Ona wie, co bym jej odpowiedział, bo to moja była kochanka. I jej córka także.

- Cooo?

- Drogi przyjacielu Mariuszu. Mam sześćdziesiąt siedem lat, ale w swoim czasie, kto mnie znał, ten nie mógł przede mną uciec. Nie było ratunku przed Saudkiem.

- A jaki to jest „dobry smak”?

- Ja tego nie wiem. Wiem jedno: moje zdjęcia nie są w estetyce brzydoty ani okrucieństwa. To fotografie jak ze snu. Pokazują nie jak życie wygląda, ale jak byśmy chcieli, żeby wyglądało.

- Pana pierwsze wspomnienia z dzieciństwa to obóz koncentracyjny. Miał pan kilka lat, gdy znalazł się razem z bratem w obozie.

- To nie był typowy obóz koncentracyjny. To był obóz przejściowy,

przygotowawczy dla bliźniąt. Byliśmy przeznaczeni do eksperymentów doktora Mengele. Ale ledwo tam trafiliśmy, oswobodzili nas Rosjanie. Pamiętam, jak biegli. Ja, dziecko wyglądające z okien baraku, byłem zafascynowany, jak to możliwe, że nie spadają im te furazerki z głów. Biegli, a czapki się trzymały. I jeszcze wołali: „Urraaa!”. Pani Saudková, niech pani zawoła: „Urraaa!” i niech pani taka furazerka nie spadnie! Cud! Po wojnie próbowałem tego i nie udało się. Sowietci to była naprawdę wytrenowana armia.

- Jak trafiliście do obozu?

- Byliśmy na liście żydowskich bliźniaków. Ojciec już przebywał w obozie koncentracyjnym w Terezynie, przeżył, po wojnie był nawet urzędnikiem w banku, a nas wzięli z podwórka. Nie czułem żadnego strachu. Jak ustawili nas na placu, myśleliśmy, że będą rozstrzeliwać. Pamiętam, że byłem ciekaw, czy jak kulka we mnie wleci, to będę jeszcze czuł, jak się wbija głęboko w ciało, czy już nie. Ale nie strzelali.

- Były tam jakieś kobiety?

- Oczywiście, i chłopcy, i dziewczynki.

- Ale dorosłe?

- Mariuszu, jak miałem dziewięć lat, to każda mi się wydawała dorosła. Tam były bliźnięta do osiemnastego roku życia. No to te osiemnastoletnie były bardzo dorosłe. Ale dlaczego o to pytasz?

- Bo od trzydziestu lat ustawiasz swoje modelki pod ścianą. Odrapaną i brudną. Czy twoja ściana może być ścianą z murowanego baraku w hitlerowskim obozie?

- Cholera!

- Co się stało?

- Jeszcze chyba nikt o mnie tego nie napisał. Tak! Tak może być!

(Saudek znów podskakuje na kanapie).

- Stawiasz kobiety i mężczyzn pod zniszczoną ścianą, bo ona jest twoim estetycznym mikrokosmosem, zakodowanym w dzieciństwie.

- Tak rzeczywiście może być! Ale ta ściana przyszła do mnie sama, nieświadomie ją stworzyłem kilkadziesiąt lat temu.

(Sára Saudková nachyla się do niego:

- Ciekawe jest to, panie Saudek - mówi - że pana brat bliźniak już jako młodzieniec urządził sobie pokój i ściany pomalował tak, aby wyglądały na odrapane i zniszczone wilgocią. W tym coś jest!

- A przecież nie rozmawialiśmy z bratem nigdy o żadnych ścianach! - dziwi się

Jan. - On zrobił to niezależnie ode mnie. Tyle czytałem o podświadomości i nie przyszło mi do głowy, skąd jest moja ściana).

- Co jest w życiu najważniejsze?

- Przeżyć.

(Wznosimy toast wodą mineralną Dobrá voda).

- Większość moich rówieśników twierdzi, że życie jest krótkie i niedobre. Ja zaś myślę, że jest długie i słodkie. W ogóle nie rozumiem się z moimi rówieśnikami, bo oni już się wszyscy pochorowali. Poddali się. Nie chcą walczyć. Ja natomiast ciągle wierzę! Że, na przykład, najlepsze zdjęcie jest przede mną. A oni już nic nie chcą. Nie mają też zainteresowań seksualnych, a tylko to człowieka pobudza. I stoją po zasiłki na poczcie.

- Bohumil Hrabal uważał, że fantazje seksualne wpływają na myślenie w ogóle. Najwybitniejszy czeski pisarz twierdził, że lubieżność pozwala wygimnastykować sobie mózgowicę!

- Zналиśmy się z Hrabalem. Myślę o nim. Myślę o tym, jak dużo miał znajomych w gospodach, przecież swoich przyjaciół od piwa opisywał przez całe życie, a tak naprawdę był bardzo samotny. Nie zapomnę naszemu rządowi, że Hrabal rzucił się z okna.

- Chwileczkę. Hrabal leżał w szpitalu na Bulovce w Pradze i wychylił się, żeby nakarmić gołębie. Było to na piątym piętrze. Pisało się o nieszczęśliwym wypadku. Co ma z tym wspólnego rząd?

- A ma! On był pies na kobiety. Wystarczyło, aby państwo wynajęło mu pielęgniarkę, która by go non stop pilnowała. Daliby jej tysiąc dolarów miesięcznie, ona by chodziła przed nim naga, coś by mu zawsze przygotowała i trzymałaby go przy życiu. Pamiętaj: staremu człowiekowi zawsze jest potrzebna naga młodsza kobieta, i będzie mu się chciało żyć. Umarła mu żona, był bardzo samotny... Ja tam nie wierzę, że wypadł z okna.

(Saudek zawsze mówi otwarcie. Kiedy spytano go, czy zna się z prezydentem, odparł - i to w największym czeskim dzienniku - że owszem, za komunizmu mieli wspólną kochankę. Minęli się raz na schodach, Saudek wchodził do jej mieszkania, a Havel schował się za windą.

W poważnym cyklu czeskich *Rozmów na koniec wieku* Jan Saudek oznajmił: „Chciałbym być kobietą!”. Tak jak Hrabal, Saudek nie ma zahamowań, by mówić szczerze na własny temat. Wielki pisarz ciągle zwierzał się ze swej bojaźliwości:

„Strach dostałem już w genach” - pisał. I podobnie Saudek. W autobiografii pod tytułem *Wolny, żonaty, rozwiedziony, wdowiec* wyjawia, że kiedy w połowie lat pięćdziesiątych składał przysięgę wojskową, przysięgał „wierność komunizmowi i śmierć Churchillowi”. Ale jednocześnie pilnie się uczył, jak powiedzieć po angielsku: „Nie strzelajcie! jestem Czechosłowakiem! Poddaję się!” Mówienie, zwłaszcza publiczne, o swoich kompleksach jest jego psychoterapią. - Mnie nikt nie zatrzyma - wyjaśnia. - Mówię rzeczy, których nikt nie mówi).

- Na przykład mówisz, że wielu rodzicom bicie dzieci zastępuje seks, bój się Boga!

- Zobacz niektórych ojców, gdy biją swoje córki. Policzki im czerwienieją, głos staje się przerywany, oddech przyspieszony. „A masz, a masz, a masz, a masz, a masz, a masz, a masz, a masz...! No. Teraz już będziesz grzeczną dziewczynką...” - i następuje uspokojenie. To zawsze był substytut seksu. Teraz widzisz, że na przykład w telewizji muszę występować tylko na żywo. Inaczej mnie wytną.

Drogi przyjacielu, jednak mimo mojej otwartości, bardzo cię proszę, napisz wszystko tak, aby tą rozmową nikt w Polsce nie był urażony.

- I powiedz mi jeszcze na koniec, dlaczego raz mówisz mi na ty, a raz na pan. - Saudek spogląda na mnie zdziwiony.

- Podążam za tobą, zacząłeś pierwszy tak mieszać, ale nie wiem dlaczego.

- A bo raz wydajesz mi się kimś bliskim, a raz nie.

(Kiedy wyszedłem od Saudków do Sądów Mahlera i usiadłem pod żiżkowską wieżą telewizyjną, dotarła do mnie myśl, że stało się coś, co jeszcze w pracy mi się nie przytrafiło. Zapomniałem zadać Saudkowi pytanie, dla którego do niego przyszedłem. Co to znaczy, że jest fotografem czeskim? I dlaczego napisał to na drzwiach?).

Dopisek po ośmiu latach.

Znają Państwo to uczucie. Przyzwyczajamy się do jakiejś pary, w myślach zawsze widzimy oboje razem. I kiedy dociera do nas, że żyją już oddzielnie, my sobie ich zostawiamy nadal razem. Tak jest ze mną i Saudkami, w mojej głowie wciąż są parą. Dla potrzeb książki muszę jednak odnotować następujące przypadki:

Sára Saudková zaczęła żyć z synem Jana Saudka z pierwszego małżeństwa, Samuelem.

Ma z nim już czworo dzieci.

Kiedy była w ciąży z pierwszym, Jan powiedział, że nawet dobrze się stało, bo

wszystko zostanie w rodzinie.

Przez pewien czas mieszkali razem we wspólnym mieszkaniu.

Teraz Saudek żyje z młodszą od siebie o czterdzieści pięć lat Pavliną Hodkovą. Była dziennikarką, która przysłała do niego zrobić wywiad. Ma z nią dwoje dzieci, trzyletniego Mateja i roczną córkę Annę Marię.

Jedna z przyjaciółek (trzydziestopięcioletnia) poprosiła Jana o dziecko, zobowiązując się, że kiedy urodzi, nie wysunie pod adresem artysty żadnych żądań. Pavlinie ciężko było się z tym pogodzić, zwłaszcza że sama była wtedy w czwartym miesiącu ciąży.

Po urodzeniu dziecka przyjaciółka zażądała jednak alimentów.

Jana to nie emocjonuje, uważa, że takie zachowanie jest u kobiety jak najbardziej zrozumiałe.



*Męczennik miłości*, 1989 r. Fot. Jan Saudek.

W środku - autor zdjęcia



Pavlina toleruje niewierność Jana, ale woli, żeby wieczorem wychodził do innych kobiet, niż je sprowadzał. Ona może wtedy zająć się sobą i pracami domowymi. Nie musi też słuchać jego opowieści, co dokładnie robił z innymi kobietami.

Jan procesował się z nimi dłuższy czas, sprawę przegrał. Ze swoimi dotychczasowymi pracami może robić, co chce, nie ma tylko z nich pieniędzy.

Sára zaczęła fotografować, czasem używa tej samej ściany, co Jan.

Ich zdjęcia można bardzo łatwo pomylić.

Według Jana Sára Saudková jest dobrą fotografką, ma już trzy, a nawet cztery dobre zdjęcia. Problemem jest, mówi Jan, że myśli o sobie, że jest dobra. Nie ma pokory.

Jan pracuje nad wielkim projektem: portretuje cały zespół Teatru Narodowego w Pradze.

## naród z kodem do domofonu

### Wojna i wytrysek

Jaki przekaz na temat Czechów otrzymałby przybysz z kosmosu, kiedy obejrzałby najsłynniejszy na świecie film czeski *Pociągi pod specjalnym nadzorem* Jiříego Menzla według opowiadania Hrabala?

Akcja dzieje się w czasie II wojny światowej na dworcu kolejowym, gdzie członek ruchu oporu, starszy dyżurny Całusek przystawia pieczątki na nagich pośladkach dziewczyny. Główny bohater Miłosz Pipka ma dokonać aktu dywersji i rzucić bombę na przejeżdżający niemiecki pociąg. Rzeczywiście, na końcu filmu ją rzuca. Jednak wielkie porzuciło tu pretensję do wielkości. Naczelnik stacji rozmawia ze swoimi grzybami, dyżurny Całusek spokojnie kolekcjonuje erotyczne przeżycia, a Miłosz Pipka usiłuje zostać mężczyzną, co znaczy: opanować swój największy problem. Bo ważniejszy od II wojny światowej jest dla niego przedwczesny wytrysek<sup>13</sup>.

O rzuceniu bomby widz dowiaduje się jakoś między wierszami (raczej między klatkami taśmy), bez celebrowanych knowań, bez napięcia, właściwie pojawia się w filmie jeden powierzchowny instruktaż, jak ją rzucić i tyle. Tak jakby (napisał pewien czeski eseista) nie chodziło o niezwykły czyn, ale o jeden wygłup między innymi wygłupami.

Muszę jednak podkreślić, że to właśnie grupa Czechów (był też jeden Słowak) dokonała zamachu na jedną z najważniejszych figur III Rzeszy. Siedziałem kiedyś (23.10.2007) w praskim lokalu Pod Spadochroniarzami, gdzie jeden pan - z zawodu taksówkarz - przekonywał mnie, że najlepsze jest piwo Bernard z Humpolca.

- A wy, Polacy, to chyba nami trochę pogardzacie? - powiedział ni stąd, ni zowąd.

---

13 Informacja dla miłośników dworców: Oscarowe *Pociągi...* kręcone były na dworcu w Loděnicach (na dziesiątym kilometrze autostrady D5 z Pragi do Pilzna), który do dziś zachował swój filmowy wygląd. Natomiast Bohumil Hrabal swoje doświadczenia kolejowe wyniósł z dworców Dobrovice (nieдалeko Mladej Boleslavy) i Kostomlaty (koło Nymburka), gdzie pracował jako maszynista drezyny, kontroler semaforów, a na końcu został naczelnikiem stacji. Warto podkreślić, że słowo „dworzec” ma w czeskim swoje dziecko. Istnieje *nádraží* i zdrobnienie - *nádražíčko*. Właśnie o dworcu z filmu Menzla i Hrabala autorka biografii Menzla, *Gadula piwny (Pábitel Jiří Menzel)*, Dana Čermáková, pisze czule jako o *nádražíčku*.



*Pociągi pod specjalnym nadzorem*  
Václav Neckář w roli Milošza Pipki, 1966 r.

- Ja na pewno nie, proszę pana, czeski ruch oporu dokonał przecież rzeczy niebywalej... (Wiedziałem, że chodzi mu o kwestie zasadnicze). - Zabić ulubieńca Hitlera, to jest dopiero bohaterstwo! - dodałem, bo znam historię zamachu na protektora Czech i Moraw, Reinharda Heydricha, o przydomku Archanioł Zła, który w szczegółach wymyślił Holokaust.

- Ale czym się tu chwalić? - zaproponował taksówkarz. - Heydrich nie jechał w pancernym wozie, tylko w otwartym kabrioletcie, to i łatwiej było go trafić.

- No, ale udało się wam go zabić!

- Ale bez przesady. Jechał bez żadnej eskorty, a trasy nie pilnowały żadne patrole.

- No, ale nie przeżył!

- Tylko dlatego, że sam ułatwił sprawę. Jak pierwszy zamachowiec próbował strzelić, to Heydrich, zamiast na gaz i uciekać, dał rozkaz: zatrzymać się. Podał się więc nam na talerzu, proszę pana. Czym się tu zachwycać?

- No, ale jednak go zabiliście.

- Ale to wcale nie jest takie pewne, bo pistolet maszynowy pierwszego zamachowca nie wystrzelił i do dziś nie wiadomo dlaczego. Dopiero drugi rzucił w stronę samochodu granat.

- No i dzięki temu zabiliście prawą rękę Hitlera.

- Ale bez przesady, Heydrich nawet się nie bronił. Kiedy wyskoczył z wozu i chciał strzelać, okazało się, że w jego pistolecie nie było magazynku.

- No, ale udało się wam go zabić.

- A gdzie tam! Umarł tydzień później w szpitalu. Kiedy wskoczył do samochodu po ten magazynek, już tylko usiadł na siedzeniu, bo od bomby miał połamane żebra, które wbiły mu się w śledzionę. I tak naprawdę umarł potem na sepsę.

Proszę Państwa, powiem szczerze: niełatwo w Czechach dokonać bohaterskiego czynu.

Rozpytywałem, dlaczego nie istnieje żaden pomnik poświęcony zamachowcom: spadochroniarzom ćwiczoną w Wielkiej Brytanii przez RAF i w grudniu 1941 roku zrzuconym nad okupowanym krajem, żeby mogli za jakiś czas dopaść Heydricha i przegryźć mu gardło? Tacy bohaterowie powinni mieć w Czechach swoje miejsca pamięci i obeliski.

Odpowiedzi były mniej więcej takie: - Jak to nie mają miejsca pamięci?

Naprzeciwko prawosławnej cerkwi Cyryla i Metodego w Pradze, gdzie schował ich biskup, ale po trzech tygodniach ukrywania się w podziemnej krypcie otoczyło ich ośmiuset gestapowców i nie było przebaczenia. Niemcy przez małe okienko wrzucali im do krypty granaty z gazem łzawiącym, lecz ci dzielni żołnierze wyrzucali je z powrotem. Niemcy sprowadzili w końcu straż pożarną, która wsuwała węża strażackiego, ale zanim zaczęła pompować wodę, spadochroniarze tego węża kilka razy wypchali na zewnątrz. Do momentu, aż złamała im się drabina, bo okienko było wysoko pod sufitem i nie sposób już było do niego sięgnąć. Kiedy broniącemu się żołnierzowi zostawał jeden nabój, sam strzelał sobie w głowę - i tak skończyli życie. A więc naprzeciwko Cyryla i Metodego, a dokładnie naprzeciwko tego okienka śmierci, jest fajna knajpa i właśnie ten lokal na ich cześć nazywa się Pod Spadochroniarzami.

To mało?

Zszedłem do sławnej krypty, skąd w przypływie furii faszystów wyciągnęli wszystkie trumny z pochowanymi w nich księżmi, gdzie teraz należy wyłączyć komórki, panuje półmrok, leżą pamiątki po bohaterach, składa się kwiaty i wieńce. Na jednym z wieńców w rogu ktoś zostawił zwiniętą kartkę w kratkę. Pomyślałem, że może napisał dzielnym spadochroniarzom coś miłego. Może podziękował za ich czyn. Podniosłem ją, rozwinąłem i przeczytałem:

„Heydrich, ty fiucie!!!”.

Żeby uczcić bohaterów, otworzyłem więc drzwi knajpy Pod Spadochroniarzami<sup>14</sup>.

## **O Polakach i Czechach**

Przez moje miasteczko Złotoryja na Pogórzu Sudeckim 21 sierpnia 1968 roku przejechała kolumna polskiego wojska, która potem przekroczyła granicę koło Nachodu i 22 sierpnia dojechała do Hradca Králové.

Ludzie błogosławili przejeżdżające wojsko znakiem krzyża.

Ktoś wystawił w oknie świecę i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, żeby błogosławiła żołnierzom.

Niektórzy mieszkańcy Dolnego Śląska, co widać na zdjęciach, rzucali nawet kwiaty na czołgi.

---

<sup>14</sup> Siły patriotyczne w społeczeństwie czeskim zwyciężyły - pomnik wreszcie powstał. Odsłonięto go 27 maja 2009 roku, w sześćdziesiąt siedem lat po zamachu. Nieco dalej niż w miejscu zdarzenia, ponieważ jest tam teraz trasa szybkiego ruchu, przy zjeździe z ulicy Zenklovej do ulicy V Holešovičkách. Lokal Pod Spadochroniarzami (U Parašutistů) w Pradze na Nowym Mieście ma adres Resslova 7. Obelisk w miejscowości Nehvizdy, gdzie ich zrzucano, powstał dopiero w 2007 roku.

Mówili, że musimy w Czechosłowacji interweniować, bo jeśli tego nie zrobimy, to wkroczą tam zachodni Niemcy. Trzeba bronić sąsiada.

A tak naprawdę sąsiad od kilku miesięcy czuł się wreszcie uwolniony. Nie wolny, bo do tego trzeba by zmienić ustrój, ale wyobrażam sobie, że miał przyjemne uczucie, jakie ma mężczyzna, który może rozpiąć koszulę i poluzować krawat.

Trwała Praska Wiosna i już kolejny miesiąc można było mówić i pisać, co się myśli. Można też było wyjechać za granicę tam, gdzie człowiek chciał. Oczywiście nie chodziło o prawdziwą demokrację i pluralizm, jakie istniały przed wojną. Nadal chodziło o socjalizm, tylko taki, który nikogo już nie wyklucza i nie poniża.

Wychodziły zakazane książki.

Lenka Reinerová (którą poznałem w 2003 roku i była wtedy ostatnią już niemieckojęzyczną pisarką Pragi) dzięki Wiośnie mogła wydać na przykład swoje wspomnienia ze stalinowskiego więzienia, gdzie przesłuchujący kazali jej się tłumaczyć, jakim prawem żyje. „To naprawdę ciekawe - mówił śledczy. Twierdzicie, towarzysko, że naziści zamordowali podczas wojny całą waszą rodzinę. I właśnie wy mieliście takie szczęście, że wam jednej nic się nie stało”<sup>15</sup>.

Uważam, że największym osiągnięciem Praskiej Wiosny było to, że można było bezkarnie wspominać.

„Walka człowieka z władzą jest walką pamięci z zapomnieniem” - mówi w 1971 roku jeden z bohaterów Milana Kundery.

Lider tych zmian, sekretarz partii komunistycznej Alexander Dubček, pisał po dwudziestu latach, że w porównaniu z Praską Wiosną, pierestrojka Gorbaczowa była letnią słabą herbatką, a głośność przegrywała w konfrontacji z wolnością słowa, jaką ustawami zagwarantowali sobie Czesi.

Związek Radziecki postanowił położyć temu kres i pięć armii Układu Warszawskiego najechało na Czechosłowację. Ponoć Breżniewa najbardziej wściekało to, że pozwala się tam ludziom mówić, co chcą.

Po wejściu wojsk Dubček wraz z całym Komitetem Centralnym partii został przez radzieckich komandosów wywieziony do Moskwy i zmuszony do podpisania porozumienia, w którym godził się na pobyt obcych armii w swoim kraju.

Polacy rzucali Czechom ulotki:

---

<sup>15</sup> Wspomnienia te - *Barwy słońca i nocy* - zostały wydrukowane, ale nie zdążyły dotrzeć do księgarń. Po zdławieniu Praskiej Wiosny, nastąpiła neostalinizacja, zwana wówczas w Czechosłowacji normalizacją, i usunięto ze sprzedaży setki książek, które państwowe wydawnictwa pozwoliły sobie w 1968 roku wydać, w tym książki Havla, Kundery, Kohouta, Škvoreckiego. Polski wybór tekstów Lenki Reinerovej ukaże się nakładem wydawnictwa Czarne.

„Przyszliśmy wypełnić internacjonalistyczną powinność wobec Was i nas samych.

Bracia!

Spójrzcie prawdzie w oczy i uświadomcie sobie, jaki los Wam szykowały Wasze siły reakcji. W obliczu niebezpieczeństwa jesteśmy z Wami - tak jak kiedyś razem, w jednym szeregu pod Grunwaldem pokonałiśmy państwo krzyżackie".

W ciągu kilku tygodni po najeździe - zanim zamknięto granice - uciekło z Czechosłowacji sto pięćdziesiąt tysięcy obywateli.

W Warszawie odbywały się protesty przeciw tej interwencji, ale społeczeństwo małego miasteczka Złotoryja było od tych informacji precyzyjnie odcięte. Tak jak i żołnierze, którym wmówiono, że będą musieli walczyć z Niemcami, bo udając turystów, Niemcy wtargnęli do Czechosłowacji, żeby zainstalować w niej kapitalizm<sup>16</sup>. Oficerom pokazywano nawet zdjęcia niemieckich wczasowiczów, którzy pod odzieżą mieli schowaną broń i stworzyli już potężne bazy wojskowe. Czesi i Słowacy byli ponoć całkowicie ogłupieni przez zachodnią propagandę, bo zakochali się w markach i dolarach.

Na współczesną uwagę, że przecież to jakaś bzdura, jak żołnierze mogli w 1968 roku uwierzyć w nową wojnę z Niemcami, jeden z ówczesnych polskich dowódców, odparł, że uwierzyli. „A czy niedawno cały świat nie uwierzył, że Irak ma broń atomową?" - spytał<sup>17</sup>. Jego pokolenie wciąż pamiętało wojnę, niechęć do Niemców była powszechna. „Władze wiedziały, że uwierzymy we wszystko, co tylko złego powiedzą o Niemcach, przecież dzieciństwo spędziłem pod okupacją" - tłumaczył.

Słowem - polscy żołnierze spodziewali się, że w Hradcu Králové będą walczyć nawet z hitlerowcami.

Opór czeskiej ludności cywilnej wobec najeźdźców był gwałtowny i zorganizowany. Na drodze polskiej armii Czesi ustawiali zapory z autobusów i ciężkich maszyn drogowych; tworzyli ściany ognia z podpalonych opon, co było szczególnie niebezpieczne dla cystern z paliwem; zwalali drzewa i bloki skalne na górskich drogach, gdzie nie było możliwości manewru; na długie godziny opuszczali szlabany kolejowe, twierdząc, że zaraz będzie przejeżdżał pociąg; stawali grupą przed czołgami na środku drogi.

---

16 *Wejście generałów*, opublikowany w kwartalniku „Karta" nr 06/1991 raport o operacji wojskowej „Dunaj" zawiera wiele ankiet przeprowadzonych wśród jej dowódców.

17 O pracy propagandowej nad żołnierzami Ludowego Wojska Polskiego w sierpniu 1968 roku mówi płk Jan Gazarkiewicz, który uczestniczył w operacji „Dunaj" w rozmowie z Piotrem Lipińskim *Sceny z życia okupanta* - „Duży Format" dodatek do „Gazety Wyborczej" z dnia 19.08.2008 r.

Polskie wojsko aresztowało budujących barykady Czechów i wywoziło do Polski.

Na murach i wystawach sklepowych pojawiały się napisy: „Polacy! Dopuściliście się tragicznej pomyłki. Dlaczego daliście się okłamać?!”.

W Hradcu Králové rozdawano polskim żołnierzom ulotkę:

JESTEŚ POLSKI ŻOŁNIEZ!!!

Dlaczego przyśliście do naszej ziemi?

Nasza ziemia była swobodnie a radośnie do 21 sierpnia.

Żyliśmy a pracowali.

W naszej ziemi nie jest Rewolucja!

Naród Czechosłowacki stoi za DUBCEKIEM a prezydentem SWOBODOU.

Nasz prezydent jest hrdiną Związku Radzieckiego.

Prosimy Cię myślij o Wszystkim. Dajemy Ci pytanie:

Dlaczego jesteś w Czechosłowacji???

Mówimy Ci, że Czesi a Słowacy chcą demokracją a socjalizm w czele ze s. Dubčekem.

W NASZYCH REKACH NIE BROŃ!!!

NIE STRZELAMY!!!

NIE STRZELAMY!!!

Propagowano nowy Dekalog Czechosłowaka. Na żądania okupanta należało odpowiadać: 1. Nie wiem. 2. Nie znam. 3. Nie powiem. 4. Nie mam. 5. Nie umiem. 6. Nie dam. 7. Nie mogę. 8. Nie sprzedam. 9. Nie pokażę. 10. Nie zrobię. Do rangi zbiorowego mitu urosło wspomnienie, jak w Pradze radzieccy żołnierze po kilku dniach dosłownie usychali z pragnienia, a żaden mieszkaniec nie chciał im dać wody.

Kiedy w 1969 roku na hokejowych mistrzostwach świata w Sztokholmie Czechosłowacja grała mecz z ZSRR i wygrała 2:0, jeden z niewielu czechosłowackich kibiców na trybunach trzymał transparent: „W sierpniu wy, teraz my”. Po hymnie zwycięzców zawodnicy powinni sobie podziękować, ale drużyna czechosłowacka odwróciła się i poszła do szatni, nie podając Sowiecom ręki. Tydzień później na kolejnym meczu z ZSRR, gdy drużyny stanęły na lodzie, pięciu czechosłowackich zawodników miało na koszulkach przyklejone plastry. Wszyscy w tym samym miejscu



- na piersiach nad godłem państwa. Tak zasłaniali radziecką gwiazdę. Czeski lew miał koronę do czasu, kiedy komuniści nie objęli władzy i nie zastąpili jej pięcioramienną czerwoną gwiazdą. Czechosłowacja znów wygrała, tym razem 4:3. Ludzie wylegli na ulice z flagami, w Pradze demonstrowało sto tysięcy osób. Niektórzy na kartonach wypisali wynik 4:3 i nieśli je dumnie nad głowami.

Czesi są mistrzami pacyfizmu, ale to nie znaczy, że brakuje im honoru.

Gdy polskie wojsko wracało jesienią do domu, ludność Dolnego Śląska wręczała oficerom listy, na przykład: „W imieniu związków zawodowych naszego zakładu gratulujemy pokrzyżowania planów sił imperialistycznych”. Gdziekolwiek znów obsypywano czołgi kwiatami.

Niestety, wtedy o tym wszystkim nic nie wiedziałem. 5 września 1968 roku miałem skończyć dopiero dwa lata.

Kiedy mając lat trzydzieści cztery, przyjechałem do tego kraju po raz pierwszy, zastanawiałem się, czy Czesi w XXI wieku pamiętają Polakom okupację tak, jak Polacy Rosjanom pamiętają wszystko.

W Hradcu Králové urząd miejski wydał kalendarz ścienny z fotografiami miasta w ważnych historycznych momentach. Oprócz okupacji hitlerowskiej jest tam też zdjęcie czołgów na starówce z podpisem „Polska okupacja 1968”. - Czesi są uprzejmi, ale pamiętają - uważa moja znajoma, która ten kalendarz dostała. Pewna Polka wyszła za Czecha i napisała mi, że dziadek męża (rocznik 1920) robił jej wymówki za 1968 rok na jej własnym ślubie.

W ciągu następnych lat kilka razy mówiłem moim czeskim znajomym, że strasznie mi głupio, że Polacy u boku Sowietów w sześćdziesiątym ósmym...

- Właściwie to powinienem was szczerze przeprosić - powiedziałem do czeskiej nauczycielki, czeskiego menedżera, czeskiego mistrza telewizyjnej sztuki kulinarnej i czeskiej pisarki.

- No co ty? - odpowiadali. - A co tu Polacy winni? Gdybyśmy my dostali od Sowietów rozkaz najazdu na Polskę, to też byśmy was najechali.

## **Kod**

Drzwi do czteropiętrowego czynszowego domu z lat trzydziestych, gdzie wynajmowałem kilka razy mieszkanie, otwierają się, jak wiele takich, na kod w domofonie.

Dom stoi w dzielnicy Pankrác w rejonie między ulicami Na Veselí a Na lepším, czyli po polsku: Na Wesołym i Na Lepszym, nazwanych tak na pewno po to, żeby mieszkańcy szybciej zamienili sobie życie w anegdotę.

Ten kod do drzwi to: 1968\*.

Raz go zapomniałem i starszy pan z góry podpowiedział mi, jak zapamiętać go na zawsze.

- Proszę pomyśleć, że 1968 i gwiazdka to sowiecka gwiazdka podczas inwazji na Pragę, w sierpniu sześćdziesiątego ósmego.

- Sprytne!

- To coś więcej niż spryt, proszę pana. W naszym domu nie zapomina się o historii!

### **Ja tylko przejeżdżałem tramwajem**

Oglądaliśmy zdjęcia na wernisażu w Budapeszcie (17.11.2009). Czesi w Czeskim Centrum pokazywali Węgrom, jak wyglądała u nich aksamitna rewolucja w 1989 roku. W dwudziestą rocznicę bezkrwawego upadku komunizmu - stąd aksamit w nazwie, bo nie zginął wtedy ani jeden człowiek. Na zdjęciach - tłumy manifestantów w czeskich i słowackich miastach.

Niewysoki mężczyzna w szarym garniturze miał około pięćdziesiątki, siwiał już. Stał przed ścianą z fotografiami i opowiadał zebranym, że przedstawiają one jeden z najważniejszych momentów w historii Czechosłowacji. Nagle pokazał na jedno zdjęcie i powiedział:

- A tę grupę manifestantów widziałem osobiście.

- Pan stał tam w środku? - upewnił się ktoś po węgiersku.

- Nie, ja tylko przejeżdżałem obok tramwajem. My, pasażerowie, w ogóle nie wiedzieliśmy, co się dzieje, dlaczego takie tłumy na ulicy. Motorniczy nawet się nie zatrzymał, zwolnił tylko. Drzwi otworzył pasażerom dopiero dwa przystanki dalej, ale ja pojechałem tym tramwajem już do domu. Dopiero z dziennika telewizyjnego dowiedziałem się, o co w ogóle chodzi i po co ci ludzie tam stali. Właściwie wszystkiego dowiedziałem się z telewizji - wyjawiał i przeszedł do następnego zdjęcia.

Co chcę powiedzieć?

Przecież ten mężczyzna mógł po dwudziestu latach utrzymywać, że wysiadł z tramwaju i też obalał ustrój. Mógł opowiadać, że skoro motorniczy nie otwierał drzwi,

sam je otworzył i wyskoczył (co to za sztuka otworzyć samemu drzwi tramwaju?). Mógł powiedzieć, że szybko wrócił dwa przystanki pieszo i stał już z dwustutysięcznym tłumem do nocy. Mógł nawet dodać, że zaraz po wydostaniu się z tramwaju dopadło go dwóch uzbrojonych milicjantów w maskach z pleksiglasu i dostał pałą. Mógł skromnie odnotować swój udział w zdobywaniu wolności albo odmalować go z rozmachem.

A on - nie, on - że tylko przejeżdżał tramwajem.

## **Matematyk**

Mieli zabić młodego mężczyznę. Miał się nazywać Martin Šmíd. Miał być studentem, który w piątek 17 listopada 1989 roku zginął w masakrze studentów. Mieli ich ścisnąć ze wszystkich stron tak, żeby się podusili, mimo że krzyczeli: „Nie chcemy przemocy, mamy puste ręce!”. Miała z niego kapać krew, kiedy nieśli jego ciało aleją Narodową. Miała tę wiadomość przekazać dozorczyńni z akademika, gdzie mieszkał. Miały o tym wieczorem mówić Wolna Europa i Głos Ameryki.

Mówiły.

Wiadomość o jego śmierci była zacznym zdarzeń, które - jak wiemy - zakończyły się szczęśliwie: wybraniem na prezydenta największego wroga Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej.

Następnego dnia na alei Narodowej zawisł czarny transparent: „Jan Opletal 1939 - Martin Šmíd 1989”. Aleją przechodziły tłumy prażan, paląc świece tam, gdzie były ślady po krwi studenta Šmída i wszystkich innych rannych we wczorajszej akcji.

Jan Opletal pięćdziesiąt lat wcześniej studiował medycynę. 28 października 1939 roku razem z innymi uczcił rocznicę powstania Czechosłowacji. Niemcy zdążyli już po niemiecku nazwać ulice, wprowadzili niemiecki jako język urzędowy i zakazali obchodzenia tego święta. Jednak wielu Czechów masowo wyszło z domów ze wstążeczkami w kolorach czechosłowackiej flagi. Wpięli je sobie w klapy płaszczy. Studenci włożyli na głowy czapki, jakie nosił założyciel państwa, Tomáš Garrigue Masaryk. Widząc tłum zebrany pod pomnikiem Świętego Wacława, hitlerowcy zaczęli strzelać bez ostrzeżenia. Na schodach Muzeum Narodowego stał z biczem w ręku księgarz z Karłowych Warów, Karl Hermann Frank, sudecki Niemiec. Szła za nim plotka, że jest nieudanym księgarzem i nie spłacił długów, uratowała go przed nimi wojna. Teraz jako wysoki dowódca ss dowodził akcją policji. Strzały zabiły dwie osoby,

w tym studenta Jana Opletala. Jego pogrzeb 15 listopada stał się następną antyhitlerowską demonstracją, co tak rozsierdziło Niemców, że dwa dni później rozstrzelali dziewięciu studenckich działaczy. Zaraz potem, za karę, wywieźli do obozów koncentracyjnych tysiąc dwustu studentów i zamknęli wszystkie wyższe uczelnie.

Martin Šmíd, dziewiętnastoletni student matematyki, pięćdziesiąt lat później nie został zabity.

Szedł w piątek wieczorem z demonstracją studentów, którą milicyjne kordony zatrzymały, żeby nie doszła ani na Zamek, ani na plac Waclawa. Dziesięć tysięcy studentów usiadło więc na ulicy, naprzeciw uzbrojonych mundurowych. Dziewczyny, które miały kwiaty (pierwotnie studenci chcieli je złożyć na grobie romantycznego poety Karela Hynka Máchy), wkładały je milicjantom za maski na twarzach. Mężczyźni w maskach stworzyli tak zwaną uliczkę - każdy, kto chciał opuścić to miejsce, musiał przebiec między nimi, walony z obu stron pałkami. (Naliczono 568 rannych). Powoli milicja wyczyściła aleję Narodową z ludzi, setkę demonstrantów odwieziono na komisariaty, a na ulicy leżało nieruchome młode ciało. Ludzie myśleli, że to zabity student. Później wyjaśniło się, że była to milicyjna prowokacja - nieżywego udawał współpracownik Służby Bezpieczeństwa.

Martin Šmíd poszedł sobie z manifestacji wcześniej, przed atakiem, bo - jak potem opowiadał - było mu zimno. W sobotę cały dzień oglądał w akademiku wideo, a wieczorem dowiedział się o swojej śmierci. W niedzielę rano odszukała go telewizja, żeby udowodnić społeczeństwu, że żyje. Mając na uwadze rannych, powiedział do kamery, że otarła się o niego śmierć. On nie był ranny, za to koledzy - tak. (Drugiej części wypowiedzi telewizja nie wyemitowała).

Nikt nie został zabity, dlatego jeden z uczestników wydarzeń, który każdego dnia pisał kronikę, gdy przyszło do wydania drukiem, zatytułował ją *Něžná revoluce*, co tłumaczyć można jako rewolucję czułą, delikatną albo subtelną.

Chciałem porozmawiać z byłym studentem Šmídem (dziś pracownikiem naukowym Instytutu Teorii Informacji i Automatyzacji Akademii Nauk), uważanym przez chwilę za męczennika.

Przez dwadzieścia lat z okazji kolejnej rocznicy upadku komunizmu, jako ten, od którego upadek się zaczął, udzielił wielu wywiadów. Dlatego teraz kategorycznie odmawia rozmów. Na swojej stronie internetowej napisał, że nie ma nic do dodania.

„Typowa rozmowa ze mną wygląda następująco:

Pyt.: Co pan robił 17 listopada 1989 roku?

Odp.: Byłem na demonstracji, ale poszedłem sobie przed atakiem.

Pyt.: Kiedy dowiedział się pan o swojej rzekomej śmierci?

Odp.: W sobotę wieczorem.

Pyt.: Co pan czuł?

Odp.: Nic specjalnego.

Pyt.: A dlaczego powiedział pan: „śmierć mnie dotknęła”?

Odp.: Wycięli to z kontekstu.

Pyt.: Jak, pana zdaniem, powstała ta pogłoska?

Odp.: Dozorczyńni ją szerzyła.

Pyt.: Czym się pan teraz zajmuje?

Odp.: Jestem matematykiem.

Pyt.: Co by pan robił, gdyby rewolucji nie było?

Odp.: Byłbym matematykiem".

## **Nagano**

Każdy naród ma jednak potrzebę patosu i każdy naród ma jednak potrzebę bohatera.

Obie te potrzeby zaspokajają Czechom hokej. Nic ich tak w życiu nie fascynuje jak to, że najbogatsi ludzie świata jeżdżą po zamrożonej wodzie i walą drewnianymi kijami w gumowy krążek.

Istniała kiedyś teoria, że Czechów nic nie fascynuje bardziej niż grzyby (a to dlatego, że grzyby mogą mieć za darmo - twierdził pisarz Jan Burian), została jednak definitywnie obalona, kiedy w 1998 roku w japońskim Nagano zostali mistrzami olimpijskimi w hokeju na lodzie. Pograżyli wtedy w bólu i wstydzie Rosję, z którą wygrali decydujący mecz 1:0.

Po złocie w Nagano Czesi trzy razy z rzędu zdobyli tytuł mistrza, a hokej jako religia okrzepł.

Bogiem Czechów został Dominik Hašek (ur. 1965), bramkarz, który w finale z Rosjanami w Nagano zatrzymał rosyjskie strzały. Ma pseudonim Dominator, a jego nazwiskiem nazwano nawet asteroidę. Czesi skandowali: „Hašek na Zamek!", co oznacza, że chcą go na prezydenta. Skończył studia historyczne i filologiczne; przeznaczył milion dolarów na biedne dzieci, żeby mogły grać w hokeja, a grając w NHL, najlepszej lidze na świecie, sześciokrotnie sięgał po Vezina Trophy i jako pierwszy

bramkarz w historii zdobył drugi rok z rzędu Hart Trophy (to niezrozumiałe dla mnie zdanie w języku hokeja oznacza genialność).

Jaromír Jágř (ur. 1972) jest bogiem numer dwa. Prawoskrzydłowy, gra z numerem 68 dla upamiętnienia Praskiej Wiosny, najazdu Sowietów i śmierci dziadka, który w tym roku zmarł w więzieniu. Uważany był za najlepszego hokeistę świata; krążek trzyma się jego kija jak magnesu i fenomen ów wymyka się rozumowi, a media tyle samo uwagi poświęcają jego pasemkom na włosach, co golom. Po sukcesach w NHL przeszedł do klubu Awangard Omsk i właśnie w Rosji wstąpił do kościoła prawosławnego, gdzie został ochrzczony. Zauważono, że gdy na lodowisku jest pusto i światła są przygaszone, Jágř wchodzi tam i medytuje.

Obaj są podziwiani i kochani, na obu czescy mężczyźni z przyjemnością sędowali swoje bohaterstwo.

Jednak potrzebę patosu i potrzebę bohatera ma nie tylko naród. Obie te potrzeby ma też opera.

Powstał więc pomysł, aby wystawić w Teatrze Narodowym w Pradze operę o hokeju.

Właściwie autor libretta Jaroslav Dušek i kompozytor Martin Smolka dokonali w sztuce operowej nowego odkrycia: że przesadę, patetyczność, dramatyzm i upojenia opery może unieść w dzisiejszych czasach już tylko hokej.

Muzykę napisano w stylu postminimalizmu; libretto w stylu dźwiękonaśladowczym, scenografię zbudowano w stylu lodowiska, dyrygenta ubrano w strój sędziego, a operze nadano tytuł *Nagano*.

Skoro dla Czechów „Hašek jest bogiem”, w jego roli obsadzono właściciela boskiego głosu, to znaczy kontra-tenora obdarzonego wysokim głosem kobiecym. Jaromir Jágř natomiast zaśpiewał miłosny duet z lodową taflą. Jednak to nie bogowie byli wiodącymi postaciami.

Głównym bohaterem czeskiej opery narodowej stał się trzeci bramkarz, rezerwowo Milan Hnilička (ur. 1973) - zawodnik, który musi być przygotowany do wejścia na lód, ale tylko w sytuacji, kiedy dwóm bramkarzom po kolei się nie wiedzie. Choć trudno sobie wyobrazić, żeby nie wiodło się bogu Haškowi. No ale powiedzmy, że i bóg może mieć uraz pachwiny. Hnilička wchodzi więc rzadko i chyba nie ma w drużynie zbyt przyjemnej roli. Do tego w Nagano spotkał go straszny cios.

Kiedy szef Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego zakładał Czechom na szyje złote medale, zobaczył na końcu Milana Hniličkę bez hokejowego rynsztunku, w

samym dresie, z chorągiewką w dłoni. Uznał, że to kibic, który zaplątał się przez przypadek na lodowisko, i pominął go w dekorowaniu.

I właśnie to wydarzenie opiewane jest w operze *Nagano*.

Znów kultura czeska niby wychodzi naprzeciw zdrowej społecznej potrzebie, lecz odpowiada na nią wizją bohatera niewydarzonego. Patetyczne odpatetycznia, bohaterskie odbohaterszcza.

I znów zamiast skorzystać z okazji i szczerze odmalować wielkich gladiatorów, stosuje tę najszlachetniejszą ucieczkę od szczerości - ironię.

## POST MORTEM

Życie Martina Šmída po fałszywej śmierci, według niego samego:

„Mając 25 lat, kokietowałem myśl o żydostwie i czytałem Singera.

Mając 26, nieszczęśliwie się zakochałem.

Mając 27, postanowiłem się ochrzcić.

Mając 28, przeczytałem *Niebiańską przepowiednię* Redfielda i ewangelizowałem.

Mając 29, uczyłem się astrologii.

Mając 30, czytałem *Rozmowy z Bogiem* Walscha i sporo przewartościowałem.

Mając 31, byłem bierzmowany.

Mając 32, odbywałem kursy rozwoju osobistego (pomoc przy zablokowanych emocjach).

Mając 33, założyłem rodzinę i mam spokój (na razie)".



## **czy mógłbym nie wierzyć?**

Najwyższy czas, aby Polacy zrobili coś dla dobra tej książki.

Czy mógłbym nie wierzyć w Boga? - studenci Polskiej Szkoły Reportażu spytali o to młodych Polaków, którzy wstąpili do partii Prawo i Sprawiedliwość (maj 2010):

„Ktoś kiedyś powiedział, że największe katusze przeżywa ateista, gdy czuje wdzięczność, a nie ma komu podziękować”.

„Życie bez wiary w Boga to życie samotne i puste, jakbyś nie miała wnętrza, jakbyś była głodna, ale nigdy nie mogła się najeść. Dla mnie tak właśnie wygląda życie bez wiary”.

„Wiara może uchronić człowieka przed negatywnymi skutkami cywilizacji”.  
„Brak Boga to brak celu”.

„Nie wyobrażam sobie życia bez Boga. Wyobrażam sobie, że człowiek, który tego nie ma, jest przestraszony. Tym, co się stanie po śmierci, i tym, jak wygląda jego życie”.

## jak się państwu żyje bez boga?

Tramwaj jechał wzdłuż Wełtawy, a blondynce na głębokim dekolcie podskakiwał duży krzyż. Na przystanku wsiadła brunetka z sześcioma kolczykami w nosie, cmoknęły się w policzek, wsiadająca przyjrzała się biżuterii koleżanki i wypaliła:

- Co to jest?
- Jezus na krzyżu. Srebrny! Babcia mi dała.
- I ty zamierzasz tego trupa nosić?!
- Ale on jest ładny!
- Tylko że nieżywy. Babcia nie mogła ci dać Buddy? Przynajmniej jest weselszy.

No jak można nosić nieboszczyka?! Aż mi ciarki przechodzą po plecach.

- Ale on mi pasuje do bluzki.

Ta scena - ilustrująca niczym nieskrępowany stosunek Czechów do sacrum - podsunęła mi pomysł, żeby zbadać, jak im się żyje bez Boga. Ciągłe przecież słyszę: „Jesteśmy najbardziej zateizowanym narodem świata”.

Tylko jedna trzecia przyznaje się do jakiegoś wyznania. Są miasteczka bardzo religijne (na Morawach). Są miasteczka, gdzie wierzy tylko jeden mieszkaniec na dziesięciu (województwo usteckie). Dwie trzecie społeczeństwa deklaruje ateizm, ale ocenia się, że może tylko jeden procent Czechów to świadomi ateści, odrzucający istnienie Boga, o którym coś wiedzą.

Nieprzypadkowo w Czechach można usłyszeć: „Wierzę w ateizm”<sup>18</sup>. Brak wiary w Boga zastępuje wiara w różne idee, które potocznie wrzuca się do worka z takim napisem. Na przykład były socjaldemokratyczny premier Miloš Zeman znany jest z tego, że obejmuje drzewa, bo wierzy w energię drzew, która ma wpływ na ludzkie życie. Jednak dla przytłaczającej większości religia jest czymś obojętnym, czym nie warto się zajmować.

Biskup pomocniczy Pragi Václav Malý wyznał kiedyś, że chrzci w swojej parafii pięcioro dzieci rocznie i nie jest to sytuacja typowa dla księży w Czechach. - Ja po prostu mam więcej chrztów, bo jestem znany - wyjaśnił.

### **Bóg już nie straszy**

---

18 Powiedzenie to przytacza Robert Kulmiński w - nieocenionej dla czechofila i wielbiciela literatury czeskiej skarbnicy cytatów, przytoczeń i syntez - książce *Śmierć w Czechach. Wizje śmierci w prozie czeskiej 1945-1989*. Esej ten wydano nakładem Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2008.

Poprosiłem polskich katolików, aby zadali pytania niewierzącym w Czechach. „Jak się Państwu żyje bez Boga?” - Normalnie - odpowiedziała Eva Pavlová, 45 lat, z Pilzna, wykształcenie średnie, księgowa, córka weterynarza i dyplomowanej pielęgniarki, mężatka. Matka zwierzyła się jej, że miała dwie aborcje, na Evę pozwoliła sobie, dopiero gdy dostali mieszkanie. Zapamiętała, że mieli w domu *Vademecum lekarza ateisty*. Eva zaszła w ciążę dokładnie wtedy, kiedy mama (dwadzieścia dwa lata i też w okolicach Nowego Roku), nie chciała wtedy dziecka, ale nigdy by nie usunęła. - I nie ma to nic wspólnego z żadną wiarą, bo nie wierzę w duszę. Tylko nie zniosłabym myśli, że życie, które jest we mnie, zostało zamordowane - mówi. Przy okazji przypomina, że liczba aborcji w Czechach spadła przez dziesięć lat o osiemdziesiąt procent. Bo upowszechniły się środki antykoncepcyjne. Kiedy jej mała Anička spytała, patrząc na krzyż, co to za pan tu wisi, powiedziała jej, że tak jak w zamkach mieszkają królowny, tak w kościołach mieszka Pan Jezus. I że to jest taka bajka. Niektórzy dorośli w nią wierzą. - Szczerze mówiąc - wyznaje Eva - dorosłemu też inaczej bym nie umiała wyjaśnić.

- Całkiem fajnie -

odpowiedział Milan Bílý, 27 lat, z Pragi, wykształcenie wyższe, organizuje eventy dla firm, kawaler, gra na gitarze, soboty spędza w klubach. Nie miał żadnego kontaktu z religią. Babka - przedwojenna komunistka. Oddać się Bogu to, według niego, nie radzić sobie z życiem. - Oczywiście nic w tym złego - zaznacza. Milan uważa, że Czesi nie mogą przyjąć żadnej religii, bo są zbyt dużymi indywidualistami. Co trzy miesiące oddaje honorowo krew. - Ja też mogę być kiedyś w potrzebie - tłumaczy. Denerwuje go, gdy Polacy, z którymi się styka, usiłują go przekonać, że jeśli nie wierzysz, to nie wyznajesz wartości. - Nasz największy przedwojenny pisarz Karel Čapek pisał o potrzebie wewnętrznej pokory. Nazywał ją pobożnością bez Boga. Masz rozumieć drugiego człowieka. Do pokory nie musisz być religijny - przekonuje. Milan nie znosi hipokryzji. Był kiedyś w Częstochowie z dwiema Polkami. Każda miała wyraźną ochotę, żeby między nim a nią coś się wydarzyło, atmosfera była zdecydowanie erotyczna. - A na Jasnej Górze padły przed ołtarzem na ziemię. Naprawdę leżały! - mówi zniesmaczony. - Może chciały przeprosić za grzeszne pragnienia - dodaje po namyśle. Podkreśla, że Czesi nie znają tabu. - Czech nie może żyć bez dowcipu. Jak tylko umarł Jan Paweł II, jeden tygodnik wydrukował rysunek: konklawe, jakiś kardynał krzyczy, że teraz na papieża kardynał Pedofillini!

- Nie do końca bez Boga, coś tam przecież istnieje - odpowiedziała Gabina

Weber z Pragi, 40 lat, wykształcenie wyższe, tłumaczka, mężatka (mąż Niemiec), dwoje dzieci. Jej matka - ochrzczona ewangeliczka, ojciec - ochrzczony katolik, inżynierowie. Nie wychowywali jej w wierze, ale i nie w ateizmie. Bóg w domu nie był ani negowany, ani afirmowany. - Córeczko tłumaczę, że Jezus rzeczywiście istniał, ale czy był to Syn Boży, jest nam to obojętne. Najważniejsze, że był przykładowym człowiekiem - mówi. Wiele zdań podczas naszej rozmowy poświęca „tragedii Kościoła katolickiego”, za jaką uważa nieakceptowanie prezerwatyw. - Jeśli chodzi o Afrykę i AIDS, to ta absolutna prawda Kościoła musi się zrelatywizować. Przecież chodzi o czyjeś życie!

- Przyjemnie -

odpowiedział Ondřej Veselý, 42 lata, wykształcenie wyższe, dyrektor we francuskiej firmie, mieszka od czterech lat na wsi pod Pragą ze swoim chłopakiem. Nie chce rejestrować związku, popiera prawicę. - Ateista nie znaczy komunista, a czeska prawica nie ma nic wspólnego z Kościołem - zaznacza. Mówi, że rodzice dali mu w komunizmie „szare wychowanie”: - Najlepiej się niczym nie wyróżniaj, bo cię zauważą i możesz podpaść. Nie, że mam się starać być najlepszym, tylko mam pielęgnować średniactwo - opowiada. Rodzice nigdy nie wspominali o Bogu. Śmieszę go podejście wielu Polaków (w biznesie poznał ze stu), że nie mając katolickich zasad, nie można być dobrym człowiekiem, jako nastolatek chodził do kościołów (przeważnie katolickich), ale ich wnętrza kojarzą mu się tylko ze śmiercią. - Z czymś martwym i przygnębiającym - dodaje. Choć zna parę ateistów, która wzięła ślub cywilny i, żeby zrobić przyjemność wierzącym rodzicom, wynajęła na jungle-party zdesakralizowany kościół Sacré Coeur na Smíchovie. Reklama na tym kościele zachwala, że jest idealny na rauty i pokazy mody<sup>19</sup>. Ondřej przeżył ciężkie wypadki samochodowe. Wierzy więc, że istnieje coś nad nami. - To management istnienia, mechanizm przyrody. Natura decyduje o tym, które zwierzęta mają przeżyć. Jeśli jakiś kontynent zbyt się rozmnaża, management przychodzi tam z HIV czy ebolą. Chciałbym być tym najlepszym, najsilniejszym wybranym przez naturę. Tym, który ma największą zdolność przeżycia.

- Lżej niż z Bogiem -

odpowiedzieli Alexandra i Petr Vidlákowie, po 32 lata, prowadzą prywatne przedszkole anglojęzyczne w Ostrawie; lubią wyjść wieczorem na czerwone wino, Petr

<sup>19</sup> Ciekawy esej o desakralizacji przestrzeni miejskiej w Pradze napisała Joanna Derdowska - *Praskie przemiany*, Zakład Wydawniczy Nomos, Kraków 2006. Omawia w nim wiele przykładów świątyń i budynków zakonnych, które przekształcono w miejsca świeckie. Można by ustalić nową trasę turystyczną tylko po zdesakralizowanych obiektach.

przełożył cztery powieści Olgi Tokarczuk. - W dzieciństwie kościoły pokazywano nam jako element historii Czech i Moraw, i tyle - wyjaśniają. Skoro Vidlákowie nie wierzą, to nie znaczy, że nie czerpią z chrześcijańskiej tradycji. (- Przecież żyjemy według Dekalogu). Kiedy Alexandra była małą dziewczynką, mama - córka wierzącej babci - dbała, by się modliła przed snem. - Nie było to związane z żadną instytucją kościelną, po prostu tak miałam kończyć dzień: piosenka, bajka i modlitwa. Nic w tym nie było złego, ale z jakichś nieuświadomionych powodów pragnęłam zrzucić to jarzmo, najbardziej modlitwę. Kilka lat trwało, aż wygrałam. Bo to była walka. Jak ja się bałam kary z nieba za porzucenie pacierza... - opowiada. Alexandra i Petr pilnują się, żeby nie przenosić na dzieci żadnego irracjonalnego strachu. Uważają, że mówienie dziecku: „Bozia się na ciebie pogniewa” jest nie do przyjęcia, tak się wpaja lęki na zawsze. - My nie mówimy: „Nie bij go, bo nie pójdziesz do nieba”, tylko: „Bo nie pójdziesz jutro do przedszkola”, bo one bardzo lubią do przedszkola chodzić - żartuje Petr. To, że Czesi byli germanizowani przez wieki, ma dla niego swoją dobrą stronę: - Bo Kościół nie rozwinął tu skrzydeł.

- Jak bez tyrana -

odpowiedział Filip Sklenář, 28 lat<sup>20</sup>, publicysta, wolnomyśliciel, pisarz, mieszka w Ostrawie; jego uniwersytet to kilka lat wałęsania się po różnych kontynentach. W Afryce handlował haszyszem. W „Britskich listach”, czeskim czasopiśmie internetowym, zamieścił szeroko komentowany tekst pod tytułem *Jestem dumny, że 80% Czechów przyznaje się do ateizmu*. Uważa się za „agresywnego ateistę”. Skoro w publicznej telewizji chrześcijańska mniejszość ma oddzielne audycje, to powinna je mieć też ateistyczna większość. Pisze o tym sporo. Wydał też powieść *Czerwony bruk*, która jest dowodem na to, że Czesi mają jednak jeszcze jakieś tabu. Tragiczna historia księdza, wykorzystywanego seksualnie przez nastolatka - męską prostytutkę, opatrzona zdjęciem znanej fotografki Sáry Saudkovej na okładce. Postać modlącego się na klęczkach księdza widzimy między nagimi pośladkami i nogami mężczyzny. Księgarnie odmawiały sprzedaży książki z taką okładką.

## **Bóg i badania**

Mimo tak znacznej sekularyzacji życia, wartości, które wyznają Czesi, niewiele różnią się od wartości wyznawanych w krajach religijnych. Najważniejsze to: „żyć w

---

<sup>20</sup> Z Filipem Sklenářem rozmawiałem w październiku 2006 roku. Zmarł pod koniec grudnia 2009 roku w wieku 31 lat, dokładna data śmierci nie jest znana.

zadowolonej rodzinie" (98 procent) i „mieć przyjaciół, z którymi się dobrze rozumiem" (98 procent). Dalej - „żyć zdrowo i dbać o swoje zdrowie" (95 procent) i „żyć przyjemnie, używać życia" (80 procent). Na dwadzieścia podsuniętych przez badaczy wartości - „żyć według zasad religijnych" jest na dziewiętnastym, przedostatnim miejscu.

A jednocześnie w wychowywaniu dzieci najważniejsze dla Czecha są: „przyczynowość", „pracowitość" i „samodzielność".

Na ostatnich miejscach znalazły się „posłuszeństwo" i „wiara"<sup>21</sup>.

„Koniec chrześcijaństwa nie oznacza więc końca świata" - napisał autor tekstu w zbiorze rozpraw dla ewangelickich duchownych, który analizował im te badania.

## **Pytania od wierzących z Polski**

„Jeśli zawiodą Cię wszyscy ludzie, do kogo się zwrócisz?"

Milan: - Do siebie. Nie mam żadnego superwizora. Siebie mam i to jest znacznie trudniejsze. Jeśli zdradzę swoją dziewczynę, mam poczucie grzechu, ale ja sam muszę sobie z tym poradzić. Zostaję z winą, nigdzie nie mogę się rozgrzeszyć. To jest dopiero zadanie.

Alexandra: - Jeśli wszyscy mieliby mnie zawieść, to bardzo źle świadczyłoby o mnie. Więc w jaki sposób ja żyłam, że nagle wszyscy mnie zawiedli?

Gabina: - Przecież mam rodzinę. Do niej się zwrócę.

Ondřej: - Byłem kiedyś chory i miałem ręce i dłonie pełne ran. Nie mogłem znaleźć sensownej pracy, rok chodziłem w rękawiczkach. Żeby przeżyć, tłumaczyłem w domu listy dialogowe do filmów. Czułem się trędowaty. Pojechałem na Prachowskie Skały, żeby zorientować się, gdzie mogę skończyć życie. Było tak ładnie jak dzisiaj. Chodziłem sam po skałach i olśniła mnie myśl: „Tu jest zbyt pięknie, żebym już nigdy tego nie zobaczył". Lekarka widziała, że nie jest ze mną dobrze, i umówiła mi wizytę u psychoterapeutki. Wszedłem, w zaciemnionym pokoju siedziała pogodna pani. Podniosła głowę znad komputera i zobaczyłem, że jest niewidoma. Zrobiło mi się głupio, że przychodzę. Była taka polska piosenka: „Człowiek nie jest sam, nagle spotka drugiego i wie, że jego dno to raj". Uważam, że siłę ateista może czerpać i z ludzi, i z przyrody.

---

21 Na podstawie European Values Study (EVS) - Europejskich Badań Wartości. Jest to wspólny, porównywalny kwestionariusz badań ankietowych reprezentatywnych prób ludności w krajach Europy. Dane pochodzą z EVS 1999.

Petr: - Przyszła do nas do przedszkola pani, 53 lata, która chciałaby założyć przedszkole anglojęzyczne, takie jak nasze. Po śmierci dwudziestoletniego syna opuścił ją mąż i straciła pracę. Polak może by powiedział, że właśnie taka sytuacja jest nie do wytrzymania bez Boga. A ona tę wiarę włożyła w siebie. Chce zorganizować przedszkole.

Alexandra: - Zamiast Boga ta pani szuka racjonalnego wyjścia. Bo my, Czesi, jesteśmy przede wszystkim pragmatykami.

„Jeśli nie ma życia po śmierci, a po nim ani kary, ani nagrody, to jaki jest sens bycia dobrym?”.

Ondřej: - Czy te pytania wymyślała jakaś stara babcia? Być dobrym, bo inaczej kara po śmierci? Być dobrym ze strachu przed Bogiem? Uważam, że im jesteś lepszym człowiekiem, tym twój pobyt tutaj jest bardziej do wytrzymania.

Eva: - Jeśli ty kogoś skrzywdzisz, kiedyś skrzywdzą ciebie. Musisz być dobry, choćby z pragmatycznych powodów.

Filip: - Jak sobie człowiek uświadomi, że jest tylko jeden jedyny raz na świecie, to jeszcze bardziej go to motywuje, żeby znaleźć sens dobrego życia. Dopiero w tym jest logika.

## **Bóg groteskowy**

Absencja Boga w życiu nie oznacza, że jest on nieobecny w kulturze czeskiej. Jest obecny nawet bardziej zaskakująco niż w kulturze religijnych sąsiadów.

Najbardziej kasową sztuką teatralną pierwszych dziesięciu lat XXI wieku w Czechach są *Opowieści o zwyczajnym szaleństwie* Petra Zelenki, w której mężczyzna odbywa stosunek z umywalką.

Postaciom Zelenki - jak setkom literackich bohaterów w Czechach - w ogóle nie przychodzi do głowy, że ich seksualność utrudni im zbawienie.

Jeśli ktoś w tym przedstawieniu współżyje na przykład z odkurzaczem, wynika to wyłącznie z tęsknoty za lepszym życiem.

Czesi widzą sztukę Zelenki jako odnogę cool dramaturgii (jak nazywają nurt brutalizmu w teatrze), którą znamy z Niemiec i Wielkiej Brytanii. Bo nadal obcujemy z dotkliwą samotnością człowieka, którą próbuje on usuwać, głównie - za pomocą różnych odchyień. Jednak zamiast brutalności mamy dowcip.

Niesmak został opakowany.

Przykre uczucia zaśmiane.

Sarah Kane dostała czeską twarz.

W tej komedii najbardziej łapczywie pożądany jest Bóg. Bardziej niż bliskość, drugi człowiek i miłość.

Jeśli Sarah Kane (jak napisała Hanna Krall) uczy nas, dlaczego potrzebny jest Bóg, to Petr Zelenka pokazuje, jak ci, którzy już to wiedzą, Boga poszukują. Rozpaczliwie i groteskowo. Sąsiadka w średnim wieku nie wyobraża sobie, żeby przeżyć orgazm bez świadków: - Potrzebuję, żeby widziały mnie Boże oczy. Oczy tego Kogoś lub Czegoś, co znajduje się nad nami - mówi. Ponieważ jednak żadnego Boga pod ręką nie ma, poszukuje sąsiadów, którzy mają właściwe spojrzenie.

Jej mąż zastanawia się, czy aby Boża łaska nie pomyliła mu się z uwielbieniem dla kobiet, ale zaraz daje sobie do takiego nierozeznania prawo: „Jak każdemu, kto tkwi w bagnie”<sup>22</sup>.

### **Bóg w *pohodie***

Pewien recenzent zarzucił zbiorowi opowiadań autorstwa Jana Balabána, że słowo „Bóg” występuje w nich aż trzydzieści pięć razy, podczas gdy on, recenzent, używa go może raz w roku.

Jan Balabán (kiedy rozmawiamy, ma 45 lat)<sup>23</sup>, pisarz z Ostrawy - jego zbiór opowiadań *Możliwe, że odchodzimy* został Książką Roku 2004 - wychowany w ewangelickiej rodzinie, wierzący.

- Chodzić do kościoła tu, w Ostrawie, mieszance przemysłu i komunizmu, oznaczało w moim dzieciństwie coś niezwykłego - opowiada. - Kiedy kolega zobaczył u nas w domu Biblię, dostał ataku śmiechu. W szkole byłem ośmieszany. „Balabán jest pobożny, cha, cha!”.

Bohaterowie jego książek żyją w blokowiskach Ostrawy, między szybami kopalń. Nie są dowcipnymi Czechami. Są samotni i po przejściach. Często ich życie wydaje się im zbędne. Są jak postacie z obrazów Edwarda Hoppera: tkwią nieruchomo w hotelowych pokojach, ale czujemy tam obecność jeszcze czegoś lub kogoś. Książka Balabána *Możliwe, że odchodzimy* mogłaby się więc nazywać „Możliwe, że nie jesteśmy sami”.

---

<sup>22</sup> Moje uwagi dotyczą tekstu dramatu Petra Zelenki. Filmowa wersja (2005, pod takim samym tytułem w reżyserii Petra Zelenki) moim zdaniem złagodziła rozpaczliwość, jaka wyciera z tekstu.

<sup>23</sup> Z Janem Balabánem rozmawiałem w październiku 2006 roku. Zmarł 23 kwietnia 2010 roku w wieku 49 lat.



Pisarz uważa, że pokazuje ludzi z potrzebą pytań: co nas przewyższa? dlaczego tu jestem? a recenzenci twierdzą, że po prostu pisze o nieudacznikach. - Piszę o prawdziwym społeczeństwie, tylko to nie pasuje do czeskiego poczucia *pohody* - wyjaśnia.

W Czechach *pohoda* jest niezbędna jak tlen.

Benjamin Kuras, brytyjski dramaturg czeskiego pochodzenia, w swojej analizie czeskiego charakteru zauważa, że akceptację Anglika pozyska się dla rzeczy, które dobrze brzmią, bo to naród słuchowców. Niemiec (wzrokowiec) zaakceptuje coś, co przyzwoicie i czysto wygląda. Włoch musi mieć rzeczy w dobrym guście. Czech natomiast, aby cokolwiek zaakceptował, musi się dobrze w tym czuć.

W Czechach najważniejsza jest *pohoda*. Słowo bardziej przydatne niż „ideologia” czy „honor”. *Pohoda* to dobry nastrój, spokój, pogodne usposobienie, przytulność miejsca, bezkonfliktowe związki. Słowem, nie robić ludziom i sobie przykrości. *Pohoda* lubi piwo.

„Wszystko *w pohodie*” - może powiedzieć człowiek po stosunku, gość do kelnera po przyniesieniu dań, aktorka do koleżanki po pierwszym akcie. „Wszystko *w pohodie*” - to jedno z najbardziej pożądanых wyznań.

Dlatego socjalizm miał tu „ludzką twarz”, a rewolucję opakowano w „aksamit”. „Chcesz lojalności Czecha, musisz mu najpierw zapewnić *pohodę*” - pisze Kuras. Na pierwszym miejscu Czech stawia bowiem samopoczucie. Wyssać z każdego drobiazgu coś pozytywnego<sup>24</sup>.

„Bawmy się, cieszymy, jesteśmy przecież Czechami” - woła bohater jednego z ważniejszych czeskich filmów lat sześćdziesiątych. To film *Odwaga na co dzień* - o tym, że kto nie ma odwagi spojrzeć w twarz rzeczywistości i dławi sumienie, ten sam skazuje się na los rozbitka.

- Ta cała *pohoda* jako dominująca część czeskiej kultury mnie denerwuje - mówi Jan Balabán. - Nie wierzę w nią. Kiedy brakuje Boga, zaśmianie lęków jest bardzo przydatne. Tylko że to nie pozwala zbliżyć się do tego, co w nas przykre. Żarty, hece, ironia mają spowodować duchową homeostazę. Że tak naprawdę wszyscy jesteśmy fajni.

- A może Czesi sobie stworzyli kulturę jako prozac? - zastanawiam się.

- Ale przecież prozac to ucieczka od prawdy.

---

24 Jeśli weźmiemy jakąś czeską powieść tłumaczoną na polski, idę o zakład, że na okładce będzie napis w typie: „Pogodna, pełna humoru opowieść o człowieku, który bierze życie takim jakim jest, i potrafi się cieszyć każdą jego chwilą” - bo *pohoda* to jest to, czego z czeskiej kultury pożądamy i my, Polacy.

## **Bóg i Gott**

*Zielony Raoul* to popularny komiks. Jego temat: Republika Czeska widziana oczami ufoludka. Autor rysunków: Štěpán Mareš. Do opisu życia społecznego i politycznego komiks często wykorzystuje symbole katolickie i erotyczne. Niekiedy obie konwencje mieszają się w jednym odcinku.

Premier Miloš Zeman łowi ryby, gmerając ręką w slipach... Politycy odbywają stosunki z innymi politykami, zwierzętami, a nawet z roślinami... Megagwiazdor Karel Gott spółkuje z Pszczółką Mają, co komentuje napis: „Właśnie tak żądli Pszczółka Maja”... Żona prezydenta Dagmar Havlová śpi w łóżku z ojcem republiki Tomášem Garrigue Masarykiem... To komiks, który nikogo nie pozostawia niewinnym.

Z powodu nazwiska Karel Gott (po niemiecku: „Bóg”) jest wdzięcznym obiektem żartów z użyciem religijnych rekwizytów. W 378. odcinku *Zielonego Raoula* król popu wydaje Ostatnią Wieczerzę. - Jeden z was mnie dzisiaj zdradzi - mówi do dwunastu czeskich piosenkarzy.

Dwóch żołdaków prowadzi go do DJ-a Piłata.

- Umiesz miksować płyty? - pyta Piłat. - Wiesz, co to jest drum'n'bass? Nie?! To na krzyż z tobą! A ja umyвам ręce.

Gott odbywa drogę krzyżową i umiera na krzyżu. Na sąsiednim krzyżu wisi znany biznesmen aferzysta.

Puenta: informację o procesie Karela czyta w niemieckiej gazecie Gerhard Schröder. Dzwoni do jednego z czeskich ministrów: - Ukrzyżowaliście Gotta. Jeśli chcecie wejść do Unii Europejskiej, musicie w ramach pokuty wymienić ten głupi hymn narodowy na jakąś piosenkę boskiego Karela.

W odcinku 375. katedra Świętego Wita na Hradczanach zostaje wynajęta na uroczystość wręczenia dorocznych nagród Akademii Muzycznej. W kategorii „odkrycie roku” zwycięża Gott. Wtedy rozsuwają się chmury i piosenkarz krzyczy z nieba: - Nie wymawiaj imienia Bożego nadaremnie, ja stoję poza wszelkimi kategoriami!

Wpada w furję i zamienia katedrę w ruiny. Uroczystość prowadzi aktorka Anna Geislerová, znana z *Powrotu idioty* i *Jazdy*. Korzystając z okazji, że patrzy na nią prymas Czech kardynał Miloslav Vlk, wykrzykuje pod ołtarzem wszystkie wulgaryzmy, jakie przychodzą jej do głowy, od gówna poczynając.

W najbardziej ekstremalnym odcinku komiksu prawicowy poseł Pavel Tollner -

znany przeciwnik rejestracji związków homoseksualnych - odbywa stosunek z Jezusem Chrystusem. Dwaj studenci wydziału teologii zaskarżyli twórców komiksu do sądu o obrazę uczuć religijnych, ale nic z tego nie wynikło. Redakcja z satysfakcją opisywała, jak sąd nie mógł rozpocząć procesu z różnych przyczyn proceduralnych.

Twórcy komiksu raz w sądzie przegrali. Z ministrem Karelem Březiną - byłym szefem kancelarii premiera Zemana - którego przedstawili we wszystkich możliwych pozycjach seksualnych. Ministra przeproszono, ale tuż obok pojawił się rysunek, jak Raoul skręca się z bólu, bo najadł się świństw, w tym „jakiegoś obrzydlistwa z drzew” (bo brzezina znaczy po czesku to samo, co u nas).

*Zielony Raoul* nie jest undergroundowym fanzinem. Rysowany jest co tydzień w popularnym tygodniku „Reflex”, a co jakiś czas w postaci książkowej. Polskiemu czytelnikowi może się kojarzyć z tygodnikiem „Nie”. Jednak w Czechach ten typ satyry jest przejawem zjawiska dość powszechnego, o głębszych korzeniach historycznych i kulturowych niż prowokacje w piśmie Jerzego Urbana.

Czeska kultura nie lubi wzniosłości i patosu.

Jak zauważył przed wojną krytyk Vojtěch Jiráť, „mały czeski człowiek” albo nie dorósł do patosu, albo go „przezwyńczył” i patrzy nań ironicznie. Oczywiście (pisze polska autorka *Historii literatury czeskiej*<sup>25</sup>) można dać wiele przykładów literatury wzniosłej, jak choćby poezja Jaroslava Vrchlickiego czy Svatopluka Čecha, ale właśnie za patos Vrchlický był najmocniej atakowany, zaś wzniosłe poematy Čecha były wzorowane na polskim romantyzmie i raziły sztuczością.

Źródeł humoru antykościelnego szukać trzeba w ambitnej literaturze czeskiej. Trafimy w niej na takie obrazoburcze wypowiedzi, jakie dotąd nie przekroczyły polsko-czeskiej granicy.

Weźmy zmarłego w 1928 roku pisarza Ladislava Klímu, autora *Cierpień księcia Sternenhoča*, który uważał, że człowiek powinien być bogiem sam dla siebie, bo jego wola jest równa Bożej.

Klíma jako filozof jest apostołem Boga, którego człowiek wskrzesza z sił własnych (uważa jeden ze współczesnych czeskich filozofów). „Wszystkim gardzić, ze wszystkiego się śmiać, wszystkim się bawić...”, „Nie traćcie ani sekundy, zmarnowany jest czas, którego nie spędza człowiek w gospodzie” - mówi Klíma w swoim dramacie *Tragikomedia ludzka*. Napisał też nowelę *Biała świnią*, gdzie niewyobrażalnie bluźni, twierdząc choćby, że Maria, matka Jezusa, uprawiała najstarszy zawód świata.

---

25 Dr hab. Zofia Tarajło-Lipowska z Instytutu Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, autorka książki *Historia literatury czeskiej. Zarys*, Ossolineum, Wrocław 2010.

Zdaniem krytyków stworzył parodystyczną wersję *Antychrysta* Nietzschego.

„Tylko pies ma prawo czekać na Pana Boga - uważał Jakub Deml, katolicki ksiądz i poeta. - I takim psem jest właśnie pisarz”.

### **Bóg w grubiańskim sosie**

Jaki był bójek husyckich sens?  
Zdecydować się tu miało,  
Czy winno się jeść Boże Ciało  
Z sosem, czy też może bez.

Napisał to w połowie XIX wieku Karel Havlíček Borovský, najważniejszy budziciel czeskiej świadomości narodowej. Poeta, publicysta i kpiarz. Do dziś Czesi mówią o sobie „naród Havlíčka”. Jeśli Adam Mickiewicz nazywał ich narodem filologów - mając na myśli literacki charakter ich odrodzenia narodowego - to bez wątpienia chodziło mu o Havlíčka Borovskiego. Jako pisarz stawiał literaturze czeskiej wysokie wymagania estetyczne, jednocześnie dla uciechy pisywał obsceniczne fraszki. Drwił z sacrum:

Oj! raduj się, katolicka rzeszo,  
mamy Bożą krew i Boże mięso,  
jeszcze Boże kiszki,  
a w czerwcowe ranki  
będzie papież robił Boże kaszanki.

Cytuję te wierszyki w tłumaczeniu Zofii Tarajło-Lipowskiej, autorki monografii *Męczennik czeskiej prawdy*. Podkreśla, że Havlíčka niesłusznie uważano za wroga religii chrześcijańskiej, a nawet ateistę. On sam sądził, że ma do spełnienia misję - odkryć prawdziwą maszynę kościelną. Dlatego atakował chciwość i zepsucie Kościoła. Pozostał przez całe życie głęboko religijny, a jednocześnie powtarzał, że do upadku narodowego Czechów najbardziej przyczynił się kler katolicki.

„Grubiaństwo to jedynie broń, w którą dobrotliwa natura zaopatrzyła dobrych ludzi, żeby świat zbytnio nie nadużywał ich dobroci” - uzasadniał w jednym z listów swój sposób zachowania.

Trywialny humor Havlíčka stał się jedną z cech głównego nurtu literatury

czeskiej. Nawiązują do niego i Hašek, i Hrabal. Postać sportretowana przez tego drugiego w *Postrzyżynach* - rzeźnik Myclik - także porównuje mszę świętą do świniobicia.

Nic jednak nie wskazuje na to, by wśród Czechów dominowała agresywna nienawiść do katolicyzmu. W ankiecie dla czytelników tygodnika „Týden” pod tytułem *Kogo podziwiamy?* (maj 2002), wśród bohaterów współczesnych na drugim miejscu po nowojorskich strażakach uplasowała się Matka Teresa z Kalkuty. W tej samej ankiecie - wśród bohaterów z przeszłości - bezapelacyjnie wygrał Jezus Chrystus. Ankieta nie jest reprezentatywna, ale można zaryzykować pewną tezę. Otóż prawdopodobnie jakąś część konsumentów kultury bawi gra symbolami katolickimi - lecz ich postawa nie ma nic wspólnego z brakiem szacunku dla najważniejszych w tradycji chrześcijańskiej postaci i wartości, które ze sobą niosą.

(Dlaczego dla najważniejszych? Bo głównie o takich słyszeli).

Słowem, udział w literackiej czy satyrycznej grze nie wyklucza podziwu dla prawdziwej świętości.

## **Bóg przyzywany**

Natálie Kocábová (kiedy rozmawiamy, ma 22 lata). Napisała w wieku 19 lat powieść *Monarcha Absynt*. Pchało ją do tego jedno: - U nas nikt nie pisze poważnie o Bogu.

Jest wnuczką pastora, córką kompozytora, śpiewa chilloutowe kawałki, miała męża, ma jedno dziecko, jest wierząca. Bóg w jej książce każdego poniża, nienawidzi, krzywdzi, a potem żąda od niego orgazmu.

Bohaterka mieszka w pustym domu, gdzie rządzi Monarcha. Jest super, można ćpać, co się chce. Jedyne warunki: trzeba się zżyć z ludźmi i być całkowicie do dyspozycji Monarchy. Mieszkańcy lubią się, pociągają nawzajem, nie tolerują tylko grubych. Seks za narkotyki, narkotyki za seks. „Przeżywają - pisze Kocábová - wszystkie rodzaje orgazmu: od heteryckiego szampana po homo-cinzano”. W seksie przesunęli swoje granice aż „na dalekie zadupie ludzkiej fantazji”, z jednym zastrzeżeniem: żadnej krwi!

Czytam na głos jej własny tekst: „Boże, czemuś mnie opuścił?”, „Boże, jest tu gdzieś kibel?”.

- Bardzo lubię patos - nadmienia pisarka.

„Taki gorzki jesteś, Boże! Został mi po Tobie wrzód. I opryszczka”.

- Uwielbiam się z Bogiem kłócić. Nie mam problemu, żeby wyzywać Boga najgorszymi słowami, mam problem z tym, że nie mogę przestać o nim myśleć. Żyję po jego stronie, u mnie w klasie prawie nie było wierzących, a ja wytrwałam.

„Od niczego nie można odejść tak wspaniale, jak od Ciebie. Super odchodzi się od siebie samej, ale mieć Cię w dupie, to ekstrarewela. Może nawet nigdy Cię przy mnie nie było”.

- Obawiałam się, czy ten patos, którego u nas w Czechach chronicznie się nie znosi, przejdzie - mówi. - Ale natychmiast napisano, że to wypowiedź całej generacji, odzwierciedla świat młodych i tak dalej.

- A odzwierciedla?

- Odzwierciedla tylko mój świat.

Czytam jeszcze:

„Nawet Bóg musiał się śmiać, kiedy się na nas gapił. Chcieliśmy go zajarać. Ale nie wiedzieliśmy jak. Jak zajarać Pana naszego?”<sup>26</sup>.

Książka sprzedała się świetnie, jest nie do kupienia. Zapisalem się na nią w bibliotece miejskiej w Pradze, ale kolejka była dwumiesięczna. Wydawnictwo dało mi jedyny - zalany kawą - egzemplarz, jaki im pozostał.

- Reakcji mnóstwo - mówi Kocábová. - Ale, proszę sobie wyobrazić, ani słowa w nich o Bogu.

## **Bóg w dark-roomie**

Poeta i pisarz Adam Georgiev z Pragi (kiedy rozmawiamy, ma 30 lat). Jest synem tancerki i wykształconego w Polsce klasyka bułgarskiego teatru, reżysera Nikołaja Georgieva. Gdybym chciał spłyć jego literackie emploi, mógłbym napisać: poeta Chrystusa, pisarz seksu bez zahamowań.

Każdy swój wiersz w tomie *Hostia piekła* zaczyna od rysunku krzyża. Na okładce widzimy nogi ukrzyżowanego Jezusa i twarz zastygłej w bólu kobiety. Metafizyka, jaką proponuje w swojej poezji, jest mroczna i gotycka, a Bóg w jego wierszach nie chce być wynajętą przez ludzi maszyną do wytwarzania dobra.

Natomiast każda jego książka prozatorska ma na okładce ciało ponętnego chłopaka. Na czeskiej okładce pierwszej jego noweli *Planeta samych chłopców* dłonie szykują się do rozpięcia rozporoka.

---

<sup>26</sup> Tłumaczenie fragmentów książki *Monarcha Absynt* - Justyna Wodzisławska; w Polsce powieść dotąd się nie ukazała.

*Planeta* zaczyna się tak: „W świecie nagiej konsumpcji wszystkiego i wszystkich...” a czeski wydawca reklamował ją jako „homoseksualne piekło po raz pierwszy w czeskiej literaturze”. Nowele Georgieva tworzą trylogię, powstały jeszcze *Bulwar słońce* i *Zabij mnie, Eliso*. (ELISA to Enzyme-Linked Immunosorbent Assay, jeden z najczęściej stosowanych testów do wykrywania przeciwciał HIV).

Narrator tych tekstów często schodzi pod ziemię - w piwnicach mieszczą się darkroomy: pozbawione dziennego światła sale, kabiny, korytarze, w których uprawia się seks na minuty (jak określiła to Olga Tokarczuk). Człowiek zostawia swoją przeszłość, rolę społeczną i wchodzi w ciemność, żeby obciągać obcym i pieprzyć ich w towarzystwie innych obcych (jak napisał profesor filozofii z Londynu)<sup>27</sup>.

Jakiś młody gej (przeważnie oni zaludniają te nowele) w pewnym momencie widzi, jak Jezus odrzuca cierniową koronę, nakłada czapkę z daszkiem i jak dobry kumpel mówi: „Olej wszystko, chłopaku, nic nie jest ważne. Porządnie sobie zaruchaj, to jedyne, co ma sens”. Jeden z takich chłopców uważa, że skoro on sam nie obciąga nikomu, ale obciągają jemu, to znaczy, że zachował jeszcze panowanie nad sobą, a tym samym godność.

Książki Georgieva są więc książkami o wartościach.

Może są nawet opowieścią o wojnie Boga z Diabłem w człowieku. Co w czeskiej literaturze jest chyba wyjątkiem.

W *Planecie* Georgiev (jako prozaik) wchodzi w zdumiewające detale; na przykład lizanie sportowego buta przypadkowemu chłopakowi w darkroomie dla jednego z bohaterów jest czymś więcej niż afrodyzjakiem. Jest doraźnym bogiem, którego się poszukuje, i w rezultacie trafia do takich miejsc. W *Hostii* Georgiev (jako poeta) przestrzega: „Spójrz na swojego boga / dlaczego nie ma krewnych do których byś zaszedł”.

Towarzyszka narratora całej trylogii, dziewczyna może dwudziestoletnia, zastanawia się, czy jest niewinna. Ustalają, że gdy miała dziesięć lat, wtedy była niewinna na pewno, jak wszyscy w tym wieku. „To kiedy zaczęła się ta wina?” - pyta i mam wrażenie, że szukanie odpowiedzi na to pytanie jest celem, który postawił sobie autor. Każda z jego postaci tak naprawdę pragnie wewnętrznej czystości.

Pisano, że Georgiev ostrożnie, delikatnie i niezauważalnie, pod ciśnieniem bólu, podsuwa chrześcijański resentyment.

Mówię mu, że tryskające penisy pojawiają się w jego twórczości obok Jezusa.

---

<sup>27</sup> Olga Tokarczuk i Alexander García Düttmann w posłowniu do albumu fotograficznego Konrada Pustoty *Darkrooms*, wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2010.

- Ale Jezus w moich książkach jest zawsze umieszczony tam, gdzie jego miejsce - tłumaczy. - Nie znieważam go, nie profanuję. Przecież przy tych wszystkich święstwach stawiam różne ważne pytania. Niestety, w tym kraju nie tylko nikt na nie nie odpowiada, lecz także nikt sobie w ogóle ich nie zadaje.

- Dlaczego?

- Jednym z powodów, dla których jestem wyparty jako autor, albo inaczej: jestem autorem dla wąskiej grupy czytelników i krytyków, jest to, że Czesi nie lubią i nie przyjmują niczego, co ich przerasta. Żeby nie mieć z tego powodu wyrzutów sumienia i spojrzeć sobie w lustrze w oczy, załatwiają to bardzo prosto. Opakowują tę całą niedogodność w słowo „patos”. Skoro Chrystus, to i patos. No, a przecież u nas jest oczywiste, że patos się omija i uczy dzieci od małego, żeby go omijały. Tak jak omija się trujące grzyby. Tylko jest pewien szkopuł.

- Jaki?

- To nie jest patos.

## **Bóg épający**

Natálie Kocábová, nim napisała swoją powieść, stworzyła wiersz, w którym Bóg épá.

- Mam tam obraz Jezusa umierającego, uzależnionego od heroiny. Dziś Jezus nie umarłby na krzyżu, społeczeństwo zabiłoby go narkotykami. Dziadek mówi: Jak możesz brać imię Boga nadaremno? Ale przeczytał ten wiersz polski proboszcz Zbigniew Czendlik. I powiedział: Może i brała imię Boga nadaremno, jednak ważne, że w ogóle je brała. Lepiej, że Boga obrażają, niż gdyby go w ogóle nie mieli w świadomości.

## **Bóg nie jest zerem**

Ksiądz Zbigniew Czendlik (kiedy rozmawiamy, ma 42 lata), proboszcz w miasteczku Lanškroun w Sudetach. Polak, przyjechał tu w 1992 roku z Chorzowa.

- Ze wszystkich wyznań Kościół katolicki ma najwięcej wyznawców w okolicy - chwali się.

- Ilu?

- Trzy procent! Na dziesięć tysięcy mieszkańców Lanškrounu, trzystu to moi parafianie.

Pytam o wiersz Kocábovej z épającym Bogiem.



- Przyjechałem do Czech, nauczony w seminarium wielu rzeczy. Mówię o zbawieniu, a dla nich to pojęcie z innego świata. Jak można zbawić kogoś po śmierci, jeśli w grobie leży szkielet? - pytają. Tu ludzie zadają pytania jak dzieci. I ja szukam słów, które przemówią. Tylko że to nie są dzieci, bo są inteligentni i wykształceni, znają języki obce. Jak do nich trafić? To, co robię w Czechach, nie jest ewangelizacją w polskim tego słowa rozumieniu. Ja jestem na etapie czegoś w rodzaju przedewangelizacji. Czytam sobie wiersz Kocábovej o znarkotyzowanym Jezusie i się cieszę. Bo czasem ktoś komuś mówi: Jesteś dla mnie zerem! Zero, to nic, powietrze. A dla niej Bóg jest przeciwnikiem, co znaczy, że ma wartość. Że nie jest zerem. I to już coś - podkreśla.

Księża z Polski ratują czeski Kościół. W 2006 roku władze kościelne podały, że na południu Czech jest sto pustych kościołów do kupienia, bo brakuje i wiernych, i księży. Parafia w Čechticach koło Benešova czekała na księdza czterdzieści lat, aż pojawił się Polak. Jedyne ksiądz w Novej Bystricy ma pięć parafii w rozległym terenie, więc w jednej z nich niedzielną mszę odprawia już w sobotę wieczorem. Jan Paweł II powiedział kiedyś, że polscy księża w Czechach to spleta długu, który Polacy mają wobec Czechów za to, że ci w 966 roku dali im chrześcijaństwo.

Proboszcz Czendlik występuje w *talk-show*, zaprasza do kościoła zespoły rockowe (bo przyciągają pięćdziesięciolatek), dał ślub największej czeskiej gwiazdzie pop i napisały o tym tabloidy. Jego popularność służy temu, aby zechcieli go słuchać jako księdza. Prasa pisze, że przywiózł z Polski nowoczesny pogląd na wiarę.

- Koleguję się z księdzem, powie wielu, ale może za tym pójdzie: koleguję się z Panem Bogiem, koleguję się z Kościołem? Być najpierw człowiekiem to droga duchownego do Boga - myśli na głos.

- Co ksiądz mówi nieprzekonanym do religii Czechom? - pytam.

- Mówię: Bóg nie jest tym, który ci coś zabiera, On ci daje. Oni się boją: Pan Bóg mi zabierze pieniądze, dziewczynę, życie.

- Jak to zabierze?

- Bo dla nich Bóg to same ograniczenia. Wtedy przestawiam im myślenie. To, co masz, masz właśnie od Boga. Zresztą nie zaczynam rozmowy od religii, zawsze staram się mówić neutralnie. Kiedy Judasz w Ogrodzie Oliwnym miał pokazać, który to Jezus, powiedział, że to będzie ten, którego pocałuje. A dlaczego w ogóle musiał Jezusa wskazywać? Bo Jezus się niczym nie wyróżniał. Więc ja nie chodzę w sutannie, najwyżej w koloratce. Jak człowiek ma mieć autorytet, to będzie go miał nawet wtedy,

gdy w piżamie wyjdzie na rynek. Wybudowałem w niszczonej części plebanii piękny dom dla rodzin adopcyjnych i to jest już jakiś mój argument.

(Dom dla Dzieci z Mamą i Tata; od razu wprowadziły się do niego dwie rodziny z adoptowanymi dziećmi, które nie miały szans na własne mieszkania).

- Otworzył też ksiądz na plebanii gospodę.

- No, bo po co mi były zabudowania gospodarcze na parafii? Daliśmy je na restaurację, niech te budynki zarabiają na siebie. Mam na utrzymaniu trzy kościoły w mieście i sześć we wsiach, nie będę zebrał, niech parafia będzie dochodowa.

- Ale w Polsce panuje zakaz sprzedaży alkoholu sto metrów od kościoła - nadmieniam.

- Restauracja odgrywa ważną rolę w ewangelizacji. Gospoda to przestrzeń neutralna. Wielu ludzi w Czechach ma problem, żeby chwycić za klamkę plebanii, a tak idą sobie do gospody. A tam już jestem ja. W knajpie przygotowujemy się do chrztu. Akcje kulturalne tam robimy. W kancelarii parafialnej ja jestem gospodarzem, parafianin gościem, a w takiej relacji przecież nie zawsze można powiedzieć, co się myśli. Za to w restauracji jesteśmy równi. Nazwałem ją U Pasterza. Poza tym - dodaje - ja sobie sam podjem przy okazji, bo nie mam gospodyni.

## **Bóg wymaga PR**

Emerytowany biskup Jan Konzal (którego wspomnienia wypożyczyłem z biblioteki) pisze, że Kościół po 1989 roku zawiódł: „Bardzo szybko po nastaniu wolności pokazał, że jest do niczego. Nie był autorytetem moralnym, do którego mogliby się zwracać ludzie”.

Jakiś czeski czytelnik dopisał pod tym komentarz na marginesie: „Kościół »stracił« autorytet (którego nie miał)? Zawiódł, bo nie odpowiadał na pytania epoki (których zresztą nikt nie zadawał)?”.

Jan Balabán: - Kościół w Czechach musi stawić czoło totalnemu brakowi zainteresowania.

Opinie są różne: hierarchia kościelna jest zmuszona teraz zachowywać się jak własna agencja PR; Kościół w Czechach już tylko przymila się do narodu; rozpaczliwie szuka ratunku, żeby nie przestać istnieć.

Kościół zapytał więc nastolatków: „Co Kościół katolicki powinien zmienić, żebyś do niego przystąpił?”. Ankiety przeprowadzili w szkołach średnich ośmiu miast

studenci Konwiktu Teologicznego Czeskiej Konferencji Biskupów. Odpowiadali siedemnasto-, dziewiętnastolatkiem. Jeden z nich był tym badaniem zniesmaczony: „A to Kościół musi się zmieniać? To już nie stoi za swoimi czynami? Czuję się, jakbym uczestniczył w badaniach konsumenckich: wyrób smakuje czy nie smakuje?” - w podpisie: sympatyk satanizmu, średnia szkoła budowlana.

Wielu młodych nie widzi dla Kościoła szans: „Ich ceremonie przypominają mi dziecięce zabawy”, „Katolicy są w większości uczciwi, ale przeważająca większość wierzących wydaje mi się naiwna” - osiemnastolatek, deklaruje, że „wierzy w coś”. „Msze są często nudne, nie można się tam rozerwać” - siedemnastolatek, deklaruje, że wierzy w Boga.

Zauważalna taktyka czeskiego Kościoła: szukać tego, co go ze społeczeństwem łączy.

Biskup Mały wyszedł więc do prostytutek na ulicę, aby poznać ich problemy (opisała to prasa). Kardynał Vlk udzielił wywiadu na temat kobiet w swoim życiu i własnych stłumionych pragnień.

Renata Kalenská zadała mu w liberalno-prawicowych „Lidových novinach” pytania, które w Polsce się nie zdarzają:

- Żyje pan całe życie w celibacie. Gdyby pan nie był księdzem, pana orientacja seksualna...

Kardynał: - Ma pani na myśli, czy jestem homo-, czy heteroseksualny?

- Tak. Podniecają pana kobiety?

Kardynał: - Tak.

Dziennikarka bez zahamowań pyta więc dalej: - Czy seks sam w sobie jest dla pana czymś obcym?

Kardynał odpowiada, że seks jest w dzisiejszych czasach zbyt absolutyzowany. Ludzie sądzą, że seks całkowicie zaspokoi ich potrzebę miłości, a to jest... I tu ksiądz kardynał mógłby powiedzieć na przykład: „zła”, „błędna”, „fałszywa” czy „naganna moralnie droga”. Waży jednak słowa. - Seks - mówi - to tylko pewna forma miłości, ale nie jedyna.

- Ale jak może pan porównywać miłość i seks, skoro seksu właściwie pan sobie nie użył? - ripostuje dziennikarka.

- Tak, to prawda. Ale ja też byłem kiedyś zakochany - mówi kardynał i opowiada, jak dziesiątki lat temu po raz pierwszy zrozumiał, że między kobietą i mężczyzną może istnieć coś głębszego niż seks.

Dziennikarka kontynuuje publiczną psychoanalizę prymasa: - Gdy tak pana słucham, mam wrażenie, że pana serce jest sercem kobiety.

Rozmówca, niespieszony, przyznaje: - Raczej tak.

Być może taka rozmowa jest możliwa dlatego, że Miloslav Vlk - jak wielu czeskich duchownych - był przez wiele lat bliżej życia niż niejeden ksiądz w Polsce. Kiedy dziesięć lat po wyświęceniu władze cofnęły mu państwową zgodę na pełnienie posługi kapłańskiej, przez następne dziesięć mył sklepowe okna. Sam wybrał tę pracę, bo wydawało mu się, że jest w niej więcej wolności niż w pracy palacza w kotłowni. (W kotłowniach ponoć lepiej odnajdywali się profesorowie filozofii). W tym czasie zaangażował się też jako tajny ksiądz. Po aksamitnej rewolucji już jako arcybiskup wolnego kraju właśnie on negocjował z Watykanem problem tajnych księży, którzy dla zmylenia reżimu poślubiali kobiety (takim tajnym księdzem był Jan Konzal).

Zachwyciłem się tym wywiadem i zwierzyłem z tego czeskiej pisarce, autorce powieści o życiu Jezusa<sup>28</sup>. - Macie nieprawdopodobnie otwartego kardynała - powiedziałem.

- Niechby spróbował być inny! - odparła Lenka Procházková. - Nie ma wyjścia, bo straciłby całkowicie wiernych. Kościół nauczył się wreszcie dbać o *public relations*.

Moja rozmówczyni - antykomunistyczna opozycjonistka, sprzątaczką z przymusu, córka zaszczutego przez reżim na śmierć pisarza Jana Procházky - jest jedną z głównych działaczek stowarzyszenia Salomon, którego zadaniem jest wspieranie niezawisłości sądownictwa. Patrzą sądom na ręce. Kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych sąd przygotowywał się do ogłoszenia decyzji o ustaleniu prawa własności do katedry Świętego Wita na praskim Zamku, członkowie stowarzyszenia wykazali nieprawidłowości w postępowaniu dowodowym. To między innymi spowodowało, że katedra nie przeszła w ręce Kościoła.

- Ta katedra jest własnością wszystkich, Kościół nie mógł jej zawłaszczyć - mówi pisarka. - Jerzy z Podiebradów, husyta, król Czech, pochowany w katedrze, przewróciłby się w grobie, gdyby się dowiedział, że jego klejnoty przejęli księża.

Co do tej kwestii nie ma w Czechach zgody. Lenkę Procházkową dotknęła też niechęć. Jeden z autorów „Lidových novin” twierdził, że kobieta z trojgiem pozamałżeńskich dzieci nie ma prawa zajmować się czymś tak świętym, jak katedra. Dostała listy z pogrózkami. Drugi działacz Salomona, wybitny muzykolog i

---

<sup>28</sup> *Baranek*, nie wyszła w Polsce. - Historię Jezusa napisałam po to - mówi w wywiadzie rzece *Dzwoneczek, a potem chorał*, którego udzieliła Ivie Pekárkovéj - żeby go ściągnąć wreszcie z tego krzyża, gdzie już tak długo wisi, i żeby go zwrócić ludziom.

scenarzysta Zdeněk Mahler, musiał zmienić numer telefonu. Ludzie dzwonili do niego z wyzwiskami, wymalowali mu je nawet na drzwiach do garażu. Ponieważ Lenka Procházková jednej rzeczy pozbyła się już w życiu na dobre - strachu - podała podczas radiowej debaty o katedrę swój adres i poprosiła, żeby jej wysyłać listy z pogrózkami, a schorowanego starego muzykologa oszczędzić.

Za sobą mieli jednak dużą grupę parlamentarzystów, która przypomniała w specjalnym oświadczeniu, że Karol IV, cesarz niemiecki i król Czech, oddał katedrę „Panu Bogu i Czechom”, a więc nie Kościołowi.

W rezultacie katedra Świętego Wita jest nadal własnością państwa. Paradoksalnie coś tak nierozzerwalnie związanego z religią jak świątynia nie ma prawa należeć do Kościoła. Czy raczej do „instytucji pana kardynała Vlka” - jak pisali zaangażowani w spór po stronie świeckiej.

Ksiądz Tomáš Halík, profesor, teolog, psycholog i socjolog robi - mam wrażenie - wszystko, aby z jego ust nie wyszło publicznie żadne słowo potępienia dla krytykujących Kościół.

W Pradze wystąpiła Madonna; piosenkę *Live To Tell* zaśpiewała, wisząc na krzyżu. Kardynał Vlk ostro zaprotestował, a Halík, prezydent Czeskiej Akademii Chrześcijańskiej, już łagodził, że przecież czasem takie rzeczy mogą doprowadzić do zainteresowania religią. - Osobiście chrzcilem dwóch studentów - opowiedział - których zaciekało Pismo Święte, bo obejrzeliby *Ostatnie kuszenie Chrystusa*. A to przecież film potępiany przez Kościół.

## Pytania z Polski - ciąg dalszy

„Jaki jest dla ateisty sens cierpienia?”.

Ondřej: - Jeśli nie cierpisz, to potem nie poznasz, co to jest radość. Bez cierpienia byłbym rośliną.

„Czy boisz się śmierci?”

Ondřej: - Tak.

Eva: - Nie mniej niż wierzący.

Alexandra: - Ja kwestię śmierci całkowicie odsunęłam, bo jej nie rozwiążę. Mogę się bać śmierci, ale bez wiary katolickiej jest lepiej, bo nie boję się, że nie będę zbawiona. Nie mam tej dręczącej niepewności przez całe życie.

Petr. - Jeśli chodzi o moją śmierć, to będzie zupełny koniec. Książka się kończy,

film się kończy, życie się kończy. Najbardziej logiczne wyjście z sytuacji. Więc wykorzystaj fajnie ten czas, który masz.

### **Pytanie od Polaków ostatnie**

- Czy trudno umrzeć bez Boga? To pytanie wysłałem do hospicjum Ondrášek w Ostrawie.

„Szanowny Panie, na razie nie słyszałam od współpracownic, żeby ktoś na łożu śmierci uwierzył w Boga. Nawet odwrotnie - mieliśmy pacjenta, który prosił, abyśmy go niczym podobnym nie męczyli. Posługę duchową (dla sześćdziesięciu pacjentów) proponujemy poprzez naszego księdza, ale o ile wiem, nikt z niej dotąd nie skorzystał. W naszym zespole jest jedna głęboko wierząca siostra, Bronislava Husovská, i robi bardzo dobrą opinię wierzącym. Ma serce na właściwym miejscu - Jitka Varechová, dyrektor”.

Pielęgniarka Bronislava Husovská (kiedy rozmawiamy, ma 48 lat, w 2010 roku została pielęgniarką roku) mówi, że kiedy nie pracowała jeszcze w hospicjum, myślała, że wierzący mają przed śmiercią lżej.

- A teraz widzę, że i wierzący, i niewierzący tak samo przed śmiercią pokornieją. I widzę też, że wszyscy umierają tak samo: w zupełnym spokoju.

Na początku myślałam, że trzeba mieć w sobie niezwykłą świętość, żeby pójść do nieba. A teraz nie mogę się oprzeć wrażeniu, że idą tam wszyscy.

### **Bóg od psychoanalityka**

Pavel, 43 lata; mała firma badania rynku; dwoje dzieci, druga żona; zna się na morawskich winach, wspiera schroniska dla zwierząt. Chodzi na psychoterapię; przygnębienie niewiadomego pochodzenia.

- Może - mówi - uświadomiłem sobie w dzień czterdziestych urodzin, że jednak jestem śmiertelny i chmura tej świadomości nade mną wisi? Jak mówił Freud, człowiek nie jest panem w swoim domu.

- Dla wierzącego - mówię - oznacza to, że panem jest Bóg, on wypełnia nasze wnętrza.

- I właśnie dlatego - odpowiada - wierzący powinien iść do psychoanalityka. Żeby mu wyjaśnił, że Freud miał na myśli co innego.

Zwierza się: - Często dopada mnie obraz, nad którym nie mogę zapanować. Że

mam wypadek, tracę nogi, jestem na wózku i przyjemność sprawia mi myślenie, kto się będzie mną opiekował i jak ludzie będą wtedy dla mnie dobrzy. Aż muszę się siłą przyprowadzać do rzeczywistości, że przecież mam nogi, stoję na ulicy i nie miałem wypadku. Dzieci mam kochające, ludzie mnie lubią, ja siebie lubię, obie żony to teraz nawet się przyjaźnią. Więc czego ja jeszcze pragnę? Doszliśmy z psychoterapeutą do wniosku, że może ja, ateista, w ten sposób marzę o nadmiłości, o jakiejś miłości Bożej.

- No to wystarczy, że uwierzysz w Boga.

- Tak, tylko problem w tym, że go nie ma.

## krótka historia niechęci

**1.**

Przyczyn niechęci do Kościoła katolickiego w Czechach należy szukać w długo trwającej niechęci tego Kościoła do Jana Husa (stworzył program obrony czeskich interesów i czeski język literacki, wprowadził ortografię, kazania wygłaszał po czesku, a papieżom odmawiał boskiego pochodzenia). Jego podstępne zaproszenie w 1415 roku na sobór w Konstancji i spalenie żywcem na stosie było początkiem powstania w Pradze i rozpoczęło wojny husyckie.

**2.**

Potem przyczyn niechęci do Kościoła katolickiego należy szukać w niechęci narodu do monarchii austro-węgierskiej. Ona narzuciła husyckim już Czechom katolicyzm. Buntując się przeciw cesarstwu Habsburgów, Czesi buntowali się więc przeciw katolicyzmowi.

Turysta odwiedzający czeskie miasta może być jednak zdziwiony: dlaczego istnieje tu tyle katolickich świątyń? Przecież w XVI wieku na dwa miliony czeskich obywateli tylko piętnaście procent to byli katolicy.

Po 1621 roku jezuita starali się nawrócić protestancki naród na „prawdziwą wiarę katolicką” i zalali Pragę wspaniałościami barokowych kościołów. „Tysiące kamiennych świątych, którzy patrzą na nas ze wszystkich stron, grożą, śledzą, hipnotyzują - to posępne wojsko okupantów, którzy przed trzystu pięćdziesięciu laty wdarli się do Czech, aby z duszy narodu wyrwać jego wiarę i jego język” (Milan Kundera).

Co się stało przed trzystu pięćdziesięciu laty (dziś - przed trzystu dziewięćdziesięciu)?

W 1620 roku w bitwie pod Białą Górą czeska protestancka szlachta została pokonana przez Habsburgów i był to początek długotrwałego upadku Czech. Cesarz Ferdynand II, uczeń szkół jezuitów, był przekonany - w przeciwieństwie do cesarza i zarazem króla czeskiego Rudolfa II - że wszelka ugoda z protestantami jest obrazą dla Pana Boga. Postanowił, że pozbędzie się niebezpiecznego dla Habsburgów ewangelickiego królestwa w samym sercu Europy.



W 1621 roku na praskim rynku ścięto dwudziestu siedmiu czeskich szlachciców, którzy organizowali powstanie przeciw cesarzowi. Przygotowano widowisko śmierci ze sceną na podwyższeniu, pod którą leżały puste trumny, czekające na swoją zawartość.

Kat odcinał głowy panów mieczem i zaraz nasadzał na kije, które wystawiano z wieży na moście Karola. Potem włożono je do koszy i wisiały tam jeszcze kilka lat. Jednemu ze szlachciców (który napisał traktat filozoficzny *Czy tyran może być popierany przez lud?*) najpierw odcięto język i musiał jakiś czas czekać na swoją śmierć.

Po odcięciu mu głowy ciało poćwiartowano, a kawałki nasadzano na pale, które ustawiane były w różnych częściach miasta. Nawet miejskiego urzędnika za to, że przywitał jednego z arystokratów przy wjeździe do Pragi, dla przykładu na godzinę przybito do szubienicy za język.

Widowisko miało dać wrogom cesarstwa nauczkę na zawsze.

Szlachta czeska mogła przeżyć, wchodząc w kolaborację z okupantem. Część rodów szlacheckich zastąpiły na tych ziemiach rody austriackie. Dzisiejszy wpływowy czeski polityk (były minister spraw zagranicznych) książę Karel Schwarzenberg jest potomkiem takiej rodziny, która z biegiem wieków poczuła się jednak rodziną czeską.

Ciężary wojny trzydziestoletniej, która potem nastąpiła, wyniszczyły naród czeski, odbierając mu siły i zasoby.

### 3.

Miasta zmieniały wygląd. Opanowywał je barok, który miał ozdobić smutną egzystencję pokonanych.

Kościół Trójcy Świętej na Malej Stranie w Pradze (ulica Újezd) należał do niemieckich luteranów, ale w 1624 roku dostali go karmelici boski z Hiszpanii. Ci zaś zbudowali barokowy ołtarz i oddali Pannie Marii Zwycięskiej, bo mieli pewność, że chroniła Habsburgów w bitwie pod Białą Górą.

Tu też umieszczono figurę Dzieciątka Jezus, zwaną Jezulátkiem, która rozpoczęła serię cudów.

Most Karola, przez setki lat bez rzeźb, teraz miał być dowodem, że w Czechach protestanci zostali zdławieni, więc zaludnił się figurami świętych. „Dowodem - jak napisał Angelo Maria Ripellino w *Pradze magicznej* - Kościoła triumfującego z

powodu tego, że katolicyzm rozprzestrzenił się na najdalsze tereny".

Włoski piewca Pragi wyliczył, że jezuita zrównali z ziemią trzydzieści dwa domy, trzy kościoły, dwa ogrody i jeden klasztor dominikański, żeby zbudować swoje kolegium Klementinum. Olbrzymi blok wciśnięty między rudery Starego Miasta. „Wczesny barok praski - napisał - mówi o despotyzmie i wyniosłości zleceniodawców. Te surowe domostwa, pozbawione wszelkich lżejszych akcentów, przypominają nie tyle pałace, ile fortyfikacje, reduty polowe na wrogiej ziemi".

Kiedy Czechy otrząsnęły się z upokorzenia, przyswoiły sobie nowy styl i dały barokowi lekkość i fantazję.

#### 4.

Alians tronu z ołtarzem swoje apogeum osiągnął w połowie XIX wieku, gdy monarchia habsburska, dbając o kontrolę obywateli i spokój, podpisała konkordat z Watykanem. Dała Kościołowi niemal monopol na szkolnictwo, wpływ na kulturę i życie codzienne. Z danych urzędowych wynika, że w 1900 roku, ale także dziesięć lat później, dziewięćdziesiąt siedem procent obywateli terenu dzisiejszych Czech należało do Kościoła katolickiego.

Mimo to dziś w potocznej świadomości Kościół ten jest wrogiem Czechów, a przede wszystkim ich odrodzenia narodowego.

Zupełnie inaczej niż w rozebranej na części Polsce, gdzie większość kraju znalazła się w protestanckich Prusach i prawosławnej Rosji, Kościół był więc ostoją polskości i oporu. On tworzył tożsamość Polaka.

Ojciec demokratycznej Czechosłowacji i jej pierwszy prezydent, filozof Tomáš Garrigue Masaryk, miał jednoznaczny pogląd: nawracanie na katolicyzm wykrzywiło moralnie Czechów. Bowiem z narodu dumnego, autentycznie pobożnego i oddanego humanistycznym ideałom Husa stali się narodem zduszonym, zakrzyczanym, który stara się przede wszystkim przeżyć. Głównie za pomocą bezdusznego pragmatyzmu i cynizmu.

Czeskie elity uznały, że naród, jeśli się odrodzi, może polegać tylko na wartościach protestanckich. Przy czym liczba protestantów wśród tych elit była odwrotnie proporcjonalna do liczby protestantów w społeczeństwie (w społeczeństwie było ich dwa, trzy procent). Patriotom udało się spopularyzować przekonanie, że okresem największej świetności narodu był husytyzm.

Pogląd ten potem utrwalali marksiści, przedstawiając Husa jako prekursora państwa komunistycznego.

## 5.

Po trzystu latach niewoli, dwa miesiące po powstaniu niepodległej Czechosłowacji (w 1918 roku), tysiąc księży katolickich opowiedziało się za rewizją procesu Jana Husa i reformą Kościoła, łącznie ze zniesieniem celibatu i wprowadzeniem języka czeskiego do liturgii w miejsce łaciny. Władze kościelne odrzuciły te postulaty, więc reformatorzy utworzyli własny Kościół czechosłowacki. Z Kościoła rzymskiego odeszły setki księży. Rok później za nowym wyznaniem opowiadało się ponad pół miliona Czechów.

Antykatolicyzm i antyklerykalizm stały się częścią nowego systemu politycznego.

Kościół katolicki zaczął być uznawany za jedną z głównych przyczyn wszelkiego zła w czeskiej historii.

Nie podkreślano takich faktów jak ten, że na Morawach to grupy katolickie angażowały się w odrodzenie narodowe, czy że w połowie XIX wieku wśród prenumeratorów „Narodnich novin” Karela Havlíčka Borovského było kilkuset katolickich księży.

Po 1918 roku rozpoczęło się dynamiczne usuwanie austriackich wpływów.

Jest na to w języku czeskim oddzielne słowo - *odrakouštění*, bo Austria to *Rakousko*.

W szkołach zniesiono obowiązek uczestniczenia nauczycieli i uczniów w nabożeństwach, obowiązkową modlitwę, usunięto z nich wszystkie symbole religijne.

Najciekawszym przejawem *odrakouštění* było budowanie w całym kraju krematoriów, aby zmarłych nie grzebać w tradycji katolickiej. Powstał masowy niemal ruch - Stowarzyszenie Przyjaciół Kremacji. Stworzono system wpłat, dzięki któremu członkowie stowarzyszenia mieli pewność, że będą po śmierci skremowani, gdyby na przykład rodzina nie chciała tego zrobić. W tym czasie w praskiej dzielnicy Strašnice zbudowano największe krematorium w Europie<sup>29</sup>.

---

<sup>29</sup> W filmie, który w kilku czeskich plebiscytach został uznany za najlepszy czeski film wszech czasów - *Palacz zwłok* w reżyserii Juraja Herza, na podstawie powieści Ladislava Fuksa - występuje budynek praskiego krematorium. Jednak nie jest to - jak zgodnie z akcją powieści i filmu oczekują widzowie - krematorium w Pradze. Wizerunku użytyło krematorium w Pardubicach, w stylu narodowego kubizmu, projektu Pavla Janáka, oddane do użytku w 1923 roku. Zwiedzając je, warto patrzeć na nie jak na manifest ruchu kremacyjnego w Czechach.

## 6.

Ciekawostką jest twórczość czeskiego poety i komunisty Stanislava Kostki Neumanna (1875-1947), który w ramach poezji proletariackiej - kierunku zapoczątkowanego przez siebie w Czechosłowacji już w latach dwudziestych - tworzył parafrazy modlitw.

*Pozdrowienie z 1923 roku: „Zdrowaś Rosjo Radziecka! / Upadły świat chce zakuć w pęta / wszystkie robotnice i robotników / zdrowaś, o święta! / Gdybyśmy umieli zdobić ołtarze / Twój ołtarz byśmy zdobili / a gdyby uczyć uczniów modlitw / tylko do Ciebie by się modlili / o święta [...] / Matko nasza, / Federacyjna socjalistyczna rosyjska republika radziecka, / nauczycielko nasza, / nadziejo nasza, / opoko przyszłości / gwiazdo jedyna na ciemnym niebie / zdrowaś!”<sup>30</sup>.*

## 7

Powojenny komunizm uderzył w Kościoły tak, że uczenie kogoś modlitwy *Zdrowaś Mario* mogło być uznane za zagrożenie dla państwa.

Zaczęto w 1949 roku od internowania prawie wszystkich katolickich biskupów. W 1950 roku rozpoczął się *monstrproces* (czyli wielki proces pokazowy) dziewięciu hierarchów oskarżonych o antypaństwowy spisek zorganizowany przez Watykan. Wyroki: od dziesięciu do dwudziestu pięciu lat więzienia, zaś opat klasztoru benedyktynów - największy z „agentów Watykanu” - został skazany na dożywocie. Po amnestii w 1960 roku pracował jako robotnik na budowie. (Dziś jest znów opatem).

Od 1950 roku likwidowano w Czechosłowacji zakony, a 2360 zakonnic i 1240 zakonników z terenu Czech (jeszcze większą liczbę z terenu Słowacji) internowano w dwóch klasztorach centralnych, przeobrażonych szybko w obozy pracy. Setki pozostałych zakonników wygnano z klasztorów w ogóle i skierowano do pracy w fabrykach i szpitalach.

Internowani duchowni zostali odcięci od życia Kościoła. Przez pewien czas nie znali nawet postanowień II Soboru Watykańskiego. Rolki filmów z fotografiami tych dokumentów jeden z księży nosił zaszyte w wielkiej baranej czapce. W szpitalu psychiatrycznym znalazł zakonnicę-pielęgniarkę, która umiała wywoływać zdjęcia. Nocami wywołała ich tyle, że każda zakonna społeczność dostała tajny komplet dokumentów soboru.

Władza ustanowiła Nowe Prawo Kościelne, w myśl którego ksiądz był

pracownikiem państwowym. Na wykonywanie zawodu otrzymywał zgodę państwa, podlegał kontroli i praktycznie mógł odprawiać tylko nabożeństwa.

„Kiedy byłem proboszczem w wiejskiej parafii, w ogłoszeniach powiedziałem, że w tygodniu przypada święto Matki Bożej Zielnej. Kilka dni później dostałem wezwanie na rozmowę do powiatu, gdzie udzielono mi pouczenia, że takie ogłoszenie nie jest sprawą religii, tylko tradycji, i nagany z wpisaniem do akt. Nic nam nie było wolno, nawet przenieść figurki z jednego ołtarza na drugi”<sup>31</sup>.

Inny ksiądz: „W 1955 roku jako młody ksiądz grałem w niedzielę z chłopcami w piłkę. Zapomniałem, że partia wyznaczyła dwie niedziele sierpnia jako dni, w których duchowni powinni pomagać przy żniwach. Zostałem za to - po bardzo upokarzających przesłuchaniach - najpierw aresztowany na miesiąc, a potem na rok zakazano mi sprawowania funkcji duszpasterskich”.

W takiej sytuacji powstał też Kościół tajny.

Ocenia się, że działało w nim kilkadziesiąt tysięcy wiernych.

Jedna z jego członkiń tak opisała moment, który poprzedzał decyzję wstąpienia do tajnej struktury: „Coś się we mnie złamało, nagle, w czasie wykładu z fizyki przeżyłam olśnienie, profesor nam mówił: »Tam, gdzie kończy się nasza zdolność rozumienia zjawisk fizycznych, zaczyna się prawdziwa tajemnica istnienia«. Wysłam z wykładu, musiałam iść do kościoła. Jeden kościół - zamknięty, drugi - zamknięty, trzeci - zamknięty. Przed czwartym usiadłam i nawet nie próbowałam sprawdzać, czy jest otwarty. Uświadomiłam sobie tę straszną rzeczywistość, w której żyję: wszystkie kościoły zamknięte”.

Tajnie nauczano kleryków teologii, tajnie nauczano dzieci katechizmu (na przykład udając, że grupa dzieci zebrała się na urodzinach jednego z nich), tajnie wyświęcano księży, którzy nie przysięgali wierności komunistycznemu państwu. Wykonywali zwyczajne zawody, czasem byli żonaci, wtedy mogli odprawiać mszę w obrządku greckokatolickim, którego najczęściej zresztą nie znali. Za odprawianie mszy w mieszkaniu groziły dwa lata więzienia.

## 8.

W Czechosłowacji istniał jeszcze jeden ukryty Kościół, zwany Davidkowym. Na jego

---

31 Badania socjologiczne wśród czeskiego i słowackiego duchowieństwa przeprowadził polski socjolog Paweł Boryszewski i opublikował w książce *Kościół, którego nie było*, Wydawnictwo IFIS PAN, Warszawa 2002. Stamtąd cytuję część wypowiedzi.

czelę stał biskup Felix Maria Davídek, który na początku lat siedemdziesiątych zwołał tajny synod biskupów, od którego oczekiwał, że zaaprobuje wyświęcanie kobiet, bo tego wymagają czasy. Odbyło się głosowanie i połowa biskupów była za, połowa przeciw. Biskup Davídek odczytał ten wynik na swoją korzyść i zaraz na wikariusza generalnego mianował kobietę.

Watykan natychmiast zakazał mu czynności biskupich, czym biskup się nie przejął i - jak podają niektóre źródła - na Słowacji wyświęcił pięćset kobiet diakonów.

Biskup Davídek za tajną działalność stanął przed sądem, skazano go na dwadzieścia cztery lata więzienia (odsiedział czternaście), przepadek całego mienia i utratę praw obywatelskich. Nie upadł na duchu, obłożnie chory, przez pięć lat - aż do śmierci - zarządzał swoim Kościołem z łóżka.

**9,**

Domaganie się podstawowego prawa do posiadania literatury religijnej mogło być uznane w komunistycznej Czechosłowacji za chorobę psychiczną.

Tak oszalał Augustin Navrátil, wierzący rolnik z Moraw.

Miał 48 lat, gospodarstwo, dziewięcioro dzieci, był sekretarzem miejscowego Związku Drobnych Hodowców Dobytku Domowego, ze srebrnym Medalem Pracy Socjalistycznej na piersi. Pewnego dnia w 1977 roku, nasłuchując Głosu Ameryki, dowiedział się, że dwa lata wcześniej rząd Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej podpisał w Helsinkach traktat o przestrzeganiu praw człowieka, jednak przed społeczeństwem trzymał to w tajemnicy.

Augustin Navrátil postanowił więc zażądać od państwa respektowania wolności religijnej.

Napisał petycję, w której domagał się swobodnego dostępu do literatury religijnej, prawa do zakładania stowarzyszeń religijnych i zlikwidowania państwowej kontroli nad każdym księdzem. Z petycją obszedł sto dwadzieścia domów w swoich Lutopencach i zebrał siedemdziesiąt podpisów. Potem poszedł do następnej wsi, a potem do najbliższego miasta i po dziesięciu dniach podpisów miał siedemset.

Został aresztowany. Umieszczono go na zamkniętym oddziale psychiatrycznym w Kroměříżu, bo uznano, że nie odpowiada za to, co robi.

Dowodem na jego chorobę psychiczną było przeciwstawienie się autorytetowi państwa.

Wyszedł po siedmiu miesiącach, napisał jednak nowy protest. Zażądał wyjaśnienia śmierci tajnego księdza Přemysla Coufala, prawdopodobnie zamordowanego przez Służbę Bezpieczeństwa. Navrátila zamknięto po raz drugi. Przechowywany był w szpitalu psychiatrycznym w Bohnicach, w czteroosobowej małej celi z oknem, którego nigdy nie myto. Tak jak pozostali pacjenci nie miał prawa mieć swojego mydła ani ręcznika. Wszyscy załatwiali się do wiadra, rzeczy osobiste trzymali pod łóżkiem, a jedzenie podawano im na gołej ziemi.

W domu została żona z dziewięciorgiem dzieci, które pisały błagalne listy do władz, aby te uwolniły ojca. Kiedy Augustin Navrátil wyszedł wreszcie na wolność, państwo, żeby go pognębić, odebrało mu nawet prawo do prowadzenia gospodarstwa rolnego.

## **10.**

W 1968 roku, wraz z Praską Wiosną, gdy nowa władza z Dubčekiem na czele przestała terroryzować kler, przez krótki czas odnotowano wzrost zainteresowania religią. Wierni nie wstydzili się przyznać do swojej wiary. Liczba regularnych uczestników mszy świętych znów skoczyła do dziesięciu procent.

Po okupacji wojsk Układu Warszawskiego, kiedy rozpoczęła się neostalinizacja, zwana wtedy normalizacją - wszystko wróciło do starych norm.

W 1989 roku zaobserwowano, że coraz więcej osób w Czechosłowacji nie ma światopoglądu ani marksistowskiego, ani religijnego.

## dobrej zabawy z papieżem!

Do Czech i na Morawy przyjechał z wizytą duszpasterską Ojciec Święty (26.09.2009). Postanowiłem też wtedy tam pojechać i prowadzić dla gazety, w której pracuję, zapiski.

### **Piątek wieczór**

- Ma pan jakiś pomysł na weekend, czy coś mogę zaproponować? - recepcjonistka hotelu Pod Trzema Koronami w Pradze podaje klucz.

- Ale ja już mam plany. Będę jeździł na msze z Benedyktem XVI.

- Jezus, ale po co?!

- No, jestem Polakiem?

- Wie pan, ja jestem niewierząca i jedyne, co myślę o Kościele, to że to najlepiej działające przedsiębiorstwo świata. Jeden pan mówił dziś nawet Firma Krzyż. Ale przyjeżdżać aż z Polski, żeby tu machać papieżowi, w głowie mi się nie mieści.

- A skąd się w pani dobro bierze, jeśli nie z Boga?

- Ja staram się być dobra, bo mi się to opłaca.

Idę na dworzec, żeby kupić bilet do Brna na następny dzień. Przecież jeśli w niedzielę rano zaczyna się tam msza na sto pięćdziesiąt tysięcy osób, to w sobotę wieczorem może nie być miejscówek, a nie chcę stać w tłoku. Praski Dworzec Główny jeszcze rok temu był obrzydliwszy od naszego Centralnego. Nie przerywając pracy dworca, Praga modernizuje go tak, że możemy się w Warszawie tylko wstydzić. Nie ma już kas z szybami, a wszystkie córy komunizmu, które za nimi siedziały z poczuciem, że urodziły się wyniosłymi księżniczkami, musiały trochę zmienić zachowanie. Kasjerka w średnim wieku, w przyjaznej teraz pasażerowi przestrzeni, mówi, że na pewno będę zadowolony, bo wolnych miejsc do Brna jest mnóstwo.

- Jak to mnóstwo? - nie dowierzam.

- A dlaczego miałyby nie być?

- No, a Ojciec Święty?

- Zwariować dla papieża? No nie. Chociaż ja to nawet chętnie bym z panem tam pojechała, mimo że nie jestem wierząca.

- Widzi pani, jednak święta osoba przyciąga.

- Nieee, chodzi o to, żeby nie siedzieć w pracy. Człowiek w życiu machał



chorągiewką różnym potworom, to może i papieżowi. Jestem tak przemęczona, wie pan, teraz się musimy inaczej zachowywać. To jest salon sprzedaży biletów, a nie, jak kiedyś, kasa. Zupełnie, jak na niemieckich dworcach. Od południa w piątek mam mówić pasażerom „Dobrej zabawy w weekend”. Więc chętnie bym stąd pojechała.

Wręcza mi bilet:

- No to... dobrej zabawy z papieżem!

Kupuję w kiosku czasopisma. „Týden”, jeden z najpoważniejszych tygodników - już na okładce krzyczy: „Przyjeżdża ultras z Watykanu. Benedykt XVI zmierza do kraju bezbożników”.

„Czeski ateizm ma mnóstwo korzeni” - piszą w nagłówku raportu o Kościele. „Ważną rolę grają w nim stereotypy w postrzeganiu »czarnodupców«”. („Týden” pisze o „černoprdelníkach”, co dosłownie znaczy „czarno-dupcy”).

I dalej: „Tutejszą awersję do Kościoła zręcznie wykorzystują socjaldemokraci. Sto lat temu opisywali kler jako bandę dewiantów i pijaków obżerających się najlepszymi smakołykami. Dziś na billboardach wyborczych obiecują, że do finansowego rozliczenia z Kościołem nie dopuszczą”<sup>32</sup>.

Socjaldemokracja (ponad trzydzieści procent społecznego poparcia) wabiła Czechów w kampanii wyborczej hasłem: „NIE 270 miliardom koron dla Kościołów!” (Pieniądze miałyby dostać przede wszystkim Kościół katolicki, bo jest największy). Prawicowy rząd ODS doszedł swego czasu z Kościołami do porozumienia, że dostaną osiemdziesiąt trzy miliardy koron za majątek odebrany im przez komunistyczne państwo. Rekompensata wypłacana miała być przez sześćdziesiąt lat. Z odsetkami byłoby to dwieście siedemdziesiąt miliardów. Jednak socjaldemokracja pogrzebała ten projekt w głosowaniu parlamentarnym.

Czeska wersja „The Economist” - tygodnik „Ekonom” - streszcza historię niepodpisania konkordatu między Czechami a Watykanem.

Rocznica śmierci Jana Husa 6 lipca 1925 roku po raz pierwszy była obchodzona jako święto państwowe. Nad Zamkiem Praskim załopotą husycka flaga, a kazał ją wywiesić prezydent Masaryk. Tego samego wieczoru nuncjusz apostolski Francesco Marmaggi wsiadł do pociągu i w proteście przeciw takiej obrazie wyjechał do Rzymu (trzy lata później wrócił, ale do Polski). W jednym ze swoich listów Masaryk napisał, że Watykan jest „mały, zacofany, niezdolny do życia, a jego wpływ na Czechosłowację

---

<sup>32</sup> Słowo „Kościół” (instytucja) w czeskiej prasie pisane jest małą literą. Kiedy Czesi przedrukowują na ten temat jakieś teksty z Polski, pierwszą literę zmniejszają.

powinien być ograniczany". W latach dwudziestych wielu katolickich duchownych znalazło się w ruchu, który nazywał się „Precz od Wiednia i Rzymu”, i oni stanowili nowe kadry dla Kościoła husyckiego. Kiedy nuncjusz papieski odjechał, Masaryk przez kilka dni w swoim gabinecie śpiewał husyckie pieśni. Niestety, ani Czesi, ani katolicy Słowacy w tym ukochanym przez prezydenta Kościele nie chrzcili się masowo.

Do tego w latach 1945-1946 wypędzono trzy miliony Niemców i tym samym chrześcijanom znikły niemal trzy miliony wiernych.

(Prezydent Masaryk odniósł jednak pośmiertny sukces: członkiem Czechosłowackiego Kościoła Husyckiego jest prezydent Václav Klaus).

Z dworca idę obok księgarni Tanie Książki. W witrynie - *W co wierzą sławni, czyli gwiazdy o swojej duszy*. Sprzedawczyni mówi, że książka wyszła już cztery lata temu, ale mają ogromne zapasy, więc pomyśleli, że jak przyjeżdża papież, to może będzie większe zainteresowanie. - Przy Benedykcie teraz się dużo mówi o duchowości - tłumaczy.

Kupuję i czytam przed snem.

Aktorka Kateřina Macháčková - dostaje znaki. Ostatnio była nastrojona na czerwony kolor i znak serca. Niedawno otworzyła dolną część tosterka, żeby go wyczyścić, a tam na zaśnieżonym metalu utworzył się rysunek serca. Zresztą nadchodzi do niej więcej takich znaków. Z niewiadomych powodów nagle przez kilka dni drukarka w jej domu nie działa. Przychodzą fachowcy i tylko kręcą głowami, bo nie mogą znaleźć żadnej przyczyny. Nie działają też żadne discmany. Natomiast to, co działa naprawdę idealnie, to są jej prośby do świętego Antoniego - on je wszystkie spełnia.

Piosenkarka Hana Zagorová - nosi zawsze ze sobą mały woreczek, w którym trzyma wahadełko i różdżkę.

Piosenkarz Pavel Vítok - regularnie kontaktuje się z osobą, która posługuje się wahadełkiem, i musi przyznać, że ono nie kłamie. Zresztą wahadełko potrafi bardzo niemiło odpowiadać na pytania.

Prezenterka telewizyjna Markéta Mayerová - uważa, że horoskop należy zamówić dziecku u astrologa zaraz po urodzeniu.

Aktor Jaroslav Dušek - medytuje, nawet gdy gra na scenie. Otwiera się wtedy między nim a publicznością kanał i ludzie bardzo często medytują razem z nim

podczas przedstawienia, w wyniku czego czują się lepiej.

Piosenkarz Michal David - miał córkę, która zmarła na białaczkę w wieku dziewięciu lat. On i żona są przekonani, że taka była jej karma. Następne pięćdziesiąt lat życia mogłoby ją tylko skrzywdzić. Jeśli jej dusza miała się rozwijać, musiała stąd odejść.

Aktorka Květa Fialová (hrabianka na koniu w *Pociągach pod specjalnym nadzorem*) - od sześćdziesięciu czterech lat nosi przy sobie książkę *Prorok Chalila Dżubrana z Libanu*, bo są tam odpowiedzi na wszystko.

Kiedyś (20.09.2006) odwiedziłem Fialovą i rozmawialiśmy o jej stosunku do wiary. Jest córką pułkownika lotnictwa, gorliwego ewangelika. W książkach, które napisała o swoim życiu (jedną o powitaniu starości, a drugą o tym, że czym gorzej, tym lepiej), propaguje w Czechach buddyzm. Uważa, że po zmianie ustroju Kościół katolicki nie przeżył renesansu właśnie z tego powodu, że zbyt kojarzył się z komunizmem. - Zakazy, nakazy - wyliczała. - A już szczególnie wyznanie katolickie ma nadmiar przepisów i reguł. W buddyzmie zen powiedzą panu tylko, że w życiu chodzi o miłość i dobro. Ale już nie przymuszają do konkretnej drogi. Czesi po upadku komunizmu, kiedy Kościół katolicki miał jakiś cień kredytu zaufania, natychmiast zorientowali się, że to organizacja totalitarna).

Wróćmy do książki o duchowości celebrytów.

Na dwustu dwudziestu trzech stronach dziennikarka Věra Keilová nie zadaje czeskim gwiazdom pytania o to, kto tym wszystkim steruje. Może uwielbiane wahadelko jest małym elementem czegoś większego? Ale czego - nikt nawet nie próbuje powiedzieć. Jakby zachwycali się pięknem psalmów, lecz nie spytali, kogo sławią.

Jedynie Jaromír Jágr, megagwiazda hokeja, mówi o Bogu. Kilka lat temu wybrał prawosławie. I zaręcza, że gdy ktoś pierwszy raz pójdzie do kościoła, a nie jest do tego przyzwyczajony, to będzie go strasznie bolała głowa. Oczywiście zaboli tego, kto jest gotowy chociaż trochę się otworzyć.

## **Sobota rano**

O 11.30 do Pragi przylatuje papież, a mnie przypomina się inny sobotni ranek, kiedy cztery lata temu w czeskiej telewizji obejrzałem dokument o dzieciach chorych na nowotwory. Ich rodzice mówili do kamery o swoich wysiłkach i o miłości. „Robię

wszystko dla mojego dziecka" - podkreślali. Uderzyło mnie, że żadne z nich nie powiedziało jednego: modłę się za swoje dziecko. Albo: powierzam je Bogu.

Napisałem maila do producentki filmu z pytaniem, jak to możliwe. Wiem, że wielu Czechów powtarza, że są najbardziej ateistycznym narodem świata (nie są, wyprzedzają ich na przykład Szwedzi, ale Czesi chętnie powtarzają tę opinię o sobie), jednak i w ateistycznym kraju znajdzie się chyba ktoś, kto pomodli się za zdrowie swojego dziecka. Choć jedna osoba.

Producentka odpisała, że dokument o dzieciach z rakiem był wyświetlany właśnie w paśmie religijnym. Większość rodziców się modli. Wie to, bo przecież była przy nagraniach.

Dopytywałem więc, czy wycięli te wyznania w montażu.

„Nie - odpisała. - To rodzice uznali, że nie będą o modlitwie mówić publicznie. U nas, w Czechach, wiara jest prywatną sprawą”.

A więc tak wygląda idealny rozdział Kościoła od państwa?

Do takiego kraju przyjeżdża za godzinę papież Benedykt XVI z trzydniową wizytą. W telewizji od rana mówią, że wizyta ma wzmocnić duchowo czeskich katolików. Przypominają o odebraniu Kościołowi katedry, przypominają, że prezydent Václav Klaus osobiście jest przeciwnikiem podpisywania z Watykanem konkordatu i blokuje napisaną już ustawę, bo uważa, że żaden Kościół nie powinien być w Czechach faworyzowany. To są nieoficjalnie główne tematy wizyty papieża.

Jest po jedenastej, telewizje w głównych programach nadają podczas przyjazdu papieża filmy i programy rozrywkowe. Przyłot gościa relacjonuje cały czas całodobowa telewizja informacyjna ČT24.

Oczekiwanie na Ojca Świętego, a w studiu filozof ksiądz profesor Tomáš Halík mówi o tym, w jak dobrej sytuacji jest Kościół czeski:

- Dziś w Kościele są ludzie, którzy chcą w nim być. A nie jak pięćdziesiąt lat temu, że siłą katolicyzmu była tradycja. Że ludzie chodzą do kościoła, bo rodzice chodzili, to i ja chodzę. Dziś jest to świadomy wybór.

Prowadzący Václav Moravec dopytuje o różnice między Janem Pawłem II a Benedyktem XVI.

- Dzisiejszy papież - mówi ksiądz Halík - nie ma złudzeń, że kościoły w Europie się wypełnią. Katolicyzm nie ma już tutaj swoich socjokulturowych podstaw.

Benedykt myśli więc inaczej niż Wojtyła, który nie mógł się pozbyć swoich wyobrażeń o katolicyzmie wyniesionych z Polski.

Prezydent Václav Klaus mówi, że wita Benedykta XVI jako jednego z największych intelektualistów świata.

Papież mówi, że bez Boga człowiek nie wie, jaką drogą ma iść.

Sprawozdawcy zauważają, że po ulicy Evropskiej, z lotniska do centrum, Benedykt XVI nie jedzie papamobilem. Taki pojazd jest po to, żeby głowa Kościoła mogła pozdrawiać wiernych po drodze. - Ale nie ma kogo pozdrawiać. Ostatnio Evropska była pełna, gdy jechał Kim Ir Sen.

Były rzecznik prezydenta Havla Ladislav Špaček przypomina: - W czasie pielgrzymki Jana Pawła II, dwanaście lat temu, Evropska także straszyla pustką.

W Pradze nie ma żadnych witających papieża billboardów, plakatów, papieskich flag i obrazów w oknach.

## **Sobota, 12.30**

Jestem na ulicy Újezd na Malej Stranie, gdzie Benedykt XVI wprost z lotniska przyjeżdża do kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej, żeby wręczyć złotą koronę słynnemu praskiemu Dzieciątku Jezus. Dzieciątko (mówi się na nie „Jezulátko”) to czterdziestosiedmiocentymetrowa rzeźba małego (może trzyletniego z wyglądu) Jezusa, która uratowała Pragę przed Szwedami w 1639 roku i potrafi uzdrawiać. Wczorajsza gazeta „Mlada fronta DNES” podkreśla, że klasztor Karmelitów, którzy dbają o Jezulátko, jest miejscem, które inspirowało Antoine'a de Saint-Exupéry'ego do napisania *Małego Księcia*. (Według mnie Jezulátko wygląda jak jego wcielenie). W tym miejscu pewien Brazylijczyk wymodlił sobie nawet sławę pisarza. Nazywa się Paulo Coelho i do dziś to wspomina.

Sprzedawca jezulátek z naprzeciwka wyznaje gazetce, że do sklepu karmelitów przychodzą głównie Włosi, Hiszpanie i Brazylijczycy. Czechów może z dziesięć procent i najczęściej pytają: - To jakaś lalka, nie?

Pod kościołem jest z tysiąc osób, najbardziej słyhać polskie głosy. Piszczą Polki. Jacyś Czesi usiłują krzyknąć: „At' žije papež!”, ale po trzech okrzykach są zagłuszeni przez polskie kobiety.

Im bardziej Czesi chcą krzyknąć, tym Polacy są głośniejsi.

Papież podaje rękę najbliższej stojącym. Burmistrz Pragi Pavel Bém wita go w „najbardziej ateistycznym kraju świata”, ale podkreśla, że przecież Benedykt XVI przywozi wartości, które mogą być wspólne dla wszystkich, choćby miłość bliźniego.

Pani Irena z Wambierzyc krzyczy: - Niech żyje papież!

Miała nawet krzyczeć po czesku, ale mówi: - Pomyślałam, że Czechom już nie pomoże, a Ojciec Święty zorientuje się, że ma tu też swoje towarzystwo.

Kupuję sobotnie gazety. Tabloid „Blesk” w specjalnym dodatku wyjawia, co papież lubi jeść i jak jego wizyta wpłynie na komunikację miejską w Pradze. Seksuolog Petr Weiss udziela wywiadu: „Księża bez seksu? Nonsens!”, a redakcja streszcza - wydaną specjalnie na przyjazd Ojca Świętego - książkę *Życie seksualne papieży* Nigela Cawthorne’a.

„Lidové noviny” piszą w tytule: „Przyjeżdża kontrowersyjny przywódca katolików”. Ale dają też miejsce katolickiemu blogerowi i menedżerowi. David Petrli (rocznik 1970, pracuje w telekomunikacji), w tytule oznajmia: „Przyjeżdża papież pokory i prawdy”. (Muszę go potem odnaleźć w sieci).

„Právo” (byłe komunistyczne „Rudé právo”) jako jedyne nie pisze na pierwszej stronie o tej wizycie, a kolorowy dodatek ma na okładce aktorkę, która wyznaje, że wierzy w to, co mówią jej karty.

## **Sobota, 17.30**

Pociąg do Brna prawie pusty (pewnie większość wiernych pojedzie w niedzielę wcześniej rano). Naprzeciwko mnie - dziewczyna, ma może dwadzieścia lat. Ładna, długowłosa, nieumalowana. Nie ma torebki, tylko plecak. Może jechać na jutrzejszą mszę. Postaram się kilka razy na nią spojrzeć, gdy podniesie wzrok znad książki, i wtedy zagadam. Na razie i ja, i ona czytamy.

Obie książki, które mamy w rękach, dopiero co wyszły i obie nie są dla Czechów mile.

Dziewczyna czyta głośną książkę dziewiętnastoletniej Czeszki, która urodziła się na południu Czech, z gramatyki czeskiej miała same szóstki, a wszyscy wciąż ją uważają za Wietnamkę. Pierwsza prawdziwa książka napisana przez przedstawiciela wietnamskiej mniejszości po czesku (Lan Pham Thi, *Biały koń, żółty smok*). Akcja dzieje się w Pisku, gdzie bohaterka zdała maturę i gdzie ją pobili skinheadzi. Ojciec po

latach pracy założył tam wyśnioną restaurację, a prezydent miasta, który ją uroczyście otworzył („bo przecież jesteśmy za tolerancją i współpracą”), ma kierowcę skina (on też bił autorkę). Prezydent jest wesołym Czechem, najbardziej lubi dowcip: Przychodzi Czech na wietnamski stragan i pyta: „Ma Pan AIDS?”. „Nie - mówi Wietnamczyk - ale na jutro mogę sprowadzić”. Tata Wietnamczyk z książki ma czeskiego przyjaciela, na którego nazwisko kupił dom. Dogadanie się zawsze było proste. Filozofia czeskiego przyjaciela: „Od czasu, kiedy wynaleziono forszę, dziękować nie musisz”. Filozofia taty: „Przede wszystkim nikogo nie wkurwić”. Recenzenci są zgodni: „Jesteśmy rasistami, ale czyta się o tym dobrze”.

Długowłosa dziewczyna czyta tak szybko, że przez pół godziny ma za sobą pół książki i nie podnosi wzroku.

Ja czytam eseje czeskiego socjologa (Jan Stern, *Mistyka Zachodu*), który jako wyznawca Freuda w swoich książkach funduje Czechom psychoanalizę. Wydawca zapowiada na okładce, że dojdę do rozdziału, z którego dowiem się, co mówią o czeskim społeczeństwie jego zbiorowe fantazje o homoseksualizmie prezydenta Klausa. Na razie czytam, że u przyczyn upadku komunizmu w Czechosłowacji nie leżało wcale pragnienie wolności: „Gdyby komunistyczny reżim był trochę inteligentniejszy i wpuścił na rynek te wszystkie błyszczące pudełka i tubki, wszystkie te »Brava« i ich gwiazdeczki, gdyby zawarł lukratywne umowy z Coca-Colą i McDonald's, gdyby Czech miał pewność, że jego spożywczy na osiedlu nie odziera go ze wszystkich kolorów, jakie są w zachodnio-niemieckim supermarkecie, nigdy by sobie walką o jakąś »demokrację« nie zawracał głowy”.

Niestety, dziewczyna z plecakiem wysiada na pierwszej stacji. Za to wsiada starsza kobieta i jest to ta sama długowłosa dziewczyna, tylko że pięćdziesiąt lat później. Niemal z takim samym plecakiem.

- Nie jedzie pani przypadkiem na jutrzejszą mszę?
- Jadę. A pan to mi wygląda na duchowną osobę.
- A jestem osobą świecką - wyjaśniam.

Kobiecie to nie przeszkadza. Do Brna wiem wszystko, co chciałbym wiedzieć o jej parafii:

- Księży czeskich już nie ma. Wymarli. Są już prawie sami Polacy. Ci Polacy wszędzie wejdą, tylko w rządzie ich jeszcze brakuje. Na przykład nasz ksiądz musiał już iść na emeryturę, słabo chodził, słabo słyszał. Powołali do parafii Polaka, z Polski. Polak to wiadomo: od razu handelek. Nie powiem, pieniądze się ich trzymają. Pan

powie, skąd Polacy mają pieniądze? On przyjechał z jedną walizką, a natychmiast okna wymienił na nowe. A klucze to od razu pierwszego dnia. Tak że nasz ksiądz nie mógł już sobie swojego domu, w którym przeżył czterdzieści lat, otworzyć. Jak tylko poszedł do domu starców, to Polak wyrzucił wszystkie rzeczy księdza proboszcza na dziedziniec. Na taką stertę. Sąsiadka trochę uratowała. Było to bardzo przykre. Oczywiście nie jestem jakąś antysemitką czy coś podobnego, żeby nie lubić Polaków, ale pan powie, dlaczego jak na świecie gdzieś jest dziura, to ją wypełnią Polacy? Co to za naród? Dlaczego taki wędrujący? Ta Anglia, to przecież mówią, że tam Polska już jest. Czy to przyzwoite, że naród tak nie usiedzi spokojnie na miejscu? Wy, Słowacy, jesteście zupełnie inni.

- No myślę (krztuszę się kofolą, czeską wersją coca-coli).

- U nas, proszę pana, za komunizmu w tekstyliach pracowało mnóstwo Polaków. Jak tylko przyjechali do Czechosłowacji, to wszyscy chodzili do kościoła. Zbiorowo. Mnie to aż serce rosło, jak nasz kościółek był wtedy pełny. I ja się pytam, co z tymi Polakami się stało?

- Nie ma ich już?

- Są. Po trzydzieści lat w Czechach żyją.

- No to co się im miało stać?

- Wszyscy przestali chodzić do kościoła. Co do jednego. Zupełnie jak Czesi.

Więc ja się pytam, co się stało z Polakami?

Brno - stolica Moraw, najbardziej religijnego regionu Republiki Czeskiej. Wsiadam z pociągu, jest 21.30 - w mieście pusto, wieje wiatr. Głównym deptakiem przechadzają się grupki młodzieży po piwie. Zupełnie jak w Pradze - żadnych znaków, że przyjedzie głowa Kościoła.

W podziemiach barokowego kościoła Świętego Michała w centrum, na placu Dominikańskim, działa kawiarnia Cafettino. W środku nikogo poza barmanem. Na tarasie - między rzeźbami świętych - stoją puste stoliki, tylko jakiś chłopak całuje dziewczynę opartą o świętego Dominika.

Idę na plac Wolności, po drodze oglądam witryny księgarń, może wystawili jakieś książki kardynała Ratzingera. Albo coś o Watykanie. Ale nikt nic nie wystawił.

Tylko w księgarni Akademia nowy czeski przekład Biblii. Leży obok *Merde* Stephen'a Clarke'a.



## Niedziela, 8.00

Msza będzie na lotnisku. Spod dworca głównego cały czas odjeżdżają tam autobusy. Wszystkim wsiadającym młode kobiety wręczają żółte książeczki. Na okładce: „Jezus - nasz los”. W środku kazania pastora Wilhelma Buscha z Essen, który przypomina: tyle już zostało powiedziane o miłości Bożej, że zapomnieliśmy o tym, iż Bóg jest groźny, Boga się trzeba bać!

W autobusie ludzie w różnym wieku, żółte książeczki pochowali do toreb. Jedna starsza pani mówi koleżance, że jedzie się „porządnie pomodlić”, a druga mężowi - że jedzie na „wycieczkę na inną planetę”.

Młode Polki z podróży - w płaskich sandałach, Czeszki - na obcasach. Polki - w dłuższych spódnicach, Czeszki - w krótszych. Polki - bez śladu makijażu, bo prosto z podróży, a Czeszki też bez śladu makijażu, bo z makijażem pełnym.

Przed wejściem na płytę lotniska - szereg straganów. Wśród nich Benediktus, e-sklep z alkoholem.

Porządkowi rozdają niezbędniki: płaszcz przeciwdeszczowy (parasole są zakazane), obrazek Maryi - patronki Brna - oraz materiały promocyjne województwa południowomorawskiego. Zapowiada się przez megafony, że podczas mszy - zgodnie z życzeniem Ojca Świętego - nie należy machać chorągiewkami, klaskać ani krzyżeć.

Msza odbywa się po łacinie (każdy dostał łaciński tekst), ale tysiące wiernych nie odpowiadają papieżowi. Robi to za nich chór przy ołtarzu. Czesi są mało wylewnym narodem, jednak mam wrażenie, że te wszystkie zalecenia gościa jeszcze bardziej gospodarzy usztywniają.

Notuję najważniejsze myśli kazania:

„Jedyna pewna i niezawodna nadzieja jest w Bogu”.

„Jesteśmy tu przede wszystkim po to, abyśmy słuchali Słowa, które pokazuje nam drogę do nadziei”.

„Słuchamy Słowa, które jako jedyne może nam dać prawdziwą nadzieję, bo jest Słowem Bożym”.

„Chrystus ukrzyżowany i zmartwychwstały, to nadzieja ludu”.

„Naszą jedyną nadzieją jest Chrystus”.

„Tutaj, tak jak gdzie indziej, mnóstwo ludzi cierpiało za wierność Ewangelii, ale nie stracili nadziei”.

„W tym świecie, który upada, jedynie Chrystus może dawać nadzieję”.

„Niech was prowadzi i chroni Maryja, Matka Pana Naszego, nasza nadzieja”.

Siedzę na krześle w sektorze dla niepełnosprawnych, gdzie jest do końca mszy kilka wolnych miejsc, udaję opiekuna. Dla dziennikarzy wyznaczono miejsca stojące. Więc Włosi, ubrani w garnitury, żeby wysyłać natychmiast swoje korespondencje, siadają z laptopami na ziemi. Cztery godziny stania minimum. Nie ma mowy!

Obok siedzi dwóch Romów. Jeden brat przywiózł drugiego, sparaliżowanego, na wózku.

- Powiem panu, że nic piękniejszego w życiu niż ta msza mnie nie spotkało, a brata to już na pewno - odpowiada ten zdrowy. - Brat spadł z rusztowania, pracował bez umowy, bo wie pan, jak Cygana zatrudnią, to zawsze na czarno. Teraz brat nie ma nic, ale cała rodzina się nim zajmuje. Z nami i z pomocą Boga nie zginie! - zapewnia.

Po mszy odjeżdżam autobusem dla dziennikarzy. Ze mną ekipa jakiejś telewizji. Dziennikarka wzdycha: - Żeby chociaż to było teatralnie ciekawe. Jako przedstawienie, ale to szmira po prostu. Cały weekend mi ten papież zmarnował.

## **Niedziela, 15.30**

Wracam do Brna - na słonecznych ulicach i placach spokój, jakby nic się obok nie wydarzyło.

Pociąg do Pragi. W przedziale młoda Czeszka w typie Polek z rannego autobusu: myślę, że płaskie sandały nosi nawet zimą. Typ, który nie spogląda do lustra, żeby uzbroić się na wojnę z innymi kobietami.

Zakonnica?

Wyciąga książkę o świętym Waławie. Dzwoni jej komórka. - Siostrze - mówię nabożnie - było to wszystko piękne jako wydarzenie. Przeżyłam to bardzo. No, ale to kazanie...

- Nie, straszna nuda.

- Takie oczywistości. Muszę się siostrze przyznać: zasnęłam na kilka minut, tak mnie znużyło.

- Nie myślę, żeby grzech.

- Ze swojego poglądu na kazanie się spowiadać?

- Siostrze, ja się martwię o...

- Tak, wiem, to nie na telefon.

Dziewczyna odkłada komórkę, kładzie *Świętego Wacława* na kolanach i zamyka oczy.

Kiedy jadę pociągiem, papież ma spotkanie z przedstawicielami środowisk akademickich na praskim Zamku. Wczoraj ksiądz Halík mówił w telewizji, że największą szansą Kościoła katolickiego w Czechach są ludzie wykształceni. Wykształceni nie mają przesądów. - Wśród profesorów uniwersyteckich według mnie jest więcej wierzących niż wśród klasy robotniczej - powiedział.

Wracam do hotelu, skajpuję z blogerem - menedżerem w telekomunikacji. Mieszka z żoną i dwojgiem dzieci w Brnie. Nie byli na mszy, wszyscy zachorowali. Piszę mu, że kazanie Benedykta wydało mi się litanią komunałów. Odpowiada, że słuchał go w telewizji, bo pierwszy program transmitował całą mszę, i było wspaniałe. - Znam papieża Benedykta bardzo dobrze, czytałem dwadzieścia jego książek i ten spokojny i głęboki styl mi odpowiada.

Rozmawiamy o tolerancji w Czechach. - Kiedy spojrzysz na internetowe dyskusje, znajdziesz mnóstwo zaczepek wobec katolików. Przypominają mi ataki na Żydów w latach trzydziestych.

Przekazał mojego maila wierzącemu koledze. Kolega, Jiří Kuba, pracuje „w dziedzinie nauk przyrodniczych” i w pracy spotyka się z tolerancją wobec swojej religijności.

„Kłopot jest - pisze kolega - w publicznej anonimowej przestrzeni. Ona przyciąga patologiczne jednostki. Choć zauważyłem, że administratorzy forów w internecie z większą ochotą likwidują nienawistne, agresywne wpisy przeciw Romom, Żydom i homoseksualistom niż przeciw katolikom. Uważam to za niebezpośrednią, ale systematyczną dyskryminację. Większość w Czechach toleruje wulgarne ataki na wierzących”.

„Wyjdźmy z katakumb! Uświadommy sobie swoją wartość. Nie mamy żadnego powodu ukrywać swojej wiary. Nikt za to nas już nie zamyka do więzień i nikt nam nie zagraża, chyba że my sami sobie” - napisała we wstępie do swojej książki *Wierzyć - to normalne* Marie Svatošová (lekarka, która dwadzieścia lat temu zakładała pierwsze w Czechach hospicja).

Znajduję ją przez internet. Pisze, że wie, jak „bezbożni sąsiedzi” leżą nam, Polakom, na sercu.

Opowiada, jak na kilka miesięcy przed przyjazdem Ojca Świętego biskupstwo w

Brnie każdego ranka wysyłało tysiącom wiernych sms-y z myślami Benedykta XVI. Wielu wierzących poznało go lepiej dopiero dzięki tym sms-om. Marie Svatošová wie, że jego wizyta dopiero za jakiś czas przyniesie owoce.

Poniedziałek rano Dziś Dzień Świętego Wacława. Od tego roku - państwowe święto. Dzwonię do znajomej. - Ten papież ani trochę nie różni się od waszego - mówi.

- A powinien? W czym miałyby być inny? - dopytuję.

- Taki sam ludobójca jak wasz.

- Słucham?!

- No ktoś, kto nie pozwala na prezerwatywy w Afryce, nie może być inaczej nazwany.

Mszę dla młodzieży (pięćdziesiąt tysięcy wiernych) w Starej Boleslavie pod Pragę oglądałam w telewizji. Reporter mówi, że w całym mieście regularnie chodzi na mszę może dziesięć osób.

W bazylice Świętego Wacława, zbudowanej w miejscu jego męczeńskiej śmierci, Ojciec Święty oddaje cześć czaszce świętego. Na co dzień złożona jest w katedrze Świętego Wita na Hradczanach. W rocznicę jego śmierci wyciąga się ją, nakłada jej koronę i do niej modli. Koronę ufundował cesarz Karol IV, który zbudował most Karola, założył praski uniwersytet i bardzo mu zależało na czczeniu Wacława jako patrona Czech.

W czasie okupacji hitlerowskiej prezydent Protektoratu Czech i Moraw Emil Hácha przekazał klucze do tych relikwii Reinhardowi Heydrichowi jako znak poddaństwa. Znak na potrzeby propagandy. Istnieje zdjęcie, które uwiecznia moment, gdy Heydrich staje się posiadaczem kluczy. O minie Háchy na zdjęciu można powiedzieć jedno: wygląda, jakby zaprzedawał duszę diabłu. Protektor już aresztował najbliższych współpracowników Háchy, więc można założyć, że to chwila, w której prezydent jest osamotniony i przerażony<sup>33</sup>. Przepowiednia mówiła, że kto sięgnie po królewskie insygnia, a jest do tego nieuprawniony, przypłaci tę zuchwałość śmiercią. Ponoć Heydrich nie oparł się pokusie, przymierzył koronę i przejrzał się w lustrze. Pół roku później padł ofiarą zamachu.

Wczoraj czaszkę przewieziono do miejsca, gdzie święty Wacław zginął (w 929 lub 935 roku) najprawdopodobniej od noża swojego brata Bolesława, który zazdrościł

---

33 Więcej o kontrowersyjnym prezydencie Hászy w książce z historyczno-reporterskimi szkicami Mariusza Surosza, *Pepiki. Dramatyczne stulecie Czechów*, w.A.B., Warszawa 2010

mu władzy i jako poganinowi nie podobało mu się, że Waclaw szerzy katolicyzm.

Korona jechała w asyście straży zamkowej na motocyklach, eskortę miała taką, jakie mają głowy państw, a kapelan straży zapewniał w telewizji, że żołnierze, którzy będą jej towarzyszyć do Starej Boleslavy, są z tego bardzo dumni, chociaż w większości nie wierzą w Boga.

Rejestruję się na stronie [Signalny.cz](http://Signalny.cz), gdzie rozmawia ze sobą ponad siedemnaście tysięcy czeskich katolików. Jeden z wątków: „Dlaczego wierzysz?”.

Wybieram wpis: „Od urodzenia żyłem w ateistycznej rodzinie. Nagle coś samo wypłynęło na wierzch, od serca. Pięknie być wierzącym. To wolność nie tylko duchowa. Żyję ze swoją wiarą, niestety, sam. Czasem jest to bardzo ciężkie, ale traktuję to jako swoje przeznaczenie. Milan”.

Wysłałam Milanowi kilka pytań.

### **Poniedziałek po południu**

W telewizji čt24 czekają na uroczystość pożegnania papieża (17.15), a na razie trwa dyskusja o prezerwatywach, bo o 16.00 na placu Waclawa w Pradze zaczął się happening „Kondomy dla papieża”. Z księdzem Halíkiem dyskutuje organizatorka akcji Tereza Hendlová. - Wierność, którą proponuje papież - mówi - jest nie dla kobiet, które mają mężów zakażonych HIV. A na południu Afryki zakażona jest jedna trzecia populacji.

Telewizja nie pokazuje jednak, jak wyglądają rozdawane na placu prezerwatywy (mają wizerunek Benedykta XVI z kondomem naciągniętym na głowę).

### **Wtorek rano**

Milan odpowiedział na moje pytania.

Wiek?

„41 lat”.

Czy był na mszy w Starej Boleslavi albo w Brnie?

„Osobiście byłem w Boleslavi. Tylko że służbowo. Strzegłem bezpieczeństwa Ojca Świętego jako policjant. Wewnętrznie bardzo mszę przeżywałem, ale musiałem to w sobie tłumić, bo przecież byłem w pracy. Później w domu puściłem sobie nagranie z telewizji i płakałem”.

Jak rodzice reagowali na pana życiową decyzję: teraz żyję z Bogiem?

„To właśnie problem. Moja matka nie wie, że jestem wierzący, a ojcu powiedziałem chwilę przed jego śmiercią. Nikt inny o mnie nie wie. Tylko moja dziewczyna czegoś się domyśla, ale mam wrażenie, że to toleruje”.

Czy ktoś w pracy wie, że jest pan wierzący?

„Nie”.

Jak się panu żyje z wiarą w Czechach?

„Nie wiem, jak inni katolicy, ale to, że nikomu nie powiedziałem, świadczy o tym, że ciężko być wierzącym. Trochę wygląda się na idiotę. To jest jedna z pozostałości reżimu komunistycznego, wtedy najlepiej było nie wierzyć. Dlatego tak bardzo mnie pokrzepił udział tylu młodych na mszy Ojca Świętego. Czasem myślę, żeby wyemigrować do jakiegoś kraju, gdzie będę mógł żyć między chrześcijanami. Ale nie mogę, Kocham najbliższych. Nie chcę nikomu z nich wciskać wiary, na to jestem zbyt tolerancyjny”

Jak by pan odpowiedział na pytanie z portalu [Signalny.cz](http://Signalny.cz): „Dlaczego wierzysz?”.

„Bogu mogę się zwierzyć ze wszystkiego. Bóg mnie do niczego nie zmusza. Wiem, że mi naprawdę wybacza, z Bogiem jest mi pięknie. Nie potrafię tego opisać”.

Na koniec Milan dodaje: „Dziękuję, że mogę się i panu zwierzyć z tego, co jest dla mnie bardzo ważne”.

## **Wtorek w południe**

Przeładam gazety z pierwszymi komentarzami.

„Papież oczarował Václava Klause”.

„Watykan poczeka z majątkowymi roszczeniami wobec Republiki Czeskiej. Jest kryzys”.

„Papież miał u nas ciężko, a jego czeski brzmiał nam, niestety, jak u sudeckiego Niemca”.

„Kościół katolicki wyprostował się i podniósł głowę. Wytrzyma w tej pozycji?”.

„Jedna godzina wynajęcia papieża kosztuje milion sześćset tysięcy koron. Pięćdziesiąt pięć godzin wizyty kosztowało ponad dziewięćdziesiąt milionów”.

„Ten gość jest odpowiedzialny za śmierć setek tysięcy ludzi. W marcu powiedział w Kamerunie i Angoli, że »AIDS nie można przeciwdziałać rozdawaniem kondomów, które ten problem tylko powiększają«. Gdyby to powiedział Borat, byłby

to przynajmniej czarny humor".

„Papież przypomniał nam, że to chrześcijaństwo przyczyniło się do powstania uniwersytetów i doceniło rozum".

„Hospodárské noviny" piszą, że na obu mszach dziesiątki ludzi chciały z ciekawości przyjąć komunię.

„ - Musi pan powiedzieć »amen«, zanim ją panu podam - uczył ksiądz.

- A to nie wiedziałem.

- A jest pan ochrzczony?

- No nie.

- To musi pan odejść. Nie może pan przyjąć Ciała Chrystusa".

Wszyscy piszą o pająku. W sobotę w czasie przemówienia na Zamku zaczął wędrować po Benedykcie xvi. Papież właśnie zachwalał Pragę, kiedy pajak wszedł mu na lewe ramię, okrążył szyję i przeszedł na ramię prawe. Gdy Ojciec Święty mówił o hasle „Prawda zwycięży", które - spopularyzowane przez husytów - zdobi flagę prezydenta, pajak wszedł mu na twarz. Benedykt xvi nawet go nie zauważył.

## zabawa w wietnamkę

Książka *Biały koń, żółty smok*, którą czytała dziewczyna w pociągu do Brna, wygrała coroczny konkurs Klubu Książki. Najlepsza z nadsyłanych książek jest wydawana i sprzedaje się w imponujących nakładach.

Na dziewiętnastoletnią zwyciężczynię AD 2009, Lan Pham Thi, rzucili się dziennikarze, ale ta mogła udzielać wywiadów tylko mailowo, bo wcześniej wyjechała do Kuala Lumpur, żeby studiować informatykę.

Odpisywała mediom, że wciąż rozwiązuje swój dylemat, czy jest Czeszką, czy Wietnamką. Doszła jednak do wniosku, że jest Czeszką z wietnamskimi rodzicami. Pytana, dlaczego w jej książce nie pojawia się ani jeden pozytywny Czech, odparła, że pisząc, nie zdawała sobie z tego sprawy.

W Czechach, mimo zauważalnej niechęci do Romów, nastął boom pisanej przez nich literatury, liczba romskich studentów na wyższych uczelniach jest chyba rekordem Europy - i wielu miało cichą nadzieję, że Lan Pham Thi jest także zwiastunem czegoś dobrego. Zwłaszcza że jeden z ministrów spraw wewnętrznych ogłosił pomysł: państwo zapłaci każdemu Wietnamczykowi, który zechce opuścić Czechy. Fakt, że dzięki Wietnamczykom niemal każdy kwartał ulic w Czechach ma po dwa dobrze zaopatrzone sklepy spożywcze, otwarte w piątek i świątek, nie robił na nim wrażenia.

Umowę na książkę autorka przysłała wydawnictwu z Kuala Lumpur. Na wręczenie nagrody przybyła w jej zastępstwie wietnamska koleżanka. Sama Lan przemówiła z nagrania wideo i przeprosiła za nieobecność.

Kilkanaście dni po wydaniu *Białego konia, żółtego smoka* krytyk Zdenko Pavelka napisał, że niepokoi go kilka szczegółów. Na przykład czasownik użyty przy opisywaniu sceny, gdy tata bohaterki z udziałem prezydenta miasta otwiera w mieście Písek swoją wymarzoną restaurację. Jest przy tym lokalna telewizja i Lan Pham Thi pisze, że kamera „terkocze”. A przecież kamery nie terkoczą już od kilkudziesięciu lat. Skinheadzi, którzy napadają bohaterkę, używają naostrzonych żyłek. Krytyk sprawdził, że skini w dzisiejszych czasach używają bardzo ostrych noży, a żyłki zanikły w latach dziewięćdziesiątych. Do tego akcja dzieje się w Písku, gdzie na otwarcie nie mógł przyjść prezydent miasta, bo Písek ma burmistrza.

Z takich i podobnych szczegółów wnosi, że książki nie napisała żadna Wietnamka, lecz mężczyzna. Czech, który ma przynajmniej pięćdziesiąt lat. Krytyka



najbardziej irytuje, że wszędzie podkreśla się: książkę napisała młoda Wietnamka. Jakby to już samo w sobie było wartością literacką.

Tak wystartowała wielka medialna akcja zbiorowego podejrzenia, że Lan Pham Thi nie istnieje.

W ciągu dwóch miesięcy akcja dotarła do mety. Pomógł jej w tym zdobywca drugiego miejsca w konkursie Klubu Książki, który wiedział o mistyfikacji (jego książki nie wydano).

Jednak jury konkursu oznajmiło, że nawet gdyby i ono wiedziało, że żadna Wietnamka nie napisała tej książki, zdobywca drugiego miejsca i tak by nie wygrał. A poza tym wcale nie był drugi, tylko to sobie wyobraził.

Autorem wietnamskiego objawienia okazał się trzydziestodwuletni dziennikarz podróżnik, Jan Cempírek (w kwestii wieku krytyk jednak się mylił).

Autor wyznał publicznie, że dokonał literackiego oszustwa, bo chciał zwrócić uwagę na problemy wietnamsko-czeskie. Chciał sprawdzić, jak przyjęta będzie książka, która zawiera wyłącznie klisze i czarno-białe widzenie świata. I chciał pokazać, „co zwyczajny Czech myśli, że myśli Wietnamczyk w Czechach”.

Ogłosił, że nagrodę pieniężną z konkursu Klubu Książki przeznacza na wydanie wietnamsko-czeskiego słownika.

Tego, co naprawdę czują i czym żyją Wietnamczycy, nadal nie wiadomo.

## łapię powietrze

Przepraszam, że tak długo nie odpowiadałem na sms-y, ale miałem dwa tygodnie ćwiczeń na Szumawie, tam jest rygor, nie wolno korzystać z telefonów, więc pisałem do pana tajnie. Ćwiczyliśmy młodych, mają po dwadzieścia cztery lata, upał, nie upał, biegają jak rumaki, a my musimy każde ćwiczenie im pokazać i wykonać z nimi. Więc oni pędem, a ja jak dobiegnę, to za mur chowam się na chwilę, żeby nie widzieli, i z wywieszonym językiem łapię powietrze. No, ale jeszcze daję radę, jestem stosunkowo młody, czterdzieści dwa lata.

Moje życie od jakiegoś czasu jest jak za tym murem właśnie. Żeby nikt mnie nie zobaczył. Prawdy o mnie prawie nikt nie zna i na razie wolę ją dawkować powoli. I to nie każdemu.

W policji jestem od 1992 roku. Jakoś trudno te dwie rzeczy ze sobą połączyć, nie sądzi pan?

Po takim policyjnym stażu można o mnie dumnie powiedzieć, że jestem już policjantem ogłupiałym. Długo pracowałem na autostradach w drogówce...

Polacy się skarżą? Na czeską drogówkę? Że źle ich traktuje? Myślę, że nie mają powodów. To samo mówią Czesi o policjantach niemieckich albo austriackich. To jest tak, że za to samo, jakby Polak był u was zatrzymany, to częściej uzna, że może policjant miał powód. Ale jak go Czech zatrzyma, to od razu odbiera to jako zamach na swój honor albo na swoją polskość. Za granicą wszyscy jesteśmy bardziej przeczuleni, to normalne. Ja wiem, że Polaków przyjmujemy bardzo pozytywnie, Ukraińców gorzej. Może po prostu Polacy chcieliby być najbardziej prześladowanym narodem na świecie?

Urodziłem się w lipcu 1968 roku, kilka tygodni później weszli Sowieci. Rodzice pod koniec roku uciekli do Kanady, gdzie żyło wielu Czechów. Wróciliśmy w 1984 roku, bo rodzice się rozwiedli i ja przyleciałem do Czechosłowacji z mamą. Władza postanowiła ukarać naszą rodzinę za emigrację. Nie wydała zgody, żebym się uczył. Zakazano mi ukończenia szkoły średniej. Skończyłem ją dopiero po rewolucji.

Jestem takim typem, że jak coś mówię, wolę być ostrożny.

Nic z siebie niepotrzebnie nie wypuszczam.

Ja wiem, wiem, że nadszedł czas, żeby wypuścić.

A lubi pan Czechy? Moja ulubiona miejscowość Slavonice - ona ma. *genius loci*. Piękny renesansowy rynek, sześć tysięcy mieszkańców. Tam była granica z

Austrią, tam żyli ludzie, którzy byli za minionego reżimu codziennie kontrolowani, czy to na pewno oni.

Kawałek dalej jest Telč, aaa, był pan. Obok są Dačice, tam wymyślili kostkę cukru. A wie pan, że Czech wynalazł szkła kontaktowe, widziałem niedawno dokument ciekawy o nim. Pan Otto Wichterle, taki przykład, jak można zachować godność w nieprzyjaznych okolicznościach. Ale spadochron to już wynalazł Słowak, ważne, żeby pan nie pokręcił nigdy tych narodowości.

Wracając do mnie, to ciśnienie we mnie było wewnętrzne takie, że myślałem: wybuchnę. Już dalej nie szło.

Musiałem z tym wyjść!

Wyjść z szafy? Bardzo dobrze pan to nazwał.

No i pierwszy krok - zajrzałem do internetu. Czy ja bym się odważył bez internetu? Wielu takich jak ja, gdyby nie internet, siedziałyby gdzieś ze swoim ja w ciemnościach.

Najbardziej mnie to złapało w wojsku. Był tam taki gość i od niego się zaczęło. Na początku nie wiedziałem, kim jest naprawdę. On dziś jest bardzo wysoko postawiony w archidiecezji ołomunieckiej. On mnie zaczął pomału wciągać w tę tajemnicę. Miał na imię Józef. Raz go strasznie chłopaki napadły. Jak oni krzyčeli! Że jest idiotą, a jego Boga to przyrównywali do męskiego przyrodzenia. A ja na tego Józefa patrzyłem. I było mi strasznie przykro. Od tego czasu zaczęliśmy razem rozmawiać. Dużo mi przybliżył.

Ale po wojsku mi to zupełnie wyszumiało z głowy.

Cisza we mnie zapadła.

Wie pan, że ja do niedawna nie umiałem się modlić?

W sytuacjach ciężkich chodziłem do kościoła. Pustego. Bo z ludźmi na mszy, to bym nie wiedział, co mówić. Nie znałem tych zasad rozmawiania z Bogiem, więc modliłem się po swojemu. Szczerze. Ale miałem intuicję i wiedziałem, co byłoby w tej modlitwie złe. Złe byłoby, gdybym na przykład modlił się o pieniądze. To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

No, przyznać się teraz do wszystkiego na głos, to byłby szok dla niektórych. Ale ten moment się zbliża.

Mamy trzy dziewczyny w pracy, im już powiedziałem. Reakcja była bardzo miła. Zachowują się świetnie. Mają problemy w domu, a teraz chcą tylko ze mną o nich rozmawiać, a nie z kolegą. Gdyby kolegom powiedzieć, to... nie wiem, wie pan,

jacy są faceci.

Krzyżyk na szyi? Noszę go i w pracy, ale tylko w zimie, bo mamy krawaty, wtedy go nie widać. A latem, kiedy koszula jest rozpięta, ściagam i jednak chowam.

Zdobyłem go w ciekawy sposób. Chciałem w sklepie internetowym kupić książkę *Krzyż i nóż*. Napisałem, że chcę książkę *Krzyż i nóż*, a oni wysłali mi krzyżyk i nóż. Zrozumiałem, że ta pomyłka to znak. Że krzyż pokona nóż, wiara pokona zło.

Nie, nóż też mam ze sobą.

Jak to go pan nie widzi? On jest w tym krzyżu. Proszę spojrzeć: on jest jednocześnie krzyżem i nożem z drugiej strony. Jakby krzyż z noża zrobiony. Przyzna pan, że jako symbol jest po prostu doskonały. Wyraża moją filozofię: ta wiara pokona każdy gwałt. Zresztą, to też koresponduje z tym, co robię, i w ogóle z organami ścisgania.

Nagle nadszedł dzień, kiedy poczułem, że psychika mówi: uspokój się i zacznij. Usiadłem przy komputerze i zacząłem na [www.wiara.cz](http://www.wiara.cz).

Odpowiedział kapelan wojskowy z Moraw, dał mi namiar na księdza tu u nas, na północy Czech, pięć kilometrów od mojego miasta. Pojechałem, nerwy mnie zjadały. Kilka razy obchodziłem dom księdza wokół. Myślę sobie: pójdziesz tam albo nie pójdziesz. Wobec największych przestępców nie miałem nigdy takiego cykora. Ale wszedłem i rozmawialiśmy pół godziny. Dziś mamy tam taką grupę, jest nas piętnaście czy szesnaście osób, pan nauczyciel, pan doktor, jakiś pracownik naukowy, rozmawiamy sobie, to jest fantastyczne. Chętnie tam chodzę.

Lubię też być sam. Wyglądam na ekstrawertyka, nie? Ale to nie jest prawda na mój temat. Jestem introwertykiem, samotnikiem. Powiedziałem Marcei: mogę być miesiąc sam i nie czuję się źle. Nie musisz się bać, że cię zdradzam z jakąś kobietą. Jak jestem sam, słucham religijnej muzyki, ale nie ze średniowiecza, raczej nowoczesne trendy, heavy metal religijny. Albo idę, gdzie dzika przyroda - tam jest siła. Tam tego Boga czuję! Być na łonie natury i być, o, takim malutkim, to lubię.

Im jesteśmy inteligentniejsi, tym większy problem robimy naturze. Zwierzę bierze sobie tylko to, co mu potrzeba, a człowiek musi wziąć wszystko.

Każdy czegoś szuka, co go uspokoi. Pan jest uspokojony tutaj, w naszym kraju? A mnie uspokaja wiara.

Pamięta pan, jak pisaliśmy sobie maile, kiedy był w Czechach Ojciec Święty? Wtedy moja przyjaciółka o niczym jeszcze nie wiedziała. Teraz już wie. Pewnego dnia puściłem muzykę, której słucham sam. Zorientowała się, że oni po angielsku wciąż

powtarzają Dżizus, Dżizus... „A czego słuchasz?” - pyta. Czekałem na to. Pokazałem jej okładkę, a tam mężczyźni z krzyżami. Mówię: „znam pana księdza jednego, czasem sobie pogadamy”. Na to ona: „o, to dobrze, bo już myślałam, że masz kobiety”.

I tak to ze mnie wszystko wypadło.

Potem - widział pan to nasze zdjęcie z panem kardynałem Vlkiem - przyjmowali mnie do katechumenatu. Można było zabrać do Pragi kogokolwiek, nawet ateistę. Mówię Marcele: jedźmy. Ta atmosfera w Świętym Wicie ją oszołomiła. Wierni wyszli, została z panem kardynałem tylko nasza grupa, było ciemno, świeciły się świece. Ją to tak wzruszyło, widziałem, jak siedzi z boku w ławce i płacze. Rozmawiamy: po prostu ja jestem wierzący, ty nie jesteś. Do niczego jej nie zmuszam. A jej się tak podobało, bo tam chrzcili jedną starą babcię, było nas sto jeden lub sto dwie osoby, większość młodzi, i była jedna babcia, staruszczyca zupełna. Jakie to było piękne, że chce się ochrzcić tak późno. Nie wiem, jakie miała życie przedtem, ale to mi wystarczyło, że chce.

Pomyślałem: to dobrze, że ja wcześniej tutaj doszedłem, człowiek dłużej może być szczęśliwy.

Kościół katolicki na Wielkanoc przyjmuje nowych katechumenów. Pan kardynał przyjmował zainteresowanych chrztem. Najpiękniejsze moje przeżycie w tym roku. Wystarczy mi, że czuję woń starej szafy w kościele, jestem jak fetyszysta. I w tej katedrze, która stoi od x wieku, więc tylu ludzi tam się przez tysiąc lat modliło, byłem jak otumaniony.

Przygotowuję się teraz do własnego chrztu.

Mama w październiku jeszcze nie wiedziała, ale wysłałem jej zimą maila, tak jak panu, że jestem na zdjęciu z kardynałem. Zadzwoiła za dwa dni, mówi: co to tam masz za proboszcza na fotce? Mamo, to jest najwyższy proboszcz, pan Vlk. I przyznałem się, że będę ochrzczony. Mama mówi: przyjedź!

Myślę sobie: no to będzie gadanie. A ona wyciągnęła swoją metrykę chrztu z końca lat czterdziestych, cała szczęśliwa: weź to sobie. Ja tego nie chcę, mówi, to jest twoje. Nie piękne? Ale dwaj bracia i siostra - są na nie. „Co jest warty ten Jezus? Chleba z niego nie masz”.

O, jak się mylą.

Kolega był w Krakowie, mieszkał w zakonie męskim. Ateista, a bardzo mu się tam podobało. Wie pan, że po powrocie już nie mówił, jak to Czesi mówią? Nie wie pan? Nie lubię być wulgarny, ale mniej więcej mówią: „Jacy pojebani idioci siedzą w

tych zakonach". Tylko mówi: „Jak pięknie nas w tym Krakowie mnisi budzili śpiewami". Ale ateistą pozostał.

Moje dowody na istnienie?

Wie pan co, niech pan nie bierze tego osobiście, ale dlaczego ludzie niewierzący chcą ciągle dowodów?

Nie szukam żadnych dowodów, nawet się nie staram. Nie muszę. Nie potrzebuję Boga sprawdzać. A to jest jedna z reakcji ateistów: daj mi dowód. Ja wtedy kończę rozmowę, nie warto wchodzić na ten poziom, ale niech pan nie bierze tego osobiście. Przecież nawet największe umysły...

Co do życia, to staram się być raz w tygodniu w kościele. Nie zawsze mogę w niedzielę z powodu pracy, ale mój ksiądz jest wyrozumiały, bo wie, że każdego dnia z Panem Bogiem rozmawiam. Raz w tygodniu dotrzymuję postu i polecam go nawet niewierzącym. Oczyszczenie organizmu raz na jakiś czas ma tylko dobre skutki. Kondomów nie używam, bo nie jestem typem promiskuity. Mam intymny związek tylko ze swoją partnerką i ufam jej. Ale nie widzę w używaniu kondomów nic grzesznego ze względu na choroby. Niech chronią ludzi.

Czytam książki religijne, a ostatnio głównie dokumenty soborowe. Mam dwa powody: interesuje mnie religia i przygotowuję się do zdawania na wydział teologii. Ciekawe, co powiedzą na to szefowie. Ale w policji chciałbym zostać. Jak ja sobie bym życzył posługi religijnej w naszych szeregach! W armii jest kapelan, u nas nie. Jeden wysoko postawiony policjant, szef czeskiej brygady antynarkotykowej Jiří Komorous, on jest rocznik sześćdziesiąty, ochrzcił się ostatnio i jest dla mnie nadzieją. Już znam trzech policjantów ochrzczonych, a ja będę czwarty.

Niedawno napisałem list do wiceprzewodniczącej partii chrześcijańskiej KDU ČSL pani Šojdrovej. To są chrześcijańscy ludowcy. Jak pan wejdzie na ich stronę, przeczyta pan: „Ideologia - konserwatyzm, chrześcijańska demokracja". I ostatnio czytam, jak jeden z ich ludzi pisze: nie możemy być tak bardzo katolicy. Bo oni potrafią głosować identycznie jak komuniści.

Ludzie!

Przecież w tym kraju nie mamy w ogóle żadnej katolickiej partii. A oni mówią, że nie pójda tą drogą. Mnie to wkurzyło, napisałem więc list, że to nonsens, przecież głosowali na nich wierzący, mieli na Morawach siedem procent poparcia. Wielu ludzi zawiedli, w tym mnie. Może dlatego spotkała ich kara, bo teraz w wyborach w maju po raz pierwszy nie mają ani jednego posła w parlamencie. To partia, która istnieje od

1919 roku, powstała w czasach, kiedy Czechosłowacja z Masarykiem opędzała się od katolików, jaki to był cierń w oku Masaryka, ale z drugiej strony żaden przedwojenny rząd bez niej nie rządził. I wie pan, że miała wtedy dwieście tysięcy członków, a dziś ma może czterdzieści tysięcy?

To mnie ruszyło, ale uważam, że zawsze z drugim człowiekiem można się porozumieć. Do mieszkańców, którzy mają problemy, czasem znajdę nawet duchową ścieżkę. Zawsze chcę, żeby obywatel czuł, że jak już ten państwowy organ do niego przyszedł, to nie tylko z papierami, oficjalnie i bezdusznie. Policjant musi mieć empatię. Ale musi być też zasadniczy. Jednak, jak jest taka sytuacja, że są martwi, że są ranni, to ja tych zasadniczych nie posyłam, raczej idę sam.

No i w związku z tym chciałem o czymś powiedzieć.

Zrobiłem rzecz, z powodu której jestem bardzo szczęśliwy.

Chociaż czułem jakąś obawę.

Powiesił się człowiek, jego żona rozpaczała.

Byłem z nim sam na strychu. Leżał odcięty. Nikogo tam nie było. Jeszcze się obejrzałem na wszelki wypadek, czy na pewno nikt nie widzi.

Kolega uspokajał tę panią na dole.

Uklęknąłem nad nieboszczykiem i prosiłem, aby Bóg go przyjął i mu odpuścił. Odmówiłem taką małą modlitwę.

Okazało się jednak, że jego żona już się trochę uspokoiła, kolega wyszedł do samochodu, a ona wzięła papierosa, stanęła za drzwiami i wszystko to usłyszała.

Za tydzień zadzwoniła: chciałam panu coś jeszcze powiedzieć.

Zdrętwiałem.

Są momenty, że jestem strachliwy. Ale to są inne momenty niż te, które sobie wyobrażamy w życiu policjanta. Myślę: poproszę ją, żeby nie pisała od razu na mnie skargi.

A ona, że chciała podziękować.

Za to, mówi, co widziałam tam przez uchylone drzwi, pan sam wie co.

## chcesz rozśmieszyć boga?

Kiedy w Rosji spadł samolot z prezydentem Lechem Kaczyńskim i dziewięćdziesięcioma pięcioma pasażerami na pokładzie, zaczęli zgłaszać się do mnie czescy dziennikarze.

Ladislav Verecký, do którego znajomi mówią Denis, a wielu - przez szacunek dla jego pozycji w zawodzie - mówi o nim „pan dziennikarz” zaproponował mi rozmowę do swojego dziennika „Mladá fronta DNES”. Był czwarty dzień po katastrofie.

Denis - trochę abnegat, z niedbałym rzadkim zarostem na twarzy i niezwykle przenikliwymi oczami. Czeski intelektualista po pięćdziesiątce. Zналиśmy się, prowadził kiedyś w Pradze moje spotkanie z czytelnikami na targach książki, gdzie mi zaimponował, bo okazał się dowcipniejszy niż ja.

Na pierwsze pytanie wywiadu, jak osobiście przeżywam polską tragedię, odpowiedziałem, że kiedy rano w sobotę włączyłem telewizor, stałem przed nim jak sparaliżowany. Nawet sobie nie uświadamiałem, że płacę.

Na pytanie, czy moi czescy przyjaciele zareagowali jakoś na te zdarzenia, odpowiedziałem, że mam dobrych znajomych w zachodniej Europie i nikt z nich nie przysłał ani SMS-a. Natomiast z Czech od razu zaczęły przychodzić wiadomości. Czesi składali mi wyrazy współczucia jako przedstawicielowi narodu, na który spadł nagły cios. Hana Lipovská, gimnazjalistka, napisała w mailu, że nie zna osobiście żadnego Polaka, ale uznała, że jestem jedynym człowiekiem, któremu może powiedzieć o swoim współczuciu. Inna Hana, pani Hájková, zapewnia, że nie ma w Czechach osoby, której ta tragedia by nie dotknęła. Większości Czechów, którzy przysłali kondolencje, w ogóle nie znam. Kiedyś pewien pan w pociągu przekonywał mnie, że to naród racjonalny i przewidywalny. A dla mnie nie, proszę pana - mogę mu dziś odpowiedzieć.

Inna rzecz, że te kondolencje trafiły do mnie, czyli człowieka, który wciąż jest chronicznie niezadowolony z Polski, choć uważam, że moje niezadowolenie jest formą miłości do ojczyzny. Poczulem się więc z tymi kondolencjami nieswojo. Ale, paradoksalnie, te SMS-y i maile z Czech przybliżyły mnie do mojego kraju. Uświadomiły mi, że jestem stąd.

Na pytanie, czy budzi się w polskim społeczeństwie jego sławny narodowy patos, odpowiedziałem, że jeden z biskupów mówi już o prezydencie Kaczyńskim, że



„polegli” w Smoleńsku. Słowo „polec” dotyczy śmierci na polu bitwy lub śmierci w walce i chwale. Dlaczego więc polegli? Dlatego że za życia cały czas walczyli, bo ciągle atakowali go wrogowie. I przecież leciał nad terytorium wroga.

Inny ksiądz mówi w telewizji, że nasz prezydent zginął śmiercią „bohaterską”. Czy śmierć w wypadku komunikacyjnym jest bohaterska? Bardzo ciężko jest nam przyznać, że to błąd człowieka, pomyłka, wypadek. My przecież wszyscy jesteśmy wybrańcami Boga, to On wybrał dla prezydenta tę bohaterską śmierć. Oczywiście, jak najbardziej rozumiem, że rozpaczliwie szukamy sposobów, aby nadać sens rzeczywistości. Człowiek, jeśli nie widzi wyraźnego sensu, gubi się, ginie (może dlatego malarstwo abstrakcyjne nigdy nie będzie tak przez ludzkość cenione, jak przedstawiające).

Na uwagę Denisa, że dotarły do niego fatalistyczne głosy z Polski - Katyń to przekleństwo, polski los, nie da się uciec przed fatum, i że przypomina mu to czeskie biadolenie o ósemkach w losie Czechów<sup>34</sup> - powiedziałem:

Kiedy niedawno w czeskim *talk-show* „Všechnopárty” zacytowałem polskiego poetę Norwida<sup>35</sup>, że „Polska to pamięć i groby”, cała publiczność teatru Semafor w Pradze, gdzie nagrywano program, śmiała się jak z dobrego dowcipu. Myśląc pewnie, że przygotowałem właśnie taki żart na pointę. A to jest prawdziwy cytat, który wiele mówi o Polakach.

Na prośbę, żebym wyjaśnił, co konkretnie, odpowiedziałem, że nasz naród do życia nie potrzebuje na przykład autostrad i dlatego prawie ich nie mamy. Nasz naród do życia potrzebuje nieszczęścia. Dopiero, kiedy pojawia się nieszczęście - nieudane powstanie warszawskie czy inna klęska - jesteśmy kimś. Krzywda nas wywyższa

---

34 Utało się, że lata kończące się cyfrą 8 są dla Czechów przełomowe:

**Rok 1918** - po prawie trzystu latach nieistnienia państwowości czeskiej i całkowitym zdominowaniu Słowaków przez Węgrów, Czesi, Morawianie, Ślązacy i Słowacy uwolnili się spod monarchii habsburskiej. Powstało niepodległe wolne państwo Czechosłowacja, zwane Pierwszą Republiką.

**Rok 1938** - na skutek układu w Monachium Wielka Brytania i Francja oddały 29 września 1938 roku Hitlerowi część Czechosłowacji - Kraj Sudecki. W następnych miesiącach Polska zajęła Zaolzie, Węgry, południową Słowację i Ruś Zakarpacką. Wówczas powołano do życia Drugą Republikę, która nie przetrwała nawet pół roku - na wiosnę 1938 roku III Rzesza przekształciła ją w Protektorat Czech i Moraw, Słowacja zaś stała się niepodległą prohitlerowską Pierwszą Republiką Słowacką.

**Rok 1948** - komunistyczny pucz, który doprowadził do przejścia władzy przez Komunistyczną Partię Czechosłowacji, wskutek czego na ponad czterdzieści jeden lat państwo należące do kultury Zachodu wciśnięto w orbitę ZSRR.

**Rok 1968** - Praska Wiosna, czyli proces demokratyzacji ustroju i partii komunistycznej, odwilż kulturalna, mentalna i społeczna, zakończona brutalnym najazdem wojsk pięciu krajów Układu Warszawskiego na Czechosłowację 21 sierpnia 1968 roku.

35 Potem sprawdziłem, czy naprawdę Cyprian Kamil Norwid jest autorem tego cytatu (o czym byłem przekonany) i tu pojawiły się wątpliwości, nierozwiązane do dziś. Norwid miał powiedzieć „ziemia i groby”, ale Józef Piłsudski mawiał „pamięć i groby”, i taka wersja się w Polsce upowszechniła. Jeden z historyków twierdzi, że „pamięć i groby” spopularyzował marszałek Francji, Foch.

ponad inne narody. Polska kultura jest kulturą nekrofilską. Śmierć powoduje uszlachcenie człowieka. Wiele lat w historii Polski walczyliśmy o swoją niepodległość i ciągle umieraliśmy za ojczyznę. Polacy są więc lepsi w celebrowaniu pogrzebów i klęsk niż sukcesów. Te ofiary z życia nie mogły pójść na marne, nie mogły być zapomniane, nauczyliśmy się więc je podkreślać, celebrować, dawać im należytą oprawę. Trzeba pamiętać, że kiedy Czesi w listopadzie 1989 roku na placu Waława z radości, że upadła komuna, dzwonili kluczami, Polacy w czerwcu 1989 roku - bo u nas upadła wcześniej - w ogóle tego wspólnie nie przeżywali. Nie było żadnej wspólnoty wokół szczęścia, że ta okropna Polska Rzeczpospolita Ludowa się skończyła. Żadnej wyrażonej radości. Polacy umieją się jednoczyć, ale wokół nieszczęścia. A ponieważ wiemy, że świat nie docenia naszego cierpienia, pokażemy: w celebrowaniu śmierci i tragedii jesteśmy mistrzami świata!

Ale po co?! - spytał zdumiony Denis.

Aż świat wreszcie przyzna: oni cierpieli najbardziej. Bardziej niż Żydzi. Już zresztą się słyszy: „Nikt tak nie umie cierpieć, jak my”.

Na prośbę, żebym znalazł w tej tragedii element, który może być początkiem czegoś dobrego, a może nawet początkiem pojednania z Rosjanami, odpowiedziałem przykładem. Rosjanie w Warszawie a Rosjanie w Pradze - to dwa różne obrazy. Rosjanin w Pradze nie ukrywa, że jest Rosjaninem. Czasem specjalnie mówię w Polsce: „Wyobraźcie sobie, że w kawiarni na placu Waława w Pradze Rosjanie rozmawiają na głos”. „Jak to? - dziwią się Polacy - Rosjanie tam normalnie mówią?”. W Warszawie przez całe lata nie słyszało się Rosjan, choć oni tu żyją. Mówią cicho, odzywają się do siebie na głos dopiero w swoich hotelach lub wynajętych pokojach. Nie ma mowy, żeby Rosjanin zachowywał się swobodnie w kawiarni. On przemyka ulicami, stara się nie zwracać na siebie uwagi. Po prostu czuje naszą niechęć. Niechęć byłego niewolnika, przecież całe stulecia nas okupowali. A ponieważ nasze narody są podobne, bo i Rosjanie, i Polacy są bardzo uczuciowi, myślę, że to, co do nas czują, trzeba nazwać zranionymi uczuciami. Tylko że ich uczucie to było uczucie słonia do gołębic, który ją chciał trzymać w jakiejś nędznej pordzewiałej klatce. Wątpię, czy pojednanie *en bloc* jest możliwe.

Na pytanie, jaki był los mojej rodziny, bo wiadomo, że prawie każda polska rodzina ma tragiczne doświadczenia z Rosjanami lub Ukraińcami, opowiedziałem (w skrócie) bajkę, jaką moja mama mi opowiadała w dzieciństwie. Pewnego dnia dziadek spadł z drabiny i złamał nogę. Leżał już w łóżku, gdy przyszli Ukraińcy, kazali mu się

ubierać i z tą złamaną nogą pognali do lasu. W lesie musiał wykopać sobie dół, oni mu związali ręce drutem kolczastym, zabili go i wrzucili do tego dołu. Kilka dni nie wolno było się nikomu do tego miejsca zbliżać, ale babcia tam poszła i znalazła kawałek rękawa od niebieskiej flanelowej koszuli dziadka. Zawsze prosiłem, żeby mi mama tę bajkę powtarzała. Chciałem jej słuchać i słuchać.

Na pytanie, czy to się naprawdę stało, odparłem, że tak, w Bieszczadach, w miejscowości Ustrzyki Górne, a dziś wiem to, czego dziecku nie można było opowiadać. Wiem, że ściągnęli mu skórę z rąk. Mówiło się, że tak ściągają, żeby były rękawiczki. Wiem, że zabili też brata babci i żonę, która złapała niemowlę, chłopczyka, i powiedziała, że męża nie zostawi. To dziecko - jak mówi mama - wcisnęli jej z powrotem do łona. Zabili go sąsiedzi z tej samej wsi. Należeli do Ukraińskiej Powstańczej Armii - nacjonalistycznego wojska, które chciało zbudować niepodległe państwo, niezależne od ZSRR i Polski. Usuwali Polaków ze swoich terenów. Matka mojej mamy, Anna, pochodziła ze szlacheckiej rodziny Stadnickich, a jej mąż Ryszard był handlarzem soli spod Krakowa. Jako jedyna we wsi umiała pisać i czytać, i po polsku, i ukraińsku.

Na pytanie, czy jako Polak czuję zadośćuczynienie, gdy słyszę, że pierwszy kanał rosyjskiej telewizji nadaje w najlepszym czasie antenowym *Katyn* Wajdy, odpowiedziałem, że nie czuję. Moja życiowa filozofia, którą powoli wypracowuję, to: nie mieć żadnych oczekiwań.

Na pytanie, jak Polacy reagują na rosyjskie spekulacje, że to właśnie prezydent Kaczyński polecił pilotowi wykonać ryzykowny manewr lądowania, odparłem, że tak mówi połowa narodu, niechętna Kaczyńskim. W polskiej historii ważny był obrzęd dziadów. Opisał to nasz narodowy poeta romantyczny Adam Mickiewicz. Ludzie zbierali się i w ciemności wywoływali duchy zmarłych, których nazywano dziadami. Chodziło o to, żeby spytać duchy, czego im potrzeba, i odesłać z powrotem na tamten świat. Ta romantyczna tradycja w nas ciągle tkwi. 10 kwietnia w Katyniu to miały być współczesne dziady. Bardzo dla nas ważne. Gdyby prezydent i wszyscy dostojnicy lecieli na jakieś posiedzenie w Unii Europejskiej, na pewno by się mogli spóźnić, lądować na innym lotnisku i dojechać samochodami. Ale na coś tak historycznego, mistycznego spóźnić się nie mogli. Przecież gdyby wylądowali w Moskwie, rodziny poległych długo czekałyby na nich w Smoleńsku. Polski prezydent musiałby jechać do Katynia samochodem rosyjskiego prezydenta, a to byłoby poniżenie nie do wytrzymania. Jeśli nawet Kaczyński nie wydał polecenia „lądować”, to wyobrażam

sobie, pod jaką presją musiał być ten pilot.

Wywiad w druku okazał się ciut dłuższy. Zawierał na końcu mały fragment, którego nie powiedziałem. Anegdotę.

Otóż Denis napisał mi w mailu, że rozmowa, owszem, bardzo się w redakcji podoba, ale szefowie mieli pretensje, że jest zbyt ciężka. Odpowiedziałem, że trudno, żeby cztery dni po takiej katastrofie była lekka.

Napisał, że mam się nie martwić, bo on już mi dodał dowcipny kawałek (o jednej mojej pomyłce językowej, o której opowiadałem w telewizji). I teraz mamy na końcu coś naprawdę śmiesznego.

W poniedziałek, na cztery dni przed ukazaniem się wywiadu w „Młódej froncie”, spytałem Denisa, kiedy materiał się ukaże. Szybko dał znać, że planują go na czwartek, ale zastrzegł (i było to ostatnie zdanie, jakie mi napisał): „Chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz mu o swoich planach”.

W środę dostałem wiadomość, że umarł rano na ulicy.

## wytwórnia śmiechu

Chciałem poznać najzabawniejszą kobietę w Republice Czeskiej. Frapowało mnie, skąd się bierze w niej zabawność.

Całe Czechy wiedzą, że już jako trzynastolatka poniżej pasa zamieniła się w kloc.

Biust urósł jej w dwa lata do rozmiaru miseczki D. I nie był to koniec tego procesu. Biust nadal rośnie.

Między biustem a rozbudowanym dołem miała zaskakująco szczupłą talię.

Kolega, który mokrymi od deszczu liśćmi gładził jej policzek, powiedział: „Jesteś gruba jak hipopotam”. Skończyła wtedy dziewięć lat i te słowa starannie przechowuje w sobie do dzisiaj. Szufladka z nimi wysuwa się sama, zawsze wtedy, gdy jej się nie wiedzie.

Rówieśnicy zwali ją „Sinica”, bo nieudolne próby w różnych dziedzinach sportu pozostawiały na jej ciele siniaki. Nazywali ją też „Pomidor”, bo przy najmniejszym wysiłku dostawała czerwonych wypieków, które znikwały dopiero po paru godzinach.

Halina Pawłowska w tamtym czasie się nie powiesiła i wyjaśnia to w książce pod tytułem *Dlaczego się nie powiesiłam*.

Bo ona się chciała utopić. W wannie zamykała pod wodą oczy, wstrzymywała oddech, ale woda wylatywała górnym odpływem. „Byłam tak wielka, że w normalnej wannie wypierałam całą wodę niezbędną do utopienia”.

Co tydzień, przez osiem lat, prowadziła w Czeskiej Telewizji *talk-show Bananowe rybki*. Raz rozmawiała w cyklu „Jak przeżyć... (męża, Wigilię, teściową, swoje gorsze ja, diety, dobre wspomnienia i tym podobne)” innym razem „Jak wykorzystać... (męża, Wigilię, teściową, gorsze ja...)”.

Nie tylko słuchała gości, ale nałogowo opowiadała im przed kamerami o sobie. Albo o swoich koleżankach.

„Droży widzowie, raz poszłam do mojej przyjaciółki Jany, która odkryła, że jej mąż spał z sekretarką. I najstraszniejsze dla Jany jest to, że to była jej sekretarka!”.

W Czechach nie sprzedał się dobrze (to znaczy tak, jakby mógł) *Dziennik Bridget Jones*.

Dlaczego? Odpowiedź jest jedna: bo była tam już Pawłowska.

Pisze bestsellery. (Dwanaście tytułów, milion sprzedanych egzemplarzy w tak

małym kraju jak Czechy!) i jest chyba najlepiej sprzedawaną czeską autorką.

Jej książki można uznać za książki wypoczynkowe.

Prawdziwymi ich bohaterami są ciało i biust. W jednym z opowiadań rodzice chłopaka wchodzą do domu i widzą „bezkształtną masę, leżącą obok ich syna. Mnie”.

Całe Czechy wiedzą, że niedawno dała się zaprosić pewnemu zamożnemu mężczyźnie na szampana. Miał antyki i efektowną łazienkę. Spytał, czy nie chciałaby się wykąpać. Sam czekał na nią w salonie, palił cygaro. Gdy wychodziła z wanny, poślizgnęła się. Wybiła ciałem drzwi, upadła i przejechała po śliskiej marmurowej posadzce wprost pod biurko. „Chciałam być elegancka, chciałam być wampem, chciałam być Ofelią, a leżałam potłuczona, ciężka i zaklinowana pod biurkiem z przełomu stuleci”.

Zaczął ją ciągnąć za ręce, za nogi, za głowę, ale bez sukcesu. Pocił się, denerwował, aż w końcu spytał: „Naprawdę nie możesz się chociaż trochę skurczyć?!”.

„Poważnie nie jesteś w stanie się obrócić?!”.

Aż wreszcie: „To chyba będziemy musieli odciąć nogi! .

Doszła do wniosku, że naprawdę nie miał na myśli biurka, ubrała się i wyszła.

Gdyby o Pawłowskiej pisał na przykład Aldous Huxley, mógłby o niej powiedzieć to, co napisał o jednym ze swoich bohaterów Bernardzie - mężczyźnie brzydkim, małym i wątłym (jak wielu ułomnych, celowo wyprodukowanych w nowym wspaniałym świecie):

„Jego przygnębiająca samoświadomość była dlań bezlitosna”.

Jej też.

Całe Czechy są przekonane, że wiedzą, jak Pawłowská straciła dziewictwo. „Cnota - zacytowała kiedyś Murphy’ego - chwalcie ją dziewczyny u siebie, najlepiej w sobotę wieczorem, kiedy samotnie siedzicie w domu”.

Streszczenie pierwszych trzech stosunków:

1. Miała siedemnaście lat, Petr ciut więcej. Lubił ją, bo była postrzelona i nosiła pod pachą rzeźbę Matki Boskiej z pomarańczowej gliny. Jednak Petr jej miłość przyjmował tak, jak placki ziemniaczane, które mama smażyła w każdą środę. Do zbliżenia doprowadziła więc sama. („Tak strasznie chciałam być pewna, że ktoś chce mnie mieć, że chce kochać moje ciało”). Niestety, nadszedł ten poniżający moment, gdy miała ściągnięte do kolan elastyczne majtki i sama musiała się oswobodzić.

„Pamiętając przy tym, jak odpychająco muszą wyglądać moje uda z kolanami nie wielkości pomarańczy, lecz olbrzymich przejrzałych grejpfrutów”.

2. Petr powiedział, że było fajnie i kiedyś do niej dryndnie. Ale nie dryndnął. Wyjechał do domu na wsi, więc namówiła koleżankę, żeby pojechały tam za nim. Petra nie było, lecz wokół kominka siedziało kilku mężczyzn i pięć starych kobiet w wieku trzydziestu czterech-czterdziestu lat. Ona miała biały podkoszulek, a pod nim sterczące piersi („Zawsze wyglądałam, jakbym specjalnie je ustawiała na pokaz”). Kobiety od razu to doceniły, bo kąciki ust tak im wykrzywiły policzki, że wyglądały jeszcze starzej. Nagle na ścianie zobaczyła zdjęcie Petra z dzieciństwa i tak na nią podziałało, że wylała na swój biust kieliszek czerwonego wina. („Wyglądałam, jakby mnie ktoś ugodził w samo serce”). Ojciec Petra, wysportowany blondyn, inżynier, zaprowadził ją do łazienki i przechylił przez wannę. Nie zdążyła zaprotestować, a jej najintensywniejsza erotyczna myśl zawierała słowo „inteligencja”: „Widzisz, Kochaneczku, twój tatuś mnie chce. Jaki on jest inteligentny!”

3. Kiedy wymusnęła się z łazienki, na korytarzu stał brat Petra - Max. („Wstyd skazał mnie do końca wieczoru na milczące nieistnienie”). Urażone kobiety szybko wyszły, ona miała przenocować w pokoju na poddaszu, a upitą koleżankę zostawić pod kominkiem. Pan inżynier natychmiast zamknął za sobą drzwi, zatkał jej usta i szeptał: „Koteczku...”. Ale do pokoju zastukał Max, że musi z nią pilnie pomówić. Odpowiedziała, że jak tylko się ubierze, to przyjdzie. Inżynier poszedł (niechętnie), ona poszła do Maksa i bez słowa położyła się obok. Mówił do niej, lecz nie: „Koteczku”, tylko: „Kurczę, jesteś kobietą. No, najprawdziwszą kobietą!”

Być może podczas tej nocy ujawnił się prawdziwy rys osobowości Haliny Pawlowskiej (jak sądzą „całe Czechy”) lub rys osobowości jej bohaterki (jak utrzymuje Halina Pawlowská). Ów rys wyraża się jej słynnym stwierdzeniem: „Charakter milczał, mówiło ciało”.

Maksa, Petra i ich tatę spotkała któregoś niedzielnego popołudnia w szpitalu. Minęło dwadzieścia lat. Pan inżynier miał poważne problemy z prostatą.

„Chciałam być piękna i z kimś chodzić” - mówi główna bohaterka jej pierwszej książki *Zdesperowane kobiety postępują desperacko*. Można odnieść wrażenie, że według jej bohaterki dla kobiety dziewictwo i kobiecość to jedyna przepustka do świata. Dziewczyna wie, że jest tyle warta, ile seks, jaki można z nią mieć. I to jest motorem jej działań.

Elfriede Jelineková (społeczeństwo czeskie nadal utrzymuje, że kobieta musi przynależć do mężczyzny, więc w Czechach nawet Marilyn Monroeová przynależy do nieistniejącego pana Monroe), a więc Elfriede Jelineková napisałaby może o bezwstydnym usiłowaniu, by stać się pragnieniem jakiegoś samca. Z tym, że usiłująca nigdy nie będzie pewna, czy chciwie pożądaną akceptacji, sama nie spadnie na mężczyznę niczym młot. Sumując:

Kobiety chciałyby za to Halinę ukarać.

Biały podkoszulek wygląda jak zakrwawiony (do kary nie mogło nie dojść, symbolicznie ukarała się sama).

Męskość w rezultacie przegrywa (ma kłopoty z prostatą).

Dzięki temu, że występuje w telewizji, ludzie przestali ją brać za prostytutkę.

- Bo zakłada się, że kobieta o dużym biuście jest wyuzdana, a nawet wulgarna - stwierdza.

- Neeee - oponuję.

- Wiem, co mówię. Sądzi się też, że taka kobieta jest z natury osobą powierzchowną.

W opowiadaniu *Hipopotamy nie płaczą* opisała swoją wizytę w lokalu, gdzie obsługiwała ją młoda kelnerka z podobnym problemem. Gdy Halina miała dziewiętnaście lat, też dorabiała w gospodzie. Raz pewien wysoko postawiony pan, kiedy podawała dwie porcje zupy gulaszowej, nagle strzelił jej palcami w pierś jak w kulkę. Zręcznie jedną miskę wylała mu więc na marynarkę, a drugą na spodnie. Teraz czuła, że ta dziewczyna, mimo młodego wieku, już wie, że jej dekolt całe życie będzie przeszkodą w poważnej konwersacji. Przeszkodą w elegancji. („Piękne sukienki na ramiączkach nagle skracają się o dziesięć centymetrów, wszystkie szwy niezrozumiale napinają się, aby pęknąć, a guziki od pasa w górę z przewidywalną regularnością będą wyskakiwać z naszych bluzek, jak sportowcy z trampoliny”). Miała ochotę powiedzieć dziewczynie, że nikt nigdy nie uwierzy - tak samo jak jej, Halinie - że jest w niej dziewczęca płochliwość, że nie zależy jej na szybkich znajomościach, ale kelnerka nachyliła się i znanym pisarce ruchem zmiotła przypadkowo ze stołu okruchy, tacki i cały popiół. Wszystko to przykleiło się do jej biustu. Zawstydzona uciekła do toalety. Halina poszła za nią.

Dziewczyna płakała. Że dłużej tego nie wytrzyma i że zmniejszy piersi do jedyńki. - Wielu fajnych facetów nie byłoby z tego zadowolonych - powiedziała Halina



i zacytowała własnego syna. Gdy miał pięć lat, spytał: „Mamo, do czego są ci potrzebne takie gigantyczne piersi?” Milczała. Wobec tego sam ją poinformował: „No, przecież masz je po to, żebyś dobrze w nich wyglądała”.

Kiedy w willi Haliny (27.01.2005) wjechaliśmy na piętro (zainstalowała windę w jednopiętrowym domu, bo „powinien być przyjazny niepełnosprawnym”) i usiedliśmy w jej gabinecie, jeszcze nim nalaliśmy szampana (szampana, jak mówi, pije codziennie od listopada do lutego), wzięła głęboki oddech i oznajmiła:

- Gdyby pan, jak każdy mężczyzna, chciał znać rozmiar mojego biustu, to proszę zapisać.

Wyciągnąłem notes i pióro.

- Miseczka F, inaczej szóstka!

Bodajże w felietonie *O żonglowaniu piersiami* wspomina sprzedawczynię, „gładką jak termometr”, która poproszona o odpowiedni stanik, krzyczy (z naciskiem na „w ogóle”): - Chyba nie chce pani powiedzieć, że takie biustonosze w ogóle się produkuje?!

Halina Pawłowska umie ze swego biustu wypuścić powietrze.

„Drodzy widzowie, byłam raz u koleżanki, która posadziła mnie na tapczanie, gdzie jej siedmioletni synek miał rozłożoną kolejkę elektryczną. Zaraz zaprotestował, ale koleżanka upomniała go, że ciocia ma prawo siedzieć, gdzie chce. »No dobrze - powiedział malec, wodząc po mnie i po moim biuście wzrokiem. - Uznam to za sytuację, że na tory weszła krowa«”.

(Śmiech na widowni).

Czy człowiek wyśmiewany w dzieciństwie może chcieć powielać tę sytuację w dorosłym życiu?

Tak, żeby uzyskać kontrolę. Śmieją się, lecz ja mam na to wpływ. Teraz ja decyduję o tym, kiedy będą się ze mnie śmiać.

Bernardowi, wspomnianemu bohaterowi Huxleya (brzydki, mały i wątpy), chroniczny lęk przed lekceważeniem otoczenia kazał z całą świadomością dbać o swoją godność. I Halina dba o godność: zarządza śmiechem na własny temat.

- Czy w Polsce kręcicie jakieś komedie? - zniecka zaciekawia się przy szampanie.

Gdyby w Czechach powstało rocznie tylko pięć komedii i żaden film innego

gatunku, mówiłoby się, że kinematografia miała udany rok. Brak wystarczającej ilości dowcipu w filmie najprawdopodobniej należy, według Czechów, do siedmiu grzechów głównych i jest na drugim miejscu. („Boga nie ma, ale jeśli istnieją grzechy, to pierwszym grzechem głównym jest grzane piwo” - Pavel Trojan<sup>36</sup>).

Kiedy Halina do swojego *talk-show* zaprosiła na sylwestra najpopularniejszą czeską aktorkę - ponadsiedemdziesięcioletnią Jiřinę Bohdalov - mówiły o tym, że człowiekowi nie pozostaje na koniec nic innego, jak tylko z tego, co najgorsze, porządnie si zařmiać.

Potem aktorka wesoo opisywała swój przyszły pogrzeb.

Pieřniarz Jaromır Nohavica na koncercie w Warszawie zapowiedział, że zařpiewa najbardziej optymistyczn z swoich piosenek - o tym, że jak go kostucha sieknie, to wreszcie bdzie piknie. Wyjařnił, że kařdy boi si śmierci, ale mořna sobie z ni poradzić śmiechem. „Nie znam weselszego tematu, niř pořmiać si ze śmierci”.

Polak, Robert Kulmiński, który przeczytał wszystkie powieřci, jakie powstały w Czechosłowacji po 1945 roku, i napisał ksiżk o wizji śmierci w prozie czeskiej, sdzi, że jedn z najwařniejszych odpowiedzi na traum śmierci w czeskiej kulturze jest zagłuszanie śmierci śmiechem.

Czesi maj niezliczone ilořci teorii na temat humoru i śmiechu.

„W śmiechu nie skrywa si nic dla ludzkořci miłego” (Teige, 1928); „Humor to trik, za pomoc ktrego wydarzenie ulega pomniejszeniu, jakbyřmy patrzyli przez odwrcon lunet” (apek, 1928); „Humor to nie jest řmiać si, humor to wiedzieć lepiej” (Vanura, 1929); „Kto si řmieje, pokazuje zby” (anonim, lata okupacji hitlerowskiej); „řmiech obraża idiotw, ale mdrych leczy” (Werich, 1968); „W ekstatycznym śmiechu człowiek nie wspomina ani nie planuje, lecz krzyczy do trwajcej wlařnie chwili řwiata i nie chce znać niczego poza ni” (Kundera, 1978); „Człowiek řmieje si, poniewař na wicej go juř nie stać” (Kroutvor, 1981); „Humor jest najpowařniejszym przejawem smutku” (Kopeck, 1993). „řwiat śmiechu bez humoru - řwiat, w ktrym musimy żyć” (Kundera, 2009).

řmiech wyzwala od strachu przed diblem, a wyzwalanie si od strachu przed diblem jest mdrořci - wynika z rozprawy o śmiechu w *Imieniu rży* Umberto Eco - powieřci, ktra swój pierwszy impuls w gowie autora zawdzicza jego pobytowi w Pradze podczas radzieckiego najazdu. Myřl, że wynika z niej, jak i ze wszystkich innych rozpraw na ten temat, że śmiech to wadza. Wadza nad tym, z czego si

---

36 Pavel Trojan wystpi w rozdziale *Wkurzacz czeski*.

śmiejesz.

Zdaniem Haliny to śmiech nadaje rzeczom właściwą miarę. „Dopiero wtedy - pisze - to, co ważne, ponure i ciężkie, będzie dokładnie takie, jakie ma być”.

Tylko że śmiech pomaga, ale i zakłamuje.

Da się zaśmiać cierpienie, lecz to nie pozwala tak naprawdę zmierzyć się z przykrymi uczuciami.

- Tak. I ja tych uczuć nie chcę - mówi Halina otwarcie.

Gita Lauschmannová wraca dwa razy do swojej wsi w Sudetach, jej ojciec - żydowski fabrykant - mówił po niemiecku i był postrzegany przez Niemców jako Żyd, a przez Czechów jako Niemiec. Zawsze był po tej złej stronie. Gita Lauschmannová pierwszy raz wraca jako dziewczynka z obozu koncentracyjnego, gdzie zagazowano mamę i tatę. W jej domu mieszkają już inni ludzie - Czesi - rodzina chłopaka, który pracował u jej ojca, a teraz należy do gwardii rewolucyjnej, która ma prawo wymierzać sprawiedliwość. Nie wie, że kilka dni przed nią wrócił też jej brat, którego nowi właściciele jej domu zabili i zakopali pod jabłonią. Do końca życia Gita będzie miała nadzieję, że brat żyje i udało mu się uciec za granicę. Czesi dziewczynkę maltretują i wyganiają ze wsi.

Drugi raz Gita Lauschmannová wraca w XXI wieku jako stara kobieta, emerytowana lekarka. Chce uczcić pamięć ojca, który przed wojną doprowadził okolicę do rozkwitu, ale spotyka potomków tamtych Czechów - milczących, niechętnych, zamkniętych. Dowiaduje się też, że jej idealny, ukochany tata do momentu, gdy zamknęli za nim bramę obozu, należał do partii nazistowskiej.

Taka jest fabuła powieści Radki Denemarkovej *Pieniądze od Hitlera* (2007), która jako pierwsza mierzy się z tematem usunięcia z kraju sudeckich Niemców.

Na pytanie, po co napisała tę książkę, odparła, że tabu związane z seksem, religią i śmiercią już nie istnieje, ale współczesna literatura nadal jest ślepa i nie widzi szkieletów, które czeski naród ma nawciskane do szafy. - Czechy są od stóp do głów chore, a co jest jeszcze gorsze, nie chcą się leczyć. To, co nienazwane, wciąż gnije pod dywanem - dodała pisarka.

*Pieniądze od Hitlera* wystawiło Švandovo divadlo w Pradze w reżyserii Michała Langa. Podczas pierwszego aktu (9.06.2010) widownia była pełna. Akcja miała napięcie, sztuka jest jak kryminał i psychodrama w jednym. W ostatniej scenie czescy

wieśniacy kopali dziewczynkę jak piłkę. Potem była przerwa.

Po niej jedna trzecia publiczności już nie wróciła na widownię.

Następnego dnia wysłałem do teatru pytanie, czy coś się stało.

„Ludzie wychodzą prawie z każdego spektaklu - odpisała kierowniczka literacka Lucie Kolouchová. - Czasem jest ich mniej, czasem więcej, ale to reguła”.

Tylko że powieść Denemarkovej ma dobrą prasę, bilety do teatru sprzedają się świetnie. Co ich tak rozczarowało?

„Jest chyba kilka grup widzów - wyjaśniła. - Jedni nie chcą słyszeć nic o tym, jak Czesi zachowywali się po wojnie wobec niemieckich cywilów i wypierają to całkowicie. Innym może przeszkadzać temat kolaboracji ojca rodziny, Żyda, z Niemcami, to jest na pewno tabu. Ale dla wielu akcja tego spektaklu jest w kilku miejscach bardzo przykra - bicie, kopanie, opowieści o ukrytych trupach...”.

Podczas następnego spektaklu przyszedłem więc pod teatr, żeby poczekać na przerwę.

Pierwsza wyszła para przed pięćdziesiątką. - Państwu się nie podoba?

- Do pewnego momentu było jeszcze bardzo wesoło, jak ta dziewczynka wraca do swojego dzieciństwa, ale potem... - odpowiedział pan i zawiesił głos.

- Pomyśleliśmy, że drugi akt chyba będzie jeszcze bardziej nieprzyjemny, a planowaliśmy pójść po teatrze na piwo - wyjaśniła pani. - Nie byłby to miły wieczór.

- A czy zawsze musi być miło?

- Za taką cenę biletu, to powinno. Ja prowadzę hotelik. I wiem, że nie mogę brać pieniędzy, jak nie umiem zapewnić gościowi tego, czego oczekuje - zakończył pan.

Para około trzydziestki:

- Należało by ostrzegać widzów.

- Przed czym?

- Reklamowali, że to będzie groteska.

- „Gorzka groteska” - precyzuję. (Rzeczywiście, teatry w Czechach wpadają na różne pomysły, żeby przyciągnąć na coś, co jest czystym dramatem).

- Właśnie, a my myśleliśmy, że to jest sztuka podobna do filmu tego Włocha, co zrobił komedię o Auschwitz.

Kierowniczka literacka musi jednak widzom *en bloc* oddać sprawiedliwość: „Są i tacy, którzy płaczą. I ten płacz jest pocieszający” - pisze.

Wróćmy do Haliny. W felietonach albo w telewizji od lat opowiada o swoich rodzicach, dzieciach, mężu i przyjaciółkach. Najczęściej jednak o tacie.

Vasilij Kločurek jest teraz najsłynniejszym ojcem w Czechach. Zasilił panteon tragikomicznych ojców we współczesnej literaturze czeskiej i wszyscy mają wrażenie, że jest to polski aktor Franciszek Pieczka.

Miała cztery latka, gdy ojciec nie wpuścił jej do domu, przez co błąkała się po ulicach. Tłumaczył potem, że czytał wiersz jednego ukraińskiego poety i był zmuszony tę poezję naprawdę przeżyć. A kto wie, czy taka łaska spadłaby na niego w innym momencie? Nawet czteroletnie dziecko - przekonywał - musi zrozumieć, że istnieją rzeczy ważniejsze niż otwarcie drzwi.

W prezencie ślubnym dostała od niego listę rzeczy, które kupiłby jej, gdyby miał pieniądze.

Po siedemdziesiątce farbował włosy na kasztanowo. A gdy po osiemdziesiątce mówił, że teraz już naprawdę osiągnął w życiu wszystko, co chciał, miał na myśli to, że Halina skończyła studia.

Trzydzieści lat był operatorem koparki.

Uważał się za Rusina z Rusi Halickiej. Jego dziadek, Józef Mazurek, był Polakiem urodzonym na Ukrainie. Vasilij do Pragi trafił u boku brata. Starszy Stiepan skończył dziennikarstwo i usiłował jeszcze przed rewolucją październikową utworzyć niezależną Republikę Huculską. Kiedy to się nie udało, w 1919 roku wyemigrował do Czechosłowacji. Został doradcą prezydenta Masaryka w sprawach tej części Rusi Karpackiej, która należała do Czechosłowacji. Na asystenta zabrał z Ukrainy młodszego Vasilija.

W lutym 1948 roku, gdy komuniści opanowali kraj, Vasilija Kločurka na pół roku przed uzyskaniem tytułu doktora praw wyrzucono z Uniwersytetu Karola.

Uważał, że najważniejsza w życiu jest prawda i duma.

- O dumie - opowiada Halina - myślał nieustannie.

Kiedy na przykład rozmawiała z koleżanką przez telefon, chodził wokół niej i mówił na głos.

Ona: - Kupiłaś już sobie ten lakier do paznokci?

Ojciec: - Bądź dumna! Dumna!

Ona: - A widziałaś te czerwone buty...?

Ojciec (z zaciśniętą pięścią): - Dumna! Dumna bądź!

Nim został operatorem koparki, ożenił się z Czeszką, absolwentką prawa,

nauczycielką, która całe życie powtarza, że już na weselu umówiła się z mężem: on będzie w ich rodzinie decydował o sprawach ważnych, ona - o mniej ważnych. (Po pięćdziesięciu latach małżeństwa na pytanie, dlaczego zawsze o wszystkim decydowała ona, odparła: - Jakoś tak nigdy nic ważnego nam się nie przytrafiło).

Doktorat otrzymał od państwa uroczyście w 1990 roku. Osiemdziesięcioletni panowie, jedni o kulach, inni głusi, odbierali honorowe doktoraty z prawa. Rektor ich wywoływał, ale go nie słyszeli. Wygłaszał im słowa przysięgi, ale nie umieli jej zapamiętać i powtórzyć. Potem pomieszczyli swoje dyplomy, więc na koniec cała aula była pełna okrzyków: „Doktorat Králíka wymienię za doktorat Stehlíka!”, „Veselego za Smutnego” i tym podobnych, a ich pięćdziesięcioletnie dzieci co chwilę wyciągały nowe chusteczki do nosa.

Zarzuca się Pawłowskiej (ale także kilku innym popularnym pisarzom), że epokę komunizmu, zwłaszcza lata siedemdziesiąte, kiedy po radzieckiej interwencji kraj na dwadzieścia lat zamienił się w neostalinowskie getto, opisuje jako całkiem zabawny okres. Jako czas bez dylematów moralnych.

„Można bagatelizować swoje kompleksy, ale nie totalitaryzm”.

Jednak trzeba pamiętać, że totalitaryzm, kiedy trwał, przez samo społeczeństwo był pieczołowicie ogałany z grozy.

SŁOWA: - Wie pani, jakie były ostatnie słowa Majakowskiego przed popełnieniem samobójstwa? „Nie, nieee!”.

HOBBY: Breżniew się chwali: - Mam nowe hobby, zbieram polityczne dowcipy o sobie. - A ile ich już, towarzyszu, macie? - Jakies cztery i pół łagru.

WSZY '68: - Dlaczego wszy nie świecą jak robaczki świętojańskie? - Żeby imperialiści nie mogli w nocy obserwować ruchów Armii Czerwonej.

„Ludzie starali się z lekkością bawić wszystkim, czym byli bombardowani” - charakteryzuje te czasy rówieśnik Haliny Jan Faktor, pisarz, który pod koniec lat siedemdziesiątych wyemigrował z socjalistycznego kraju do Niemiec i tam zaczął pisać po niemiecku. Ta wesołość, jego zdaniem, ma swoje ciemne strony. Dla zdrowia psychicznego jest ona - twierdzi Faktor - błogosławieństwem, może stać się jednak niebezpieczna, gdy nie ma przeciwwagi, gdy pretensja do wesołości pojawia się wszędzie i gdy całe lata tylko się dowcipkuje.

Czechosłowacka rzeczywistość mogła jawić się na zewnątrz jako nieszkodliwa. Cudzoziemcy przecież mieli wrażenie, że kraj, w którym wszyscy tak pięknie i

wytrwale się śmieją, nie może być niemłą dyktaturą.

I najbardziej przykra, zdaniem pisarza, rzecz: dowcipkowanie, które było metodą na przeżycie, jednocześnie - *de facto* - było też dystansowaniem się wobec ludzi, którzy nie rezygnowali, nie dostosowali się i nie zapomnieli, w jakim reżimie żyją<sup>37</sup>.

Tylko że ci, którzy nie szli z reżimem pod rękę, też potrafili atakować go śmiechem.

Na przykład:

Oprócz sławnej Karty 77 (jej podpisanie groziło wielokrotnymi przesłuchaniami, wyrzuceniem dzieci ze studiów, więzieniem lub skazaniem inteligenta na wykonywanie na przykład zawodu śmieciarza) pod koniec lat osiemdziesiątych istniało jeszcze kilka innych ruchów antykomunistycznych. Jednak nie były masowe. Aktorka z Pragi Barbora Štěpánová wymyśliła z kolegami, że musi powstać taki ruch antyreżimowy, do którego ludzie nie będą bali się przystąpić.

A czego na pewno nie boją się Czesi? Śmiechu. Powstało więc Stowarzyszenie O Weselszą Przyszłość.

Zaczęli od „Biegu aleją Więźniów Politycznych o wypuszczenie więźniów politycznych”. Mieli slogan: „Dziś biegamy za was, jutro wy za nas!” Ponieważ bieg zaczynał się zawsze o 17.00, czyli po pracy, biegały też kobiety z siatkami na zakupy i dzieci, odebrane właśnie z przedszkola. Przez kilka miesięcy pobiegło ponad tysiąc osób. Bieg kończył się zawsze przy poczcie na Jindřišskiej, więc niektórzy na finał wrzucali do skrzynki pozdrowienia dla uwięzionych.

Potem pożyczili wszystkie łódki z nabrzeża. Wsiedli do nich z wielkimi literami w dłoniach i płynąc po Wełtawie, utworzyli układem łodzi hasło: WIOSŁO MACIE ZAWSZE WY, ALE TERAZ MY.

Ponieważ między różnymi grupami antykomunistów istniały napięcia i rywalizacja, zaprosili liderów poszczególnych ruchów do piaskownicy. Wszyscy - pod hasłem „Każdy na swoim piasku” - dostali łopatki, wiaderka i musieli ulepić swoje babki. Kiedy babki były gotowe, znienacka przyjechał wóz z piachem, który im je zasypał razem z całą piaskownicą, co miało uświadomić, jak ich spory są miálkie.

- Pamiętam - mówi Barbora Štěpánová - gdy poszliśmy do Václava Havla, miał w domu jakichś zagranicznych gości, a my spyaliśmy jego żonę: „Pani Olgo, może Václav iść z nami do piaskownicy?”. Olga z surową miną spojrzała na zegarek i

---

<sup>37</sup> Z wywiadu Jana Faktora *Powstanie języka syntetycznego na ziemiach czeskich*, „Literární noviny” 2/1996.

powiedziała: „Dobrze, ale za godzinę ma być w domu”.

Po aksamitnej rewolucji rozdawali nowym politykom (a dawnym dysydentom) „samokrytyczne lusterka”, prosząc: „Pan spojrz na siebie”. Prezydentowi Havlowi na wieść, że praski Zamek, w którym zaczął urzędować, ma bardzo długie korytarze, telefony nie działają i wszyscy muszą ciągle biegać, zanieśli małą hulajnogę. „A on, taki drobny mężczyzna, od razu wsiadł na nią i pojechał. Wrócił jednak i spytał, czy nie chciałabym wobec tego zostać jego sekretarką”.

(Została).

Kiedy po trzech kadencjach prezydenta powstał o nim film dokumentalny *Obywatel Havel*, jedna z gazet napisała: „Wygląda na to, że Czechy mają nową komedię filmową”. Kiedy z premiery wychodził najślynniejszy teolog ksiądz profesor Tomáš Halík, wyznał dziennikarzom: „Aż takich jaj nie oczekiwałem”.

Zaś sam Havel spytany kiedyś, dlaczego nie należy być zbyt poważnym, odparł, że człowiek poważny jest strasznie śmieszny.

- Co do mnie - wyjaśnia Halina - to nie umiem pisać o dwóch rzeczach. O śmierci i o swoim strachu.

Żeby pan wiedział - dodaje - co ojciec, który był poza każdą, dosłownie każdą normą, codziennie wygadywał. Życie w naszej rodzinie to nie był tylko strach przed komunistami czechosłowackimi, to był strach przed KGB. Prześladowała go, ale ja nie jestem w stanie pisać o tym w odpowiednim stylu. Muszę nad tym popracować. Zwłaszcza, że to, co piszę, nie jest literaturą czystej krwi. Moje książki powstają przeciw z felietonów.

Przeszłość przez trzy lata przeszkadzała jej w dostaniu się do szkoły filmowej. Nazywano to „złym pochodzeniem”. Udało się, kiedy rodzina z Ukrainy zebrała podpisy prawie trzystu obywateli Związku Radzieckiego, poświadczających, że wujek Stiepan nie był „burżuazyjnym reakcjonistą”.

Dzięki temu Halina w 1985 roku skończyła wydział scenopisarstwa. Jej film z 1994 roku o własnej rodzinie pod tytułem *Dzięki za każdy nowy ranek* w reżyserii Milana Šteindlera zdobył nagrody od Hollywood (nagroda w konkursie na scenariusz stowarzyszenia scenarzystów amerykańskich) po Moskwę (Nagroda Świętego Jerzego na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym; ta sama, którą za swoje filmy dostali Fellini, Kurosawa i Wajda). Film opowiada o tym, jak córka usiłuje uciec spod wpływu ojca i przejmując władzę w rodzinie, staje się identyczna jak on. Książkowa wersja



scenariusza sprzedaje się wciąż świetnie.

Gdy podczas poszukiwań aktora do głównej roli Jiří Menzel pokazał Pawłowskiej jeden z filmów Jana Jakuba Kolskiego, od razu zorientowała się, że ze wszystkich aktorów, których w życiu widziała, tylko Franciszek Pieczka nie wchodzi do pokoju, ale identycznie jak ojciec - wkracza.

- Tatę pochowaliśmy w Karkonoszach - opowiada. - W miejscu, które przypomina ukraińskie połoniny. I mnóstwo ludzi przynosi mu kwiaty, bo uważają, że go świetnie znali. Gdy mnie tam widzą, mówią: „Ach, pani ma taką dominującą sylwetkę jak ojciec, i te oczy po nim. No, cała on”. A przecież nie widzieli nigdy mojego ojca, tylko myślą o Pieczce.

W sylwestrowym *talk-show* o pogrzebie Jiřiny Bohdalovej Halina opowiedziała o pogrzebie taty. (- Minęło kilka lat i mogę już o tym mówić). Młody ksiądz przemawiał długo, panował przykry upał i nie zanosilo się, żeby obrządek szybko się skończył. Jedna mocno starsza ciocia zaczęła sapać, wiercić się i mówić półgłosem, że ona już dłużej tego nie wytrzyma. Kiedy ją uspokajali, zdesperowana, wypaliła na całe gardło: „Przecież i sam tatuś by tego nie wytrzymał!”.

Halina Pawłowska stworzyła sobie z czeskim społeczeństwem długotrwałe poczucie fałszywej bliskości.

Zawsze opowiada w pierwszej osobie. Gdy pisze prawdę, że tata nigdy nie spał w łóżku z mamą, bo nie znośił być blisko drugiego człowieka, ludzie mają poczucie pełnego dopuszczenia do prywatności jej rodziny.

W szwejkowskiej orgii gadulstwa, do jakiej zaprasza, prawdę miesza ze zmyśleniem. - Ale, niestety - skarży się Halina - wszystko brane jest za prawdę.

Na przykład to, że Honza, z którym zdradza męża, nauczył ją dwóch rzeczy: dawać mu nieosobiste prezenty i natychmiast wymyślać tłumaczenia dla jego żony, jak stał się ich posiadaczem.

Nic więc dziwnego, że po północy dzwoni telefon i nieznany głos szepcze, kim Pawłowska jest naprawdę i co niemoralnego właśnie robi. („A mnie jest żal - pointuje - że ten wulgarny człowiek mija się z prawdą”).

Halina - od prasy poważnej po kolorówki - cały czas więc wyjaśnia, że przecież mnoży, dzieli i podwaja przeżycia znajomych. W jednej z ostatnich książek - na życzenie wydawcy - zaznaczyła nawet, że część rzeczy naprawdę zmyśliła. Pisze w formie „ja”, bo zawsze musi utożsamić się z własną bohaterką. - W innym przypadku

nie byłabym w stanie nic napisać!

Wobec tego wszystkiego mąż Haliny Pawlowskiej, Zdeněk, inżynier obrazu w telewizji, jest aniołem.

Całe Czechy dowiadują się a to, że kocha się z nią rzadko, a to, że całe dni milczy. Raz, kiedy zadzwoniła do domu z pytaniem, gdzie był, gdy dzwoniła wcześniej, tłumaczył się, że wyprowadzał psa. „Jak to?! - zawołała. - Pies jest przecież ze mną!". I za tydzień opowiedziała to w telewizji.

Mąż nie pokazuje się z nią nigdzie.

W prasie nie pojawiają się żadne jego zdjęcia. Sama przyznaje: - Przedstawić się jako mąż Pawlowskiej: groza!

- Mój mąż zna mnie od dwudziestego roku życia - mówi. - Wtedy już pisałam opowiadania. Jego to wszystko, o czym ja mówię, w ogóle nie dotyczy. Okropne, ale on nie tylko, że nie czyta moich książek, ale nie czyta żadnych książek. Dzięki Bogu, wie, że każda historyjka musi mieć pointę, i on opinię o sobie dla pointy może poświęcić.

Zakończenie typowe dla lirycznej Haliny:

Jej bohaterka poszła raz ze swoimi dziećmi do zoo. Oglądali hipopotamy, obok stało kilku wyrostków. Rzucali im orzechy, ale zwierzęta tego nie zauważały. Chłopcy orzechy szybko wymienili na kamienie. Kiedy kamienie stawały się coraz większe, hipopotamy schowały się pod wodą i osiadły na dnie.

Wtedy zrozumiała siebie, swoje niezgrabne ciało i swoją iluzję o tym, że ono jeszcze się wzniesie. Nic się nie wzniesie, wszystko spadnie na dno - pomyślała i zaczęła płakać. Łzy były ciepłe i słone, jak wtedy, kiedy miała dziewięć lat, a kolega gładził jej twarz mokrymi liśćmi. Syn chwycił ją za rękę. „Mamo, ale hipopotamy nie płaczą, wiesz?”.

„Bo one nie mają powodu - dodał mąż. - Przecież kamienie odbijają się od ich twardej skóry”.

Koniec.

Chociaż Halina, która lubi nadmiar we wszystkim, dodałaby do takiego zakończenia jeszcze trochę słów:

„Ale uświadomiłam sobie, że nie jestem hipopotamem. Jestem żoną, matką, kobietą. I płaczę! Spotkało mnie już szczęście i spotykał pech, i wszystko to mnie

jeszcze wiele razy spotka. Dlatego wychodząc z zoo, kupiłam całej naszej trójce całkiem dobre bananowe lody".

## odezwa

„Jak powszechnie wiadomo, dla głęboko wierzącego mężczyzny Talibanu grzechem śmiertelnym jest spojrzeć na nagą kobietę, jeżeli to nie jest jego własna kobieta. Jeśli tylko takową by zobaczył, jego natychmiastową i świętą powinnością jest popełnić samobójstwo.

Wzywamy wobec tego wszystkie kobiety, aby w sobotę 15 maja 2009 roku, dokładnie o godzinie czternastej wyszły nagie na ulicę. Pomożecie tym czynem zidentyfikować niepożądanych terrorystów, nazywanych śpiącymi.

Aby efekt antyterrorystyczny był odpowiedni, zaleca się kobietom chodzić po okolicy co najmniej godzinę.

Wzywamy wszystkich mężczyzn, żeby poparli kobiety w ich usiłowaniach, rozłożyli przed swoimi domami leżaki i obserwowali nagie Czeszki. Udowodnią w ten sposób, że nie są członkami ruchu Taliban, a zarazem pokażą swoją odwagę w oglądaniu nagich kobiet, mimo że nie są one ich żonami.

Oczywiście mężczyźni będą wykonywać tę czynność tylko po to, żeby pomóc swoim kobietom w walce z terroryzmem.

Ponieważ mężczyźni Talibanu mają zakaz picia napojów alkoholowych, piwo w dłoni każdego czeskiego mężczyzny będzie jasnym sygnałem jego zdrowej, antyterrorystycznej postawy.

Rząd docenia tę obywatelską inicjatywę i z góry dziękuje za pomoc.

Twoim patriotycznym obowiązkiem jest szerzyć tę odezwę dalej!!!".

(Otrzymałem 30.03.2009 mailem od nieznanym mi Czechów).

## wkurzacz czeski

Kontakt Davida Černého z Polską zaczął się od tego, że przeczytał rano gazetę.

Czech trafił tam na słowa Polaka, który twierdził, że patriotyzmy są skazane na zanik i że już rozpoczyna się proces korzystania z państw jak z towarów. I że Polak chciałby wybrać Czechy.

David Černý natychmiast odnalazł Polaka przez internet i napisał, że muszą się poznać, bo ma identyczne poglądy. Z tym, że jest czechosceptykiem i chętnie by wybrał coś innego, nawet Polskę.

Niestety, nie zna jej, nigdy też nie był w Warszawie. Słyszał tylko, że miasto nie jest ładne i - jak dotąd - nic nie może mu pomóc. Czytał gdzieś, że w Warszawie mają jednak imponujące przykłady domów gotyckich, barokowych i renesansowych z 1954 roku. A ponieważ jest człowiekiem sztuki, a jego (w dniach 2.03-28.06.2008) narzeczona jest architektem, chętnie by je zobaczyli.

David Černý to dziś najbardziej znany czeski rzeźbiarz. Przedstawiciel sztuki krytycznej (o czym nie wie, bo w Czechach nie istnieje takie pojęcie). A także wulgarny intelektualista (jak napisała jedna polska krytyczka sztuki), więc Polak zaproponował mu nocleg.

(Szczerze mówiąc, Polak chciał skorzystać z okazji i zrobić ze słynnym artystą wywiad, nie płacąc ani grosza za podróż do niego).

David Černý spytał, o której ma przylecieć do Warszawy. Bo może przylecieć, o której chce.

Polak trochę się zdziwił i (złośliwie) wyznaczył godzinę 14.14, wiedząc, że ani Lot, ani ČSA na tę godzinę się nie wyrobią. Precyzyjnie o 14.14 David Černý zameldował z lotniska Babice w Warszawie, że wylądował właśnie swoim samolotem (cesną).

„Jeszcze nikt nie lądował mi do wywiadu” - pomyślał Polak i zanotował tę myśl ze względu na jej czeski charakter.

W Warszawie Polak pochwalił się wszystkim, co jego narodowi Niemcy lub Rusczy zburzyli, a potem całą trójką poszli nad Wisłę. Po drodze David Černý podkreślił, że u nich i faszyci, i komuniści kładli jednak nacisk na budowanie.

Oglądanie Wisły było dla rzeźbiarza i jego narzeczonej architekt szokiem. Chcieli wiedzieć, dlaczego nad rzeką nic się nie mieści, tylko chaszczki.

- Może to jakaś wasza tradycja? - dopytywała architekt. - Może bombardowania

hitlerowskie?

Polak nic nie mógł wymyślić, był w stanie tylko zacytować wątlą, lecz efektowną myśl profesora Janusza Czapińskiego (Uniwersytet Warszawski): „Warszawa nie leży nad rzeką. Ona nad rzeką kuca”.

To bardzo spodobało się czeskiej parze, bo uważali dotąd Polaków za nadmuchanych ważniaków.

Upili się wszyscy.

Rano okazało się, że rzeźbiarz musi lecieć do Poznania, bo wymyśla na zamówienie miasta pomnik, który nie obrazi uczuć religijnych.

W związku z tym Polak wprosił się do Czecha do Pragi za tydzień, wiedząc, że artysta ma zaadaptowany dwupoziomowy strych w starej kamienicy na Malej Stranie, a wszystkie meble są zrobione z surowców wtórnych. Rzeźbiarz, mimo że skończył dopiero czterdzieści lat, za swój talent dostał od miasta strych i może go wynajmować do śmierci.

Ponieważ jest to trzysta metrów kwadratowych, a tyle metrów jest ponad siły jednego człowieka, dzieli go na pół z kolegą filmowcem. Przy wejściu wita gości kontrastujący z surowcami duży obraz nagich kobiet i fauna z okresu baroku, który namalowała matka Davida, Magdalena Černa. Była konserwatorem malarstwa w Muzeum Narodowym i czasem restaurując jakiś obraz, malowała jego wierną kopię.

### **Przystanek: Syn Boży nie dla Polaków**

Polak miał nadzieję, że dowie się, co zainspirowało artystę do stworzenia dzieł, których przestraszono się w Polsce.

Bielsko-Biała na przykład zamknęła oczy przed Saddamem Husajnem. Husajn był naturalnej wielkości, w białym, zanurzony w akwarium twarzą do dołu, z rękoma związanymi z tyłu. David Černý sparodiował sławną pracę *Shark* Damiana Hirsta z Wielkiej Brytanii, przedstawiającą rekina w formalinie.

U Czecha zamiast martwego rekina tkwi w wodzie prawdziwy rekin - Husajn.

- Rzeźba jest duża, idiotyczna i może chodzi w niej o to, że jak spotykasz się z Saddamem Husajnem twarzą w twarz i on jest w majtkach, to musisz wybuchnąć śmiechem - tłumaczył William Hollister z Pragi. Amerykański kurator, który zwariował na punkcie czeskiej sztuki.

Jednak dzień po wernisażu do Galerii BWA zadzwonił wiceprezydent Bielska-

Białej Zbigniew Michniowski, który niczym nie wybuchnął, tylko kazał natychmiast usunąć rzeźbę, gdyż jej reprodukcję zobaczył rano w gazecie. Obejrząc pracy w galerii nie chciał, bo (jak opowiadał kurator) wiceprezydent wyznał, że jest drażniąca i budzi w nim nieprzyjemne uczucia.

Poza Bielskiem na Husajna Černego nie chciała patrzeć też Belgia, ponieważ obawiała się swojej społeczności muzułmańskiej (a jak wiadomo, muzułmanie nie znają ironii).

Wrocław za to nie zobaczył Jezusa Chrystusa.

W plastikowych modelach do sklejania części przymocowane są do ramki, od której się je potem odrywa. David Černý zaczął tworzyć takie rzeźby w kawałkach: postacie z pooddzielanymi organami. W wymiarze dwa metry na dwa metry. Tak właśnie powstał *Syn Boży - model do sklejania*.

Nazwał je potem rzeźbami instant, czyli w proszku. (Jezusa instant zakupiło niedawno Muzeum Sztuki Nowoczesnej w San Diego). Poza Jezusem wśród modeli do składania ma też: Ewę, Adama, Gwiazdę Rocka oraz Martwą Zgwałconą Kobietę instant.

W Stanach, gdzie był na stypendium Whitney Museum w Nowym Jorku, pokazał nowy składany pomnik i opatrzył go hasłem „George Washington instant dla każdego amerykańskiego miasta!”.

Modele do sklejania zostały wystawione w 1993 roku najpierw w Pradze, a potem w Nowym Jorku, w Ronald Feldman Gallery. Na praskim wernisażu artysta udzielił wywiadu duńskiej dziennikarce i oznajmił, że składany Jezus powstał na zamówienie Kościoła katolickiego w Czechach. - Po komunizmie, proszę pani, mnóstwo świątyń jest bowiem wybrakowanych.

Więc oczywiście taki Jezus nie mógł objawić się we Wrocławiu, a żeby nie drażnić Polaków, na wystawie „Przykra sprawa. Czeska wystawa” pokazano tylko Adama i Ewę.

Niestety, Polak tego wszystkiego od Davida Černego się nie dowiedział. Bo artysta chciał dokądś gonić, tylko sam nie wiedział dokąd, co nazywamy nerwicą.

Polak nie dowiedział się też, dlaczego David Černý jako dziecko doprowadził do sytuacji, że dwie jego nauczycielki odwieziono do szpitali psychiatrycznych.

(I możemy zdradzić czytelnikowi, że już się tego nie dowie. Bo z Černým jest tak, że jak raz się człowiek nie dowie, to się już nigdy nie dowie).

Żeby jednak czytelnicy z obcowania Czecha z Polakiem mieli jakąś korzyść,

postanowiono nerwicę wspólnie wykorzystać i David Černý oprowadził po swoich dziełach w Pradze.

Mamy więc poniższy przewodnik po Pradze na lato.

## **Stacja 1: David Černý wywala jęzor**

Jego pierwsze słynne dzieło powstało w nocy.

Z grupą kolegów Czech przemalował czołg - którym Armia Czerwona wyzwoliła Pragę - na różowo. Czołg stał przed budynkiem sądu w dzielnicy Smíchov, mimo że było już półtora roku po obaleniu komunizmu. Artysta od razu został niedoceniony, bo chociaż podpisał się na cokole, wszystkie wiadomości telewizyjne podały, że czołg zniszczyli wandalami. Mieszkańcy pod czołgiem kłócili się o historię, kilku nawet dało sobie w twarz. Pragę natychmiast zalały T-shirty z różowymi czołgami, a wojsko szybko przemalowało go z powrotem na zielono.

W tej sytuacji pewnego popołudnia grupa posłów centroprawicowych, korzystając z immunitetów, pomalowała czołg znów na różowo.

No to armia znów na zielono.

Potem, kiedy władze dzielnicy postanowiły czołg wreszcie usunąć, wojsko czeskie zabrało go do muzeum wojska i samo po cichu przemalowało na różowo. Mieli bowiem przyjechać generałowie NATO i zapowiedzieli, że muszą sfotografować się ze sławnym różowym czołgiem.

Ktoś zauważył, że David Černý dał wtedy Czechom metaforę czasów, w których się znajdowali.

Druga metafora wisi do góry nogami.

Łatwo do niej dojść z placu Waclawa, czyli z Pól Elizejskich Środkowej Europy. Najpierw musimy stanąć na samej górze placu, pod pomnikiem kroczącego na koniu świętego Waclawa, który żył wyłącznie dla Bożej chwały. Jak wiemy, święty Waclaw to patron Czech, i kiedy sobie to przypomnimy, możemy zejść trzysta metrów w dół placu, żeby po lewej stronie wejść do bramy z napisem „Rokoko”. Labiryntem korytarzy z okresu art déco musimy przejść do wnętrza Pałacu Lucerna, zbudowanego przez dziadka Václava Havla, żeby zobaczyć, co Černý zrobił z patronem Czech.

Symbolowi narodowemu zdechł koń. Święty siedzi okrakiem na jego brzuchu. Poza tym wszystko jest identyczne jak na właściwym pomniku.

Trup konia, zawieszony za nogi u sufitu ma wywalony jęzor. Ale - jak



podkreślano na inauguracji - jedzie się dalej.

Kiedy rzeźbiarz przyszedł z Polakiem do Lucerny, przyjrzał się po raz n-ty koniowi i jego jeźdźcowi: - Ktoś wisi głową w dół, ale oczywiście w Czechach wszyscy udajemy, że nic się nie stało. Zamykamy oczy.

### **Przystanek: wycieczka**

Pavel Trojan, młody przewodnik wycieczek po Pradze<sup>38</sup>, specjalizujący się w Polakach i Amerykanach, których zawsze przeprowadza przez prace Černego, tutaj właśnie, w labiryntach Lucerny, daje wykładziki o tym, że Czesi nie znają tabu.

- W sumie - wyklada, wznosząc oczy do góry - powyższe dzieło Czechom się podoba, bo pokazuje ich z nie najlepszej strony.

### **Stacja 2: David Černý sika na państwo czeskie**

*Sikający* to pomnik, którym artysta chciał uczcić wejście Czech do Unii Europejskiej. Basen, do którego dwóch mężczyzn oddaje mocz, ma kształt Republiki Czeskiej.

Penisy są ruchome i jeśli wyślemy sms-a z jakimś zdaniem na numer podany obok pomnika, to w kilka minut wysikają to zdanie.

David miał sprawdzić, czy ten penis, który jak się nie porusza, to sika dokładnie na Pragę, jest w stanie się podnieść. Zwiedzający często uszkodzają narządy. Ochroniarz wyznał Polakowi, że czasem w nocy obie płcie przychodzą napić się z penisów wody. (A przynajmniej tak to można ująć).

- Wszystko zaczyna się od sikania - rzucił David, obmacując członka. - Niemowlę się posika i dzięki temu czuje, że żyje. Sikanie jest przyjemne. Każdy chciałby się zesikać w spodnie, ale mu kultura zabrania.

(Wszelkie poglądy Davida Černego zawierają maksimum po trzy zdania, w drodze wyjątku cztery).

*Sikających* miał zniszczyć rytualnie pochód czeskich skinów, ale upilnowali ich policjanci. Skini-narodowcy zjechali się z całego kraju i było ich dwudziestu. Tylko tyłu znalazło się obrońców honoru Ojczyzny.

- No, czy naprawdę w Czechach wszystko musi być rozczarowujące? - spytał David i poszli z Polakiem do stacji numer 3.



*Sikající* - rzeźba-fontanna Davida Černého,  
Praga 2008 r. Fot. Michał Mutor

W internecie dywagowano, co by się stało, gdyby w Izraelu powstał pomnik sikających na Izrael, a Wielkiej Brytanii - pomnik robiących kupę (na przykład czekoladową masą) na mapę Wysp Brytyjskich. Ale nikt nie miał stuprocentowej pewności co.

Pewność co do reakcji można mieć tylko w Czechach: nie będzie żadnej.

„My, Czesi, nie jesteśmy przewrażliwieni na punkcie honoru i czci” - napisał pewien słynny intelektualista, a pewien ceniony historyk dodał: „Możecie mówić o Czechach jak najgorzej - nie ruszy ich to. Najwyżej potwierdzą, że macie rację. Ale niech się dowiedzą, że benzyna podrożała, usta im się nie zamkną od przekleństw”.

### **Przystanek: Sknedlikowana masa**

Przed inauguracją *Sikających* w 2004 roku rzeźbiarz podzielił się nadzieją. „Liczę - powiedział w wywiadzie - że po wstąpieniu do Unii Czesi stracą swoją zapyziałość”.

Wyjaśnił ją tak: „To wieczne drapanie się po pępku napchanym kapustą, knedlami i świniną. Poklepywanie się po ramieniu, jak to im w Nagano, my, chojraki dołożyliśmy. Ta cała niechęć, żeby spojrzeć na siebie z góry i uświadomić sobie realną wielkość tego kraju i jego wagę w światowym kontekście.

Zastanawiam się - David Černý brnął dalej - czy byśmy coś stracili, gdyby nam się tożsamość narodowa rozpuściła?”.

Okazało się, że zna jej składniki.

„Niewymieszana, nieciekawa, lekko sknedlikowana, nasiąknięta piwem, nieopalona masa. Czech to wieśniak, który jest chciwy, zachłanny, cwany i przebiegły, i trochę tchórz. To by mogła być tożsamość narodowa, prawda? Ale będzie afera, jak ją stracimy” - zakończył, a „Lidové noviny” to wydrukowały.

Po Czechach to spłynęło, poza jednym panem.

- Ja jestem knedlikiem nasiąkniętym piwem? - zapytał biznesman Ladislav Bátorý. Jest podróżnikiem po partiach politycznych. Swoją podróż zaczął od partii narodowo-faszyzującej, pytanie zadał więc w zawiadomieniu do prokuratury.

„David Černý ubliża narodowi, znieważa rasę. Osiągnął taki poziom, że nie da się go ścierpieć bez protestu”. Biznesman ujmę na swoim honorze patrioty wycenił na pięć tysięcy euro. Prokuratura nie dopatrzyła się jednak przestępstwa (w Czechach bardzo trudno obrazić państwo, naród lub religię) i umorzyła skargę.

Internauci, którzy też nie są przewrażliwieni na punkcie honoru i czci,

natychmiast odkryli prawdziwą twarz pana Bátorego. Jest ławnikiem w sądzie - za taką samą kradzież proponuje pięć lat więzienia dla Cygana, a dwa dla Czecha.

### **Stacja 3: David Černý wiesza człowieka**

Dwanaście metrów nad ulicą Husovą na Starym Mieście wisi człowiek w garniturze. Ma twarz Freuda, ale David mówi, że nie jest to istotne. Prawą ręką trzyma się stalowej szyny, przymocowanej do dachu kamienicy. Nie istnieje w jednej postaci - wisiał już w Berlinie, w Sztokholmie, Wrocławiu, Chicago, Londynie, Rotterdamie, Budapeszcie, a teraz wisi i nad ulicą Husa, i w Barcelonie nad placem Catalunya.

- To moja rzeźba podróżna - przedstawił ją artysta i omiół wzrokiem grupki turystów, którzy tarasowali ulicę, żeby przyjrzeć się *Wisielcowi*.

Gdyby mogli podfrunąć, zobaczyliby, że ma obojętną twarz. Jakby nie załapał, w jak niewygodnej sytuacji się znajduje.

- A o czym jest ta rzeźba? - dociekał Polak.

- Gdy wisiał w Szwecji, to Szwedzi pisali, że to o Szwedach, Niemcy, że o Niemcach. A Czesi piszą, że jest o Czechach.

Po prostu gdziekolwiek na świecie *Wisielec* zawisnie, tam ze swoim obojętnym wyrazem twarzy natychmiast staje się syntezą epoki.

### **Stacja 4: David Černý wiesza mięso**

*Mięso* to dwa apetyczne samochody osobowe w kolorze krwi, zawieszony na wielkich rzeźniczych hakach. Wiszą symetrycznie po obu stronach ściany głównej.

- Jak ja nie znoszę samochodów w miastach! - wyznał rzeźbiarz Polakowi. - Powinny być zakazane, przecież życie nie jest po to, żeby przedzierać się przez śmierdzące kolumny samochodów - dodał i kluczem otworzył drzwi do opuszczonego fabrycznego budynku w dzielnicy Smíchov, gdzie wisi teraz *Mięso*. To robotnicza dzielnica z browarem Staropramen, a budynek to Meet Factory - miejsce, jakich na świecie jest dużo, ale w Czechach jedno. Międzynarodowe Centrum Sztuki Współczesnej [meetfactory.cz](http://meetfactory.cz), które założył Černý z dwojgiem przyjaciół: muzykiem Davidem Kollerem i reżyserką filmową Alice Nellis. Są tam pracownie dla artystów, z tego piętnaście atelier dla artystów zagranicznych. Jest miejsce na sztukę, koncerty, filmy. Swoją pracownię ma tam też David.

Wcześniej *Mięso* wisiało w Galerii Narodowej, ale autor musiał je stamtąd

zabrać.

Otóż w 2000 roku dostał najważniejszą nagrodę w dziedzinie sztuk plastycznych, jaka istnieje w jego kraju - Nagrodę Chaluppeckiego, przyznaną artyście do trzydziestego piątego roku życia. Dyrektor Galerii Narodowej - która patronowała nagrodzie - Milan Knižák nie znosi Davida Černego i wzajemnie. Jeden powtarza publicznie, że w życiu do galerii nie zakupiłby od drugiego żadnej pracy, drugi powtarza publicznie, że galerii w życiu by żadnej nie sprzedał. (Dopóki dyrektorem jest pan Knižák oczywiście).

Dyrektor musiał jednak zwycięstwo Davida Černego przelknąć i pozwolić mu na wywieszenie *Mięsa*. Rzeźbiarz zażądał miejsca dla samochodów i haków na wysokości drugiego piętra. Dyrektor Knižák zgodził się na piąte (- Żeby ich nie było widać - uważa David) lub na pierwsze (- Żeby nie zrobiły wrażenia).

Uroczystość finałowa odbywała się w galerii, jednak prezydent Havel, który wręczał nagrodę, musiał pofatygować się na ulicę. David Černý czekał przed drzwiami, bo progu tego miejsca - oznajmił - nie przekroczy. Nawet jakby pan Knižák poszedł do domu.

### **Przystanek: Knižák**

Milan Knižák to malarz, rzeźbiarz i znany akcjonista, który w 1962 roku namówił znajomych, żeby w godzinach szczytu położyli się na ulicy twarzą do ziemi i leżeli nieruchomo, omijani przez przechodniów. Rozwścieczyło to nieprawdopodobnie władzę, ponieważ nie wiedziała, co ma o tym myśleć. W 1965 roku natomiast wysłał listy do tysiąca przypadkowo wybranych z książki telefonicznej osób. Zawierały jedno zdanie, na przykład: „Spaceruj nieprzerwanie 24 godziny aleją Narodową” albo: „Onanizuj się przez 8 godzin”. Za to wszystko dostał wyrok trzech lat więzienia za działanie na szkodę państwa socjalistycznego.

Milana Knižáka nie cierpi wielu czeskich artystów. Zarzucają mu, że jako menedżer najważniejszej galerii kraju szkodzi tym twórcom, których nie ceni, i jako dyrektor kupuje sam od siebie swoje prace. Żeby wyrazić brak szacunku do dyrektora, trzech artystów na podłodze w Galerii Narodowej zrobiło kupy. Pięćdziesiąt osobowości czeskiej sztuki (w tym David Č.) żąda dymisji Knižáka. Dyrektor na to odpowiada, że po prostu ma gust, wie, co jest dobrą sztuką, i tyle.

Dlaczego Knižák nie ceni Černego? Odpowiedzią może być tytuł zbioru esejów

Knižáka.

Brzmi on: *Tłum myli się zawsze.*

### **Przystanek: Michael Jackson**

Zdjęcie na okładce książki o Davidzie Černým: rzeźbiarz leży w białym garniturze i czarnej koszuli, podparty na lewym łokciu. Całość spowija rozproszone ciepłe światło i jest dokładną kopią okładki płyty wszech czasów - *Thrillera* Michaela Jacksona.

Jeśli (jak zauważyła Dubravka Ugresic) każdy fotografuje się najchętniej z tym, czego mu brakuje, to dla ukazania Davida w pełni, należy to zdjęcie odnotować.

### **Stacja 5: David Černý ma prezydenta w dupie**

Olbrzymie nogi i wypięty tyłek. Pochylony do przodu tułów ginie w murze na pierwszym piętrze.

Na podwórku galerii Futura stoją dwa białe nogotyłki. Obie rzeźby są po to, żeby zajrzeć im w otwory odbytowe. A dokładniej - włożyć tam głowę. Do każdego otworu wchodzi się po drabinie. W odbycie Polak obejrzał film: prezydent Klaus jako siwa staruszka karmi kaszą drugą siwą staruszkę - dyrektora Knižáka. A w drugim tyłku na odwrót.

(Na marginesie: David Černý uważa, że jego prezydentem jest wciąż Václav Havel, a o Klausie mówi jak najgorzej. Kiedy Havel przestał być prezydentem, Černý stracił, jak mówi, ostatni powód do identyfikacji ze swoim krajem).

- Knižák tu podobno był - nadmienił David, sprawdzając, czy drabina do sedna dobrze się trzyma. - Ale na propozycję zajrzenia między pośladki powiedział: „Dziękuję, nie wejść”.

### **Przystanek: rozpacz śmiechu**

Polak zauważył, że David Černý każde wypowiedziane przez siebie zdanie kończy śmiechem, a kiedy się już naprawdę nie da - uśmiechem.

Jego dzieła łatwo wprawiają człowieka w zadowolenie (co chyba najbardziej brzydzi przeciwników Černego) i są w mieście tak zauważalne, że nawet turysta, który był tylko raz w Pradze, może wyjechać z poczuciem, że rzeczywiście to nie jest stereotyp: „Czesi to śmiejące się bestie”.

A ponieważ każde dzieło jest w zupełnie innym stylu, przyjezdni mają wrażenie, że Praga jest pełna dowcipnych rzeźbiarzy<sup>39</sup>.

Zachłanność na śmiech w Czechach ciągle Polaka zdumiewa. Dystrybutorzy filmowi są tak zażenowani, że wprowadzają do kin dramat psychologiczny, że zapowiadają go najczęściej jako „komedię tragiczną”, a nawet „smutną komedię”.

Tragedie Thomasa Bernharda (sumienia Austrii) hurtowo wystawia w Pradze Teatr Komedia. Polak był na kilku i gdy nie było tam żadnych miejsc do śmiechu, a raczej do strachu, Polak zaobserwował jednak, jak widzowie łączywie chwytają się różnych momentów, byle się choć trochę zaśmiać. Tylko że każdy śmieje się w innym miejscu, po omacku. Raz po raz na widowni rozbrzmiewa pojedynczy śmiech, czasem roześmieją się dwie osoby. Co chwilę rozpacz śmiechu w innym rzędzie.

Z tej posuchy ktoś się śmieje, bo lampa się zapaliła.

- Śmiech... - zastanowił się przez chwilę David Černý, biegnąc do stacji szóstej. - Przecież musi być jakiś powód do życia - dodał po namyśle.

(Oczywiście powyższe uproszczenie nie dotyczy wszystkich, istnieją Czesi, którzy się nie śmieją, i jest też przypadek specjalny: Václav Klaus. Ma on wyjątkową cechę - uśmiecha się kącikami ust do dołu).

## **Stacja 6: David Černý wysła niemowlęta do nieba**

Na placu między domami na robotniczym Žižkovie stoi najobrzydliwsza budowla w Pradze: widoczny zewsząd nadajnik telewizyjny, nazywany przez ludność wiertarką, a przez jednego poetę koszmarną wieżą strażniczą, która pilnuje zgrzybiałych kamienic.

Wiertarka powstała w drugiej połowie lat osiemdziesiątych i stanęła na cmentarzu żydowskim z 1630 roku, który prawie w całości zlikwidowano, a miejsce zalano betonem.

Teraz po wieży, w górę i w dół, pełnią dziesięć niemowląt. Z daleka wyglądają jak robaki. Każde jest czarne i ma ponad trzy metry długości. *Niemowlęta* mają urodę, na jaką wieża zasługuje: napuchnięte, nieproporcjonalne głowy, które z bliska przypominają tyłki. Między policzkami-półdupkami mają płaskorzeźbki kodów kreskowych.

---

<sup>39</sup> Adresy prac Davida Černého w Pradze: *Święty Wacław* - Pałac Lucerna, wejście od placu Wacława 38 lub od Štěpánskiej 61; *Nogo-tyłki* - Galeria Futura, ul. Holečkova 49; *Sikajacy* - ul. Cihelná 2b, Malá Strana; *Niemowlęta* - na wieży telewizyjnej, Sady Mahlera, z boku ulicy Fibichovej; trzy z niemowląt raczkują po trawniku na brzegu Wełtawy, zwanym Kampa, na Malej Stranie; *Wisielec* - ulica Husova (czyli Husa); *Mięso* - Ke Sklárné 15, tramwaj 12, 14, 20, przystanek Lihovar, trzeba przejść przez tory kolejowe; *Trabant* - tyły ambasady niemieckiej w Pałacu Lobkoviców, ulica Vlašská 19, Malá Strana.

- Sztuki trzeba wypatrywać w górze - zaśmiał się David Černý, widząc, jak turyści zadzierają głowy, żeby policzyć niemowlaki.

To jest odwrotność tego, co zrobił w mieście Znojmo, gdzie sztuki trzeba było wypatrywać w dole.





*Niemowlęta z Davidem Černým na wieży telewizyjnej w Pradze, 2008 r.*

Fot. Michał Mutor

W Znojmie zażyczyli sobie wystawy, jakiej nie było. Odlał więc dziesiątki swoich, istniejących w realu albo wyobraźni, rzeźb. W wymiarach 2x2x2 cm. Były mniejsze niż pudełka od zapalek. Ustawił je w galerii na podłodze i mieszkańcy miasta z burmistrzem na czele musieli przed sztuką klękać. Niektórzy byli zmuszeni nawet chodzić przed nią na czworakach.

### **Stacja 7: David Černý dodaje trabantowi jądro**

To rzeźba z 1990 roku, przedstawia eneradowski samochód trabant, o którym mówiło się, że jest z tektury. Tak naprawdę był z tworzywa sztucznego, które nie ulegało korozji. Jeden Amerykanin zamówił trabanta i gdy mu go przysłano, powiedział: „Ach, ta niemiecka dokładność! Przed dostarczeniem samochodu przysłali mi plastikowy model”. Trabant był mały i wolny, mówiło się, że największą prędkość uzyskuje podczas holowania. Rzeźba auta ukryta jest na terenie ambasady Niemiec, ale jak zajdzie się od strony ogrodu, można ją zobaczyć przez płot.

- Chciałem zareagować na masowe ucieczki Niemców z NRD do RFN przez ambasadę w Pradze - wyznał David. Tysiące wschodnich Niemców latem 1989 roku wdzierało się na tereny zachodnioniemieckich ambasad w Pradze, Warszawie czy Bukareszcie, pozostawiając komunizm i trabanty.

W powieści *Siostra* Jáchyma Topola bohater odbywa obłąkańczą wędrówkę po Pradze i dochodzi do niemieckiego tłumu, który właśnie podaje sobie dzieci ponad głowami i przerzuca przez mur, bo RFN już zamknęła raz na zawsze bramę do wolności. Zastanawia się, czy jak dziecko jest w środku, to wpuszczą i matkę. Ale czy dzieci mają dowody osobiste? Jak matka udowodni, że to jej dziecko? A jeśli dziecko złapie jakaś obca kobieta, żeby tylko się wydostać?

Złoty trabant Davida kroczy przed siebie na grubych bosych nogach. Twór, wysoki na cztery i pół metra, kroczył przez jakiś czas na Rynku Staromiejskim, ale Niemcy podobno tak się go wstydzili, że postanowili go wykupić i ukryć na terenie swojego państwa.

- Trabant miał jaja i zaraz po ustawieniu na rynku ktoś pomalował je na czerwono - powiedział rzeźbiarz, wkładając twarz między pręty płotu ambasady.

Polak nadmienił, że takie czerwone jądra to logo Komunistycznej Partii Czech i Moraw. Czech poprawił, że w logo są dwie czerwone wiśnie. - Niemniej temat jest irytujący - dodał. Otóż to partia, która powstała już po upadku komuny, w marcu

1990 roku, i dziś ma sto tysięcy członków, a nawet sześciu eurodeputowanych.

David Černý był inicjatorem petycji *Z komunistami się nie rozmawia*, którą podpisały różne osobistości, ale partie polityczne zignorowały. Postanowił też, że na 1 Maja w Pradze - gdy czescy komuniści co roku bez żadnego skrupowania przychodzą z czerwonymi chorągiewkami na wzgórze Letná - ustawi z kolegami aparaturę nagłaśniającą, a z niej wypuszczą niskie dźwięki o częstotliwości 15 Hz przy głośności 200 dB.

Takie parametry powodują niekontrolowane uwolnienie mięśni gładkich, w tym mięśni odbytu.

- To było uwznioślające wyobrażenie: tysiąc obesranych komunistów! - ekscytował się David Černý. Niestety, pomysł groził tym, że mięśnie gładkie puszcza też niekomunistom, więc go anulowano.

Niedawno rzeźbiarz wygrał w Pradze konkurs na pomnik upamiętniający bohaterów II wojny światowej, ale artysta miał pecha: udzielił wywiadu. Na uwagę dziennikarki, że przecież komuniści też walczyli z okupantem, odpowiedział w swoim aforystycznym stylu: „Dobry komunista to martwy komunista”.

Miasto po tej deklaracji natychmiast wycofało się z jego projektu i zrealizowało projekt z drugiego miejsca. (Polak nadmienia bezstronnie, że zwycięski pomnik jest żenujący i obrzydliwy).

### **Stacja Post Scriptum: stół w Libercu**

Już po południu okazało się, że Polak celowy pośpiech Czecha mylnie wziął za nerwicę. David Černý postanowił bowiem dać post scriptum do przewodnika i przed zmierzchem polecieć do swojej rzeźby w Libercu. I wrócić, bo o dwudziestą zamykają tam lotnisko.

(Na wysokości siedmiuset metrów bateria do radia się wyładowała, więc dzięki Bogu, że Polak wiozł ze sobą szczoteczkę do zębów na baterię.

Artysta tak skręcał samolotem, że Polak leżał na szybie od drzwi, mając pod sobą tylko Sudety. - Mam już wylatanych sto czterdzieści godzin! - zapewnił zniecierpliwiony pilot.

Polak zastanawiał się, czy w powietrzu jest jakaś drogówka, która zatrzymuje pilotów na badanie alkomatem.

Fotograf ze strachu robił zdjęcia z zamkniętymi oczami).

Liberec to miasto w Sudetach, które zamówiło u Černego przystanek autobusowy.

Przed wojną było miastem mniejszości niemieckiej, Czechów było tylko siedem procent i byli głównie urzędnikami. W 1935 roku powstała tam Partia Niemców Sudeckich pod wodzą Konrada Henleina, stąd używana do dziś nazwa henleinowcy. W 1938 roku Niemcy wygnali stamtąd wszystkich Czechów, a w 1945 - Czesi wszystkich Niemców.

Zamiast przystanku David Černý zaproponował dzisiejszemu Libercowi stół.

Na autobus czeka się pod stołem.

- Na nim jest wszystko to, co ilustruje ciemną historię Liberca - oznajmił rzeźbiarz.

A więc: przewrócony żydowski świecznik, bo tu faszyci spalili pierwszą synagogę w Czechosłowacji. Niemiecki kufel na piwo i czeski kufel na piwo. Muchołówka w dzbanku, bo Liberec ma w ogrodzie botanicznym największy czeski zbiór roślin mięsożernych. Muchy, które roślina wabi, mają na główkach hitlerowskie hełmy.

Na talerzu - odcięta ludzka głowa, w którą wbite są widelec i nóż. To głowa Konrada Henleina. Całość jest ze spatynowanego brązu.

- Wszystko - tłumaczy artysta, sprawdzając, czy nikt nie odspawał żadnej muszki faszystki - wygląda, jakby jakieś olbrzymy skończyły przed chwilą obiad. Taka historia ponad naszymi głowami. A pod stołem my, ludziki, sobie czekamy na autobus. Dzieci lubią wchodzić pod stół, to jedno z najbardziej fascynujących miejsc. Stół dzieci przerasta. Nas, Czechów, wszystko przerasta.

### **Przystanek: twórca spermy**

Polak pomyślał, że David Černý jako artysta chyba nie jest u siebie szczęśliwy i dlatego powinien wymienić produkt „Czechy” na produkt „Polska”. Chciał mu o tym powiedzieć.

Ale był już wieczór, samolot trzeba było przepchać do hangaru i wciąż nie udało się zrobić wywiadu. Artysta zjadł kolację i oznajmił, że jedzenie hamuje mu myślenie, i wtedy zaraz chce mu się spać. W tej sytuacji Polak zapowiedział, że porozmawiają jutro.

Tylko że jutro Czech zaraz po przebudzeniu przygotował obiad.

Mogli zjeść przy dużym stole z metali po recydingu w mieszkaniu albo na tarasie. Nad drzewami na podwórku czterech kamienic z XIX wieku, na wysokości szóstego piętra.

Taras mierzy jakieś dwa metry na dwa, nie ma żadnych barier ani zabezpieczeń, i obaj wybrali właśnie tę możliwość.

David Černý chciał udowodnić, że zmieszczą się tam dwa krzesła i stół.

Postawił na nim sushi, które sam przygotował, mówiąc: - Sushi nauczył nas wszystkich Petr Zelenka. (Černý wystąpił u Zelenki w *Guzikowcach* - jako ten, który kładzie klucz do mieszkania byłej dziewczyny na tory kolejowe, żeby spłaszczył go pociąg, uważa bowiem, że w ten sposób ich relacja naprawdę się zakończy, a potem ginie ze swoją nową dziewczyną w wypadku).

Polak usiłował zadać pytanie (w typie pytań, jakie zadaje się zasłużonym artystom w Polsce) i już miał rozpocząć dział pytań o ojczyznę.

- Dlaczego - zaczął - w innych hymnach narodowych się maszeruje i dominuje, a w czeskim śpiewa się, że w Czechach jest pięknie?

- Sushi zaraz zacznie ci się ruszać, upał jest - powiedział na to artysta.

W końcu stwierdził, że wywiadu o twórczości udziela Polakowi od dwóch tygodni i co tu jeszcze dodawać.

Po sushi zajrzeli do internetu. Rzeźbiarz pokazał swoje imponujące (czternaście ton i dziewięć metrów wysokości) dzieło *Metalmorphosis*. Fontannę w kształcie ludzkiej głowy z błyszczącej stali.

Stoi przed biurowcem w mieście Charlotte w Północnej Karolinie. Głowa jest podzielona na kilkadziesiąt nałożonych na siebie płatów metalu i oprócz tego, że pluje wodą, to jej części wykręcają się w różnych kierunkach. Czasem wygląda jak zdefasonowane głowy u Bacona.

David ze swojego komputera w Pradze może kierować grymasami amerykańskiej głowy. Jeśli mu się oczywiście chce. (Śledzić ruchy głowy na żywo można przez internet, może akurat autor nią kręci).

Po pokręceniu Polak musiał już jechać pilnie na lotnisko, a artysta wręczył mu swoją książkę *Przepieprzone lata*.

W książce wyznaje, że za największą sferę twórczą uważa seks, dlatego lata twórczości może przeliczyć na ilość wyprodukowanej spermy. Oblicza, że w tej chwili jest to już ponad trzydzieści pięć litrów.

„David Černý, twórca spermy” - mógłby zatytułować ten tekst Polak, tylko że to

tytuł do prasy niskich lotów.

Chyba żeby spermę Černego potraktować jak metaforę.

## kraj raj

Co do jednej jedynej rzeczy między obywatelami Republiki Czeskiej istnieje pełna zgoda i w tej kwestii nie mają miejsca żadne spory.

Otóż uważają swój kraj za piękny, a państwo ten pogląd oficjalnie zatwierdziło.

Brytyjczycy w swoim hymnie narodowym proszą Boga, by chronił królową, i nie mają żadnych innych oczekiwań. Węgrzy proszą Go o odpuszczenie grzechów. Holendrzy - żeby ich nie zostawiał. Niemcy, ponieważ już nie chcą być ponad wszystko, dążą do jedności, wolności i prawa. Rosjanie wychwalają potężną siłę woli swojego świętego mocarstwa. Amerykanom nad ich wolnym krajem tryumfalnie powiewa gwiazdzisty sztandar. Francuzi wzywają: I naprzód marsz, Ojczyzny dzieci! Ukraińcy staną do krwawego boju od Sanu do Donu. Portugalczycy maszerują pod kule nieprzyjaciół. Włosi zwierają szeregi, gotowi na śmierć. Irlandczycy tej nocy staną na szancku dla sprawy Irlandii. Litwini chcą, żeby ich prowadziło światło i prawda. Kanadyjczycy mają ramię, co potrafi nieść miecz. Austriacy mężnie wkraczają w nowe czasy. Argentyńczycy wciąż słyszą dźwięk zrywanych kajdan.

Rumuni wołają: „Przebudź się, Rumunie, otrząśnij ze śmiertelnego snu”. Brazylijczycy krzyczą o odważnym ludzie. Słowacy zatrzymają gromy i błyski nad Tatrami.

Nawet Farerzy z terytorium zależnego, jakim są Wyspy Owczce, oznajmiają, że podniosą swój sztandar wysoko i stawią czoła niebezpieczeństwu.

Czesi za to w swoim hymnie narodowym śpiewają wyłącznie o tym, że ich kraj to raj.

Woda huczy wśród łąk,  
bory szumią pośród skał,  
w sadzie pyszni się wiosenny kwiat,  
widać, że to ziemski raj!

A sami Czesi w najważniejszej pieśni Republiki Czeskiej?

To „wrażliwe dusze w zdrowych ciałach”; „umysł jasny”; mają „siłę, by mierzyć się z przeciwnościami” - „oto Czechów sławne plemię”. Uspokojone poczucie własnej wartości, rzadkość wśród plemion świata. W czeskim hymnie - w przeciwieństwie do wielu innych - również świat poza Czechami nie jest wrogi.

Powie ktoś, że Australijczycy też śpiewają, że ich kraj jest piękny. Tak, ale już w tytule wysyłają go w drogę: „Naprzód, piękna Australio”. Duńczycy także ujawniają, na czym polega piękno Danii („rozłożyste buki dają cień”), jednak ważne jest, że „silni mężczyźni i szlachetne kobiety niosą honor kraju”. Piękno Bułgarii w jej hymnie nie ma końca, lecz uroda to nie wszystko, dlatego obarcza się zadaniem matki: mają dawać siłę, aby można było naśladować tych, którzy za naród zginęli.

Hiszpanie wprawdzie w swoim hymnie nie mają słów, ale jest to marsz. W hymnach świata idzie się, kroczy, maszeruje, zdobywa i niesie sztandar. W czeskim - prawdopodobnie się leży. No bo co można innego robić w raju?



## tu nikt nie lubi cierpieć

Widzi pan ten grób? Ta kobieta nie miała pogrzebu. I ten mężczyzna też. A ta babcia z 2003 roku to można powiedzieć, że była pochowana zupełnie w tajemnicy.

Zawiadamiają, że umarł, ale nie piszą, kiedy i gdzie go pochowają. Oczywiście pogrzebu nie robią w ogóle. Stosują trik, który wiąże znajomym nieboszczyka ręce. Piszą: „Pożegnanie ze zmarłym odbędzie się w gronie najbliższych”. Albo zawiadamiają, że pogrzeb już się odbył, i piszą wtedy: „Pożegnanie nastąpiło w ciszy”.

No i co pan ma wtedy zrobić? Miał pan dobrego kolegę w pracy, bardzo chętnie by się pan z nim pożegnał, przecież pożegnanie ze zmarłym musi nastąpić w jakiejś symbolicznej formie, żeby psychika mogła żyć dalej. Lecz jego najbliżsi nie dają panu żadnych szans. Można oczywiście do nich zadzwonić i spytać, kiedy i o której ten pogrzeb, ale byłoby to żenujące.

Podali niedawno, że w Pradze już połowa zmarłych nie ma żadnego pogrzebu. W całym kraju liczba pogrzebów spada lawinowo.

My w Czechach nie wierzymy, że sposób pożegnania się ze zmarłym lub z ciałem ma wpływ na jego dalszą egzystencję. Myślę, że nawet ci religijni Czesi niezbyt w to wierzą. A przecież przez całe stulecia pogrzeb był także po to, żeby wymodlić łaskę Pana naszego dla duszy. Ale dziś, skoro uważamy, że pogrzeb już nie ma dla nieboszczyka żadnego znaczenia, to i nie ma ciśnienia społecznego, żeby się odbył.

Dostaję tego człowieka już na samym końcu. Mówię sobie, że dostaję wielkie lub małe pudełko. Czyli albo trumnę, albo urnę. Wkładam je do ziemi lub rozsypuję prochy. Na te pochówki bezobrzędowe mówimy „bezowki”.

Widzę, że przyczyną bezowek są pieniądze. Pogrzeb w całości kosztuje minimum siedemnaście tysięcy koron, to jest średnia pensja w stolicy, a co ta suma znaczy w takim małym mieście jak nasza Przybram, to pan sobie może wyobrazić.

Dwa lata temu zlikwidowano w Czechach zasilek pogrzebowy. Wyjątkowo mogą go dostać dzieci, które zostały bez środków do życia, na matkę lub ojca - pięć tysięcy koron, więc to tyle, co nic. Teraz jeśli każdy musi zapłacić za pogrzeb sam, to woli płacić jak najmniej.

Ja myślę, że pan patrzy tak romantycznie na tę sprawę - musi być pogrzeb. A tu chodzi o twardą rzeczywistość.

Według mnie likwidacja zasiłku pogrzebowego jest wymówką. Parlament nie zlikwidowałby zasiłku w kraju, w którym nie byłoby na to mentalnego przyzwolenia.

Cyganie też nie dostają zasiłku, a pochówki robią duże i przepiękne. Na dwieście osób, z orkiestrą, ze stypą. A przecież romska mniejszość jest u nas najczęściej biedna, biedniejsza niż czeska większość. A jednak tego zmarłego żegna się u nich okazale i godnie. To nie kwestia pieniędzy, to kwestia duszy.

W naszym kraju lepiej powiedzieć „kwestia humanizmu”, bo dusz to my nie mamy.

Najtańsza kremacja w Pradze kosztuje dwanaście tysięcy koron, ze zwyczajnym obrzędem - dwadzieścia pięć. Jeśli chce się trumnę z dębu i duży pogrzeb - sześćdziesiąt. Niektóre firmy pogrzebowe walczą o rynek, są w stanie dosłownie wrywać sobie zmarłych. A jeśli nie chce pan ich drogich ozdób kwiatowych, bo zmarły sobie życzył maki albo rumianki, wtedy tracą panem zainteresowanie.

Dlaczego bez pogrzebu? Bo dziewięć na dziesięć osób umiera w szpitalach. W Czechach mamy za mało hospicjów. Nie tylko rodziny, lecz także domy starców wysyłają staruszków na śmierć do szpitala, bo nie chcą, żeby im umierali pod nosem. Przy takiej niechęci nic dziwnego, że rodziny chcą jak najszybciej to załatwić. Najlepiej już dziś, od razu spalić i już.

Czy nie wystarczy, że on mi umarł?

To było tak straszne, że ja już bym jego pogrzebu nie przeżyła.

Kiedy bliski umrze w szpitalu, relacja z nim przerywa się i czuje się pustkę. Jak ta śmierć wyglądała? Bolało go? Wzywał moje imię? Nie wie pan nic. Tylko podadzą panu torbę między drzwiami. Rozmyślanie o tym to ból, a pogrzeb oznaczałby dalsze emocjonalne obciążenie. Wtedy myśli pan sobie: zrobię to bez pogrzebu i z głowy.

Zmarła mama. Tego dnia była spokojna, po raz pierwszy od kilku tygodni. Bo ten nowotwór to tylko jęk i skowyt. Bez włosów, niezdolna panować nad żadnymi funkcjami ciała. „Ratuj mnie, córeczko”, na trzy dni przed śmiercią zawyła takim

głosem, że poczułam, jakby moje ramiona, ręce, piersi ważyły tonę. Pomyślałam, że bezsilność ma swój ciężar fizyczny. Żałowałam, że nie wiem, gdzie można kupić narkotyki, bo uważam, że w takim stanie należy chorym podawać kokainę albo coś podobnego. Trzymałam mamę za rękę, śpiewałam po cichu jej ulubioną piosenkę z czasów, kiedy i pani Vondráčková, i mama były młode: *Złapałam na łące motylka*. Potem ściśnięty żołądek, mdłości, biegunka taka, że nie mogłam wyjść ze szpitala. Zastryk na migrenę dostałam od pani doktor. Firma miała przewieźć ciało do krematorium. Nie chciałam żadnej uroczystości przed skremowaniem. Była kolejka do spalenia, zadzwonili, że urnę będzie można odebrać za sześć dni. Przez te sześć dni troszkę się uspokoiłam, doszłam do siebie. Ta jej choroba była tak długa, czego się miałam spodziewać, jak nie śmierci? No, ale rozstać się tak na zawsze, to był egzamin ponad moje siły. Po sześciu dniach wciąż nie chciałam tam iść, bałam się wziąć urnę do ręki. Zadzwoniłam do firmy pogrzebowej, żeby odebrali sami i wstawili do kolumbarium, gdzie mamy swoje okienko i już dwie osoby tam stoją. Pan przyjechał po kluczyk, potem odwiózł mi go do pracy. Poszłam na cmentarz dopiero po dwóch miesiącach. Jakoś to się uspokoiło we mnie. Patrzyłam na urnę w pięknym miedzianym kolorze, słońce ładnie się w niej odbijało. Ten pan mi wysłał wcześniej mailem kilka zdjęć z urnami i wybrałam właśnie taką z rudą poświatą, jak mamusi włosy w młodości. Patrzyłam na tę urnę i pomyślałam, że pogrzebu z rodziną i ze znajomymi bym nie wytrzymała. To byłoby, jakby mama umierała na moich rękach drugi raz.

Oczywiście, gdyby żył ojciec, wszystko odbyłoby się tradycyjnie, może nawet po pogrzebie poszlibyśmy do restauracji.

Siostra po rozwodzie mieszka w Kanadzie, mówi: „Słuchaj, nie ma sensu, żebym teraz przyjeżdżała, przecież ja jeszcze mamunię zdążę odwiedzić na tym cmentarzu”.

Jeżeli ktoś mówi, że nie chce urządzać pogrzebu, bo już ma dosyć tych nieprzyjemnych uczuć, to widzimy jakąś próbę - nie tyle może odwrócenia się od rzeczywistości, ile odwrócenia się od uczuć, jakie ona niesie. Rzeczywistość jest wówczas widziana i niewidziana jednocześnie. Obawiam się, że następuje u nas zatrzymanie lub jakaś deformacja rozwoju psychicznego. Bo dla rozwoju ból psychiczny i zdolność jego przeżywania to jakby paliwo.

Pochówki bez obrzędów rejestruje się już nawet na tradycyjnie katolickich Morawach.

W 2006 roku jedna czwarta zmarłych Morawian nie miała żadnej ceremonii.

Miałam pogrzeb babci. Zakład pogrzebowy twierdził, że przygotowują „godny pogrzeb”. Na cmentarzu zobaczyliśmy mnóstwo obcych ludzi, byliśmy zaskoczeni, że babcia miała tylu znajomych. Ktoś spytał: „Państwo też na pogrzeb Květušy?”. „Nie - padła odpowiedź - na pogrzeb Arnoštka”.

Okazało się, że to pogrzeb zbiorowy, to znaczy są cztery rodziny zamiast naszej jednej, i cztery urny. Rodziny nie znały się nawzajem, siłą rzeczy żałobnicy się wymieszali. Głupio było się wycofać, zwłaszcza że trochę z Pragi do tego miasteczka się jedzie, upał był nie do wytrzymania i nikt z nas nie miałby siły drugi raz tam wracać.

Zawartość urn wsympowali do dołków wyspowych w towarzystwie muzyki z takiego okropnego przenośnego magnetofonu na baterie z początku lat dziewięćdziesiątych. W Czechach mówiło się na nie grzechotki, bo one zawsze tak rzeziły.

Na koniec oratorka powiedziała: „Nasi zmarli zostaną w naszych sercach, dziękujemy za godny przebieg pogrzebu, a gdyby potrzebowali państwo zaświadczeń o uczestnictwie w pogrzebie dla pracodawców...”. I to wszystko powiedziała w jednym zdaniu!

Przyszli do mnie do domu z ciastem, winem, piwem. Mówię: gdzie byliście? A wiesz, Alena dzisiaj właśnie odebrała Jana i pomyśleliśmy, że może przyjedziemy do ciebie i posiedzimy. Może mu coś zaśpiewamy. Rozglądam się, bo coś mi tu nie gra, przecież Jan nie żyje, i to dobre trzy tygodnie. „A gdzie jest Jan?”, pytam. „A, tu go mam w reklamówce” - i pokazują plastikową urnę.

Postawiliśmy go na parapecie, bo jakoś nie byłam w stanie na stole, gdzie miało stać to ciasto. Zrobiłam sałatkę, rozmawialiśmy do rana. Była też jego siostra i dwaj koledzy, jeden jest muzykalny bardzo, śpiewał piosenki, które Jan lubił. Na początku było sztywno, z mojego powodu chyba, ale potem to już poszło. Stukaliśmy kieliszkami w urnę, z toastem: „Zapamiętamy cię i kochamy cię”, I teraz myślę sobie, że nic tego biednego Jana nie mogło piękniejszego po śmierci spotkać. Oprócz bólu i smutku są radosne wspomnienia i śmiech. Wypchajcie się z normalnym pogrzebem.

Poszli o czwartej nad ranem. Już dawno nie widziałam żony, która jest tak pogodzona ze śmiercią męża. „A co teraz zrobisz z tą urną, Alenko?”, pytam jeszcze na

koniec. „No właśnie nie wiem, może niech chłopcy zadecydują. Jak znam chłopców, to z jakiejś lotni go rozsypią za Pragę”.

Ona tę urnę miała zanieść następnego dnia do matki Jana, staruszki, która chciała go pożegnać w jakiś swój szczególny sposób.

Myślę, że to też jest obrzęd pogrzebowy, tylko innego rodzaju i w przyjemnej atmosferze.

Znajoma z córkami poszła z urną ojca do pizzerii, a potem do cukierni. Bo dziewczynki lubiły pizzę, a dziadek słodkie.

A płacz, krzyk, cierpienie?

Tu nikt nie lubi cierpieć.

Dziś w gazecie widziałem zdjęcie kobiety z małym dzieckiem, a obok drugie - plecy tej kobiety z wielkim tatuażem pięknego zielonego pawia na czerwonej gałęzi. Pani jest dyrektorem w Państwowym Funduszu Rozwoju. Podpis pod zdjęciem mówił, że pani Terezie fizycznym bólem, jaki znosiła przy tatuowaniu tego pawia, chciała zabić psychiczny ból po śmierci matki.

Ja bym powiedział, że to jest nasz indywidualizm. Czesi są wielkimi indywidualistami. W przeciwieństwie na przykład do Polaków, którzy są stadni, którzy są niewolnikami zwyczaju i tradycji. Ze stanu niewolnika za żadne pieniądze się Polaka nie wykupi. Bo on tego nie chce. Poza tym w Polsce zaobserwowałem duży konformizm. Może by nawet nie zrobili tego pogrzebu, może i by woleli sami w ciszy, ale nie, bo co ludzie powiedzą. Tam wszystko się robi pod ludzi, a my robimy dla siebie. Znam nawet Polaków, którzy są niewierzący, a chodzą do kościoła. Pan też jest taki przypadek: niewierzący, ale praktykujący? Ci moi znajomi Polacy, to nawet komunię przyjmują, chociaż w Boga nie wierzą ani trochę. Ateiści, którzy chrzczą dzieci - mnie się to w głowie nie mieści. A koleżanka Polka mi mówi: „A co mam zrobić? Jak się rodzicom na oczy pokazać? Dla świętego spokoju ochrzciliśmy”. To zupełnie jak u nas za komunistów. Tylko milion ludzi należało do partii, prawdziwych komunistów pewnie było jeszcze mniej, ale na 1 Maja chodzili wszyscy, bo bali się nie pójść. I tak jest z Polakami, boją się nie pójść do kościoła. Co do Czechów, to widzę w tym ciekawy przejaw naszej pomysłowości, że każdy sobie ten obrzęd rozstania ze zmarłym sam wymyśli. A jak nie wymyśli, tylko chce tradycyjnie, to też jest jego wolność.

Byłam trzydzieści dwa lata pielęgniarką i byłabym dalej, gdyby moje nogi mnie nie zawiodły. Obserwowałam ciężko chorych na naszym oddziale. Pan powie, dlaczego ci wierzący tak się boją śmierci? Przecież on poszedł do Boga, ma już życie wieczne. Gdybym była religijna, tobym się cieszyła z każdego kolejnych urodzin, bo zbliżają mnie do życia wiecznego.

Niestety, nie znam takich, co się cieszą z tego, że się starzeją. Ani rodzin, które byłyby szczęśliwe, że zmarły znalazł się na zawsze w niebie. Wiele jest obłudy w wyznaniach religijnych.

Jestem przeciwna pogrzebom w starym stylu. Przyjeżdża rodzina, której ten zmarły nie widział dwadzieścia pięć lat. Do kaplicy z ciałem? Po co? Tylko cyrk z tego jest. Wszyscy udają, jaki on był wspaniały, a podpatrują, czy ciotka przyjechała w nowym, czy w starym płaszczu. Najlepiej jest pójść tam, gdzie ten zmarły najlepiej się czuł. Do gospody, do ogrodu, do jego pokoju i tam go powspominać w gronie najbliższych, którzy naprawdę go lubili. Wypić za niego kieliszek wina, pośpiewać. Ze śmiercią nic nie zrobisz, więc chociaż ci, którzy zostali, niech się z tego nie smucą, niech rozstaną się z tą osobą radośnie. To by mi się podobało i jako kobieta po sześćdziesiątce sama chciałabym mieć takie zakończenie.

No, ale trzeba przyznać, że w Czechach coraz częściej nawet i to nie ma miejsca, to znaczy nie ma żadnego pożegnania. Nie ma nic.

### Żałoba?

To w sobie głównie, nie na zewnątrz. Koleżanka, kiedy mąż jej umarł, nie miał jeszcze czterdziestki, pięć dni wytrzymała w czarnym, ludzie na przystankach patrzyli na nią jak na dziwaczkę. Myśli się wtedy, w co się bawi taka kobieta, co chce udowodnić, kogo gra?

Żałoba została uznana za prywatną rzecz, a nawet starano się, żeby otoczenie nie skupiało na niej uwagi. *Vademecum dobrego zachowania* z 1968 roku poświęca śmierci w rodzinie jeden akapit, w którym czytamy: „Niepotrzebne jest demonstrowanie żałoby, to rzecz intymna. Nie działają już stare zasady noszenia żałobnego czarnego ubrania czy woalki. Teksty nekrologów są rzeczowe, wskazane jest darowanie sobie kondolencyjnej wizyty”.

Sam fakt pogrzebu jeszcze uznawano za oczywisty, ale wyraźnie pojawia się chęć wyeliminowania pogrzebu jako zjawiska społecznego.

Nazywam to republiką zaprzeczania. Usuwanie sprzed oczu zestresowanego obywatela wszystkiego, co się wiąże z przemijaniem, starością i śmiercią.

Przed 1990 rokiem zwyczaj chowania bez obrzędu nie istniał. To wolność, proszę pana.

Plus lata komuny. Plus brak religii.

Najczęściej mówią: mama sobie nie życzyła pogrzebu. Ale wie pan, jak to jest, mama może i mówiła: nie róbcie sobie ze mną kłopotu, ja już jestem stara baba, nic nie potrzebuję, co tam będziecie wyprawiać jakiś pogrzeb. Tylko że nie trzeba być dobrym psychologiem, aby wiedzieć: ona mówi to po to, żeby zaprzeczyli. A te dzieci złapią się tego zdania jak tonący liny i po jej śmierci na tym jadą. Biorą pieniądze, zaoszczędzone przez nią na pogrzeb, i kupują sobie plazmę.

Z moich obserwacji wynika, że nie robi się pogrzebów małżonkom, rodzicom i dziadkom. Natomiast, jak umrze dziecko - nastolatka w wypadku samochodowym, chłopak spadnie ze skały - ceremonia wtedy jest. Może dlatego, że tak ciężko się pogodzić ze śmiercią młodości i wtedy człowiek naprawdę musi to z siebie wywentylować.

Tak więc rodzice dzieciom raczej zrobią pogrzeb, dzieci rodzicom już nie.

Nasza babcia w Kralupach wyraźnie nie życzyła sobie pogrzebu. Ona nie cierpiała współczucia i litości. Była to kwestia dumy, może i źle pojętej, ale trudno. Mówiła: Báró, nie chcę, żeby ktokolwiek z naszej ulicy szedł na mój pogrzeb i się nade mną użalał. Była typem dominującym, nie zniosłaby, żeby pochyłano się nad nią, kiedy leży.

U nas trumna stoi na katafalku, puszcza trzy, cztery utwory muzyczne z taśmy i potem powinien zabrać głos mówca, który powie coś o zmarłym. Podziękuje też w imieniu rodziny za przybycie. Dopiero po tym wszyscy wstają i trumna wolno zapada się pod posadzkę, gdzie dokona się kremacji.

Rodziny czasem w ogóle mówcy nie zamawiają. Nie wiem, czy tak się boją słów, które padną, czy chcą zaoszczędzić. W takich przypadkach zawsze, kiedy przychodzą potem uregulować rachunek, mówią: jaka szkoda, że nie było mówcy, że nikt nic nie powiedział. Takie to było niezakończone. Bo mimo że przed trumną jest tabliczka z nazwiskiem i każdy wie, na czyj pogrzeb przyszedł, należałoby przecież powiedzieć na

głos, kto umarł, i podziękować mu, że tu z nami był. Musi nastąpić jakiś wyraźny akt pożegnania. Musi być ten koniec.

W Ostrawie jest możliwość, żeby krewni obserwowali przez okienko wjazd trumny do pieca, mają tam pięknie wykafelkowane, u nas nie, u nas to wygląda bardziej jak fabryka.

Towarzystwo Przyjaciół Kremacji powstało w 1899 roku i uważało, że szerzy myśl nowoczesną. Było masowym czeskim ruchem, fenomenem. Kościół już się z tym pogodził, przychodzą księża do naszego krematorium i odprawiają swoje czynności. W całych Czechach siedemdziesiąt sześć procent zmarłych ulega spopieleniu.

Nasze krematorium, w Uściu nad Łabą, jest największym krematorium w całym regionie północnoczeskim. Od 1927 roku mamy policzone kremacje: sto sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

Tu na górze za to mamy dwie piękne sale ceremonialne. Każda ma poczekalnię, odrębną dla rodzin, odrębną dla gości. Winda na trumnę do małej sali, winda do dużej. To duża sala, rok budowy 1987, beton, szkło i drewno.

Główna ściana jest pęknięta, wszyscy mówią: o, beton wam pęka. A to jest zaprojektowana specjalnie rysa, rana, szrama. Niektórym się podoba, niektórym nie.

Ogrzanie tego wszystkiego, przy tych wielkich ścianach ze szkła, kosztuje nas nieprawdopodobne pieniądze. Kolega prowadzi krematorium w Chomutovie - musi pan wiedzieć, że podczas spalania jednego ciała wydatkujemy w piecach 640 kW energii, która wylatuje kominem i nic z niej nie ma - a u niego w tym Chomutovie, bo do tego zmierzam, ta energia jest zatrzymywana, przechodzi do centralnego ogrzewania i daje ciepło dla całego budynku.

Kiedy nie ma pogrzebu ani w ogóle żadnego obrzędu, zakład zabiera ciało ze szpitala, umieszcza w trumnie - są takie trumny bezobrzędowe, w Czechach robimy je z płyty pilśniowej, oklejonej papierem, mnie się to nie podoba, to jest okropne, ale nie mam na to wpływu - i przewozi do nas.

Słyszysz pan? Wspaniała akustyka, nie potrzeba mikrofonów. A tak, to szkło.

No, to jest taka gruba szyba. Żeby martwy, jeśli ma otwartą trumnę, nie był w kontakcie z ludźmi.

Nie, nie można do niego podejść, gdyż otwarta trumna ma prawo być tylko za



szkłem.

Wiem, że w Polsce jest inaczej, wiem. Tak właśnie towarzysze nam to wymyślili. Na wsi w kapliczce można przy otwartej trumnie przebywać, a u nas prawnie zakazane. Nawet małżonka zmarłego nie może do niego podejść i na przykład pocałować. Może w szpitalu, na patologii, ale u nas już nie.

Toleruje się to na wsi, u nas nie.

Taki ceremoniał żałobny trwa z pół godziny. Czasem, jak jest dużo kondolencji, trwa i czterdzieści pięć minut.

Kiedy już trumna zniknie w podłodze, wszyscy się rozchodzą. Na urnę czeka się dwa dni, ale jeśli trzeba, bo ktoś jest z daleka i mu zależy, to możemy zdążyć w trzy godziny.

Samo spopielenie trwa godzinę i piętnaście minut. Kiedyś urny były metalowe, teraz są z plastiku, więc nie można od razu w nie włożyć gorącego popiołu. W piecach są urządzenia, które chłodzą popiół. Ale najczęściej firmy pogrzebowe biorą od nas urny w czwartki i umawiają się na odbiór z rodzinami już u siebie.

Wtedy może, ale nie musi, odbyć się druga część pogrzebu - uroczyste pochowanie tej urny lub rozsypanie popiołu.

Fenomen wsypu. Chyba czeski wyłącznie. Dziura na metr głęboka i wsypuje się z urny popiół. Na cmentarnej łące - dziura koło dziury. Jak jest Wielkanoc, to przychodzą ludzie i zasypują tę łąkę kwiatami.

Ale jest też u nas w Przybramie mnóstwo ludzi, którzy chcą wsyp bez obrzędu i zostawiają to nam. Czyli nie towarzyszą mi we wsypywaniu brata czy matki. Tam, zaraz pan zobaczy, nie ma żadnej tablicy ani nazwisk. Potem nawet nie wiedzą, w którym miejscu łąki te prochy są. Żona ma tu w Uściu zakład kamieniarski. W ostatnim czasie robi małe tablice lub małe groby do ogrodów. Bo ludzie zakopują urnę w ogródku pod drzewem lub wsypują do dołka. Pyta, a co będzie, jak dom sprzedacie? To wykopiemy, zabierzemy ze sobą do nowego miejsca. Urna będzie się z nami przeprowadzała.

Albo zostawimy ją tam na zawsze - mówią niektórzy.

Żona na to: przecież nowy właściciel, jak kupi dom, będzie chciał na przykład przebudować ogród, wjedzie tam z maszynami i co?

Jakie to piękne być ze swoimi zmarłymi w swoim ogrodzie - pomyślałam na początku.

Prawo nie mówi, gdzie popiół zmarłego ma być złożony, ważne, żeby zgodził się na to właściciel gruntu. Ale klienci mówią, że to z oszczędności, bo cmentarz kosztuje, a własny ogródek nie.

Może wyjaśnię, dlaczego my ostatnio w Uściu naciskamy, żeby urny z prochami odbierała firma pogrzebowa. Bo dotychczas przywozili nam ciało i znaleźliśmy tylko nazwisko nieboszczyka, nic więcej. Nie mieliśmy telefonu do rodzin. Jeżeli rodzina nie chciała, żeby zakład pogrzebowy zorganizował uroczyste rozsypanie prochów, to urnę już mogła odebrać bezpośrednio u nas. Efekt?

Mnóstwo nieodebranych urn.

Dlatego teraz oddajemy je firmom, które są w stanie zadzwonić do swojego klienta i kategorycznie powiedzieć: proszę odebrać tatę.

Widzi pan, ile regałów. Stoją na nich urny, o które nikt się nie upomniał. Najstarsza stoi dziewiętnaście lat. Trzysta niepochowanych osób.

W Przybramie problem prochów zalegających w magazynie rozwiązaliśmy za pomocą wielkiej akcji. Dwa lata temu Irena z naszego biura była na szkoleniu i - według nowego prawa - urny, której nikt nie zabierze, nie musimy już trzymać do końca świata. Trzeba minimalnie rok. Nazbierało się ich trochę, więc - zgodnie z przepisami - znaleźliśmy pusty grób i pochowaliśmy je razem. Miałem czterdzieści czy pięćdziesiąt urn, tyle w takim niedużym mieście, jak nasze! Zatelefonowałem jeszcze do dwóch firm pogrzebowych, czy nie mają jakichś leżaków.

Ja przepraszam, że tak mówię „leżak”, jak na piwo, ale w cudzysłowie tak mówimy na te urny, które leżakują, leżakują i nie mogą doczekać się najbliższych.

Przyjechali taką wielką paką, a tam w workach na kartofle - dobrze ponad setka urn. Przy czym, myślę, że tak dwadzieścia to były świeżo narodzone dzieci. Nie wiem, czy pan oczekuje ode mnie mojego zdania. Ja mogę mówić tylko o faktach.

Myśli pan, że ktoś się potem zgłosił po którąś z tych urn, co wylądowały we wspólnym grobie?

Tak. Jeden człowiek. Mówił, że był w więzieniu i że nie mógł odebrać ojca, widać było, jak bardzo mu jest przykro.

Podają, że w Czechach nieodbierana jest co trzecia urna. Pytam: co się stało z miłością?

Jeśli urna stoi wiele lat i nagle pojawia się po nią krewny, to jesteśmy uważni, bo często ludzie kłócą się w rodzinach i chcą zabrać urnę, żeby potem resztę rodziny szantażować. Więc ten krewny musi mieć dowód wpłaty. A jak nie ma, to musi bardzo dokładnie udowodnić swój związek ze zmarłym.

Według mnie najczęściej nieodbierani są rodzice. I że częściej matki niż ojcowie.

- Halo, dzień dobry panu, mam nadzieję, że nie przeszkadzam, chciałbym porozmawiać o odwadze.

- Czyjej?

- Pana odwadze.

- A ja jestem odważny? Dzisiaj nie ma potrzeby być odważnym, dobre czasy do życia.

- Wie pan, jestem autorem z Polski i zajmują mnie pewne fenomeny, które w naszej kulturze tak często się nie zdarzają. Dowiedziałem się, że pan po śmierci swojej matki nie odebrał jej prochów. Wydaje mi się, że jest w tym odwaga.

- Ależ odebrałem. Mama leży na cmentarzu. Konkretnie odebrała moja żona.

- Tak, tylko że po pięciu latach.

- I pan chce mnie z tego rozliczać?

- Nie chcę, chcę tylko zrozumieć, bo ja bym tej odwagi nie miał, żeby nie odebrać matki. Ciężko chyba potem zasnąć.

- Wcale nie, wręcz przeciwnie.

- Skoro już się spotkaliśmy, to powiem panu, dlaczego tak z tą urną wyszło. Nie mogłem bez matki zrobić kroku, nawet jako czterdziestoletni mężczyzna.

- Wiem od D., że był pan z matką wyjątkowo związany. Dziwne więc, że nie odbierał jej pan pięć lat.

- Właśnie dlatego.

- Co dlatego?

- No, że nie mogłem bez niej żyć. Uwalniałem się od uzależnienia. Bo wie pan, może sobie pan to zapisać: najgorsze, co się może człowiekowi przytrafić, to własna matka.

- Dość okrutne.

- Myślała, że jestem jej własnością, i chciała, żebym ja też tak myślał. Gdyby nie

moja psychoterapia, to dziś już by mnie nie było. Bo oczywiście wpadłem w alkoholizm. Podświadomie uważałem, że uzależnieniem zniszczę uzależnienie. A zamieniło się to wszystko w psychozę. Matka pilnowała mnie nawet podczas seksu z kobietą. Moja kochanka wchodziła do pokoju, a za nią matka. Zmieniłem kochankę, to samo. Iveta się rozbiera, matka obok. Trudno powiedzieć, czy stała, czy siedziała, po prostu tam była. Myśl: „Co powie matka na te wszystkie czynności?”, odbierała mi całą z nich radość. Pomyślałem, że przestanie nam towarzyszyć, jak zmienię kobietę, ale przychodziła bez względu na kobietę. Jak zmienię hotel, jak zmienię mieszkanie kolegi, ale przychodziła do każdego pokoju. Nie odebrałem urny, bo po prostu nie było czasu. Miałem odebrać za tydzień. Ale jakoś tak zeszło, minął miesiąc. I zorientowałem się, że przestała przychodzić. Została ukarana za tę smycz, jaką mi w życiu założyła. Im bardziej jej nie odbierałem, tym bardziej nie przychodziła. Uważam, że z mojego punktu widzenia bardzo dobrze się stało. A następna kara, to że odebrała ją moja żona, której matka nie akceptowała przez całe nasze małżeństwo. Oczywiście nie jestem głupi, żeby myśleć, że matka to z góry widzi i czuje się ukarana. Dla mnie samego to było ważne.

Moje zdanie jako kobiety starszej jest takie, że zmarłemu jest wszystko jedno, czy ma pogrzeb, czy nie.

A ja mówię panu, że umarli dadzą o sobie znać.

## nie chcę więcej niż ciszę

Pewnego wieczoru (13.10.2004) w domu z oknem na ogród wziąłem do ręki jakąś książkę i znalazłem w niej złożone dwie strony maszynopisu. Stare dość i pożółkłe. Otworzyłem kartki i przeczytałem tytuł.

„Mój testament”.

Data: 12 grudnia 1950 roku.

Obok wyjaśnienie: „Karel Teige - odpis testamentu”. Przyznaję, poruszyło mnie to.

To przecież Teige - guru surrealizmu, do którego Egon Bondy..., który damskimi sutkami pokrywał..., którego grób pani Helena Stachová...

Testament ateisty - pomyślałem. I to poruszyło mnie jeszcze bardziej. Czytałem przecież o jego zachwycie, że świat wreszcie odebrał swoje zaufanie religii i obdarzył nim wiedzę. „Zapomnijcie o wiecznym trwaniu, jest tylko wieczna zmiana!”. Znam jego poglądy komunisty, niewzruszone do końca życia. Komunisty, który szczerze nienawidził Stalina. To staliniści zaatakowali Teigego przed śmiercią dziełem *Teigowszczyzna - trockistowska agentura w naszej kulturze*. Pogłoska głosiła, że umarł podczas drastycznego przesłuchania, jakie zgotowała mu Służba Bezpieczeństwa. Żeby przeżyć, gdy nie miał prawa publikować, nosił po jednej książce do antykwariatu Pod Aniołem na Smíchovie. Nie miał nic poza książkami, cudzymi lub tymi, które sam napisał przed wojną.

Byłem uszczęśliwiony, że coś tak intymnego jak testament dotarło do moich rąk - oto miałem okazję zobaczyć, jak zegnał się ze światem człowiek bez wiary w Boga.

Zajrzałem do *Wszystkich uroków świata*, żeby przypomnieć sobie, jak umarł.

Szedł ulicą. Od żony do kochanki. Śniadanie jadał w małżeństwie, obiady w konkubinacie.

Seifert - jego przyjaciel - pisze, że nigdy nie wątpił o poważnym stosunku Teigego do obu kobiet. „Nie chciał być i - oczywiście - nawet nie mógł być aktorem w banalnym trójkącie małżeńskim. Dziwię się jednak, że ten niezwykle inteligentny i błyskotliwy człowiek mógł przypuszczać, że uda mu się doprowadzić do spokojnego i harmonijnego współżycia obu kobiet. Jakże mógł nie wiedzieć, że w dziedzinie prawdziwej miłości coś podobnego między kobietami jest zgoła niemożliwe”.

Przyjaciółka, Eva Ebertová, nie mogła usiedzieć w domu, bo się spóźniał.

Wyszła mu naprzeciw i zobaczyła go na placu Arbesa, jak na przystanku tramwajowym opierał się o słup. Wzywał jej imię.

Z trudem zaprowadziła go do mieszkania i zaraz wybiegła, żeby zadzwonić po lekarza.

Kiedy wróciła, już nie żył.

Postanowiła, że ona też umrze.

Przekaze tylko wiadomość o jego śmierci żonie, Jožce Nevařilovej.

Napisała dwa zdania: „Karela już nie ma. Umarł dzisiaj w południe”, list wysłała taksówką, a sama odkręciła kurki w kuchence i otruła się gazem.

Żona, kiedy tylko przeczytała wiadomość, postanowiła, że ona też umrze.

Spali tylko listy, które do niej napisał. Nie było ich mało, bo chociaż codziennie spotykał się z obiema kobietami, do obu niemal codziennie pisał listy.

Spaliła je wszystkie, po czym odkręciła kurki w kuchence i otruła się gazem.

Odnalazłem w Pradze siostrzenicę Jožki Nevařilovej, która sprecyzowała, że ciocia popełniła samobójstwo następnego dnia po śmierci Karela.

Helena Stachová (właścicielka okna) jest zdziwiona, że Jaroslav Seifert pisał o Jožce Nevařilovej jako o żonie Teigego. Nie mieli ślubu. Seifertowi prawdopodobnie dobre wychowanie podyktowały słowo „żona”. I Eva, i Jožka były partnerkami Teigego.

Wróćmy do testamentu<sup>40</sup>:

„Tym testamentem, który spisuję na progu swojej pięćdziesiątki, ustanawiam jako swoją uniwersalną i generalną spadkobierczynię mojego wszelkiego, zresztą niedużego, majątku, zarazem również na wykonawczynię mej ostatniej woli - swoją partnerkę Jožkę Nevařilovą.

Proszę ją - gdyż zna mnie i doskonale rozumie - żeby kierowała się duchem tego testamentu. Nie trzeba trzymać się litery. Nie zależy mi na detalach. Więc: Jožce Nevařilovej oddaję w spadku cały swój ruchomy i nieruchomy majątek. Jestem świadomy tego i wyraźnie to stwierdzam, że nie chodzi o spadek, tylko o częściową, małą spłatę wielkiego długu i że całkowita wartość tego spadku nie osiąga tego, co jestem winny Jožce za to, że w długich latach naszego wspólnego życia, w czasach, kiedy moje dochody mieściły się dużo pod granicą minimum egzystencji, i w czasach, kiedy były tylko trochę wyższe, wspierała mnie z najwyższym poświęceniem ze swych

---

40 Według mojej wiedzy testament nie był nigdzie dotąd publikowany. W Czechach nie istnieje żadna biografia Karela Teigego. Przytoczony tu tekst testamentu skróciłem.

własnych środków. Nie można wyliczyć, ile jestem i materialnie, i finansowo Jożce winien - wiem jednak, że jest to więcej, niż mogę jej odpłacić swoim spadkiem.

Z moich książek niech Jożka zostawi sobie te, które wybierze. Evie Ebertovej odda te, które mi podarowała, a inne niech sprzeda, i to lepiej stopniowo, tytuł po tytule, niż od razu. Gotówki, wkładów itp. nie mam.

Pogrzeb, niezależnie od tego, czy będę spalony, czy nie, niech będzie jak najprostszy. Bez jakichkolwiek ceremonii, bez wieńców, bez przemówień i - życzylibym sobie - nawet bez łez! Jeżeli będzie to możliwe, niech Jożka mi położy na trumnie kwiatek - i to wszystko. Nie życzę sobie, żeby wiadomość o moim zgonie i pogrzebie została wysłana do prasy i opublikowana. Nie chcę więcej niż ciszę, milczenie.

Wystarczy, jeżeli moi znajomi i nieznajomi dowiedzą się o mojej śmierci przy okazji, już po pogrzebie. Niech w pogrzebie uczestniczy jak najmniejsza liczba osób, może i Jożka sama, a może nawet nikt! Przecież chyba nie trzeba dokonywać jakichś ceremonii pogrzebowych. Mój popiół i trumna mogłyby być chyba złożone w naszym grobowcu rodzinnym na Wyszehradzie, i miło by mi było, gdyby po długich latach życia, oby jak najpiękniejszego i najszczęśliwszego, została złożona tam również trumna czy urna Jożki. Ale istnieje jeszcze jedna możliwość pogrzebu: złożyć czy wysypać mój popiół do jednego ze ślicznych jezior, do Czarnego bądź też Máchy, czy, o ile będzie to możliwe, do morza. O tym niech zadecyduje Jożka.

Reszta jest milczeniem.

Spisał i podpisał

Karel Teige własną ręką".

Wróćmy jeszcze do przyjaciółek. A więc obie kobiety tak go kochały, że żadna nie była na jego pogrzebie.

## zamiast zakończenia

Drodzy Czechofile, każdy z Was będzie miał teraz pretensje, że książka ta nie zawiera wszystkiego, co jeszcze mogłaby zawierać.

Przy temacie Davida Černego - mógłbym napisać rozdział o jego sławnym w Europie dziele *Entropa*, w którym pokazuje, jak stereotypowo postrzegane są europejskie narody, ale jednocześnie tym dziełem potwierdza największy panujący w Europie stereotyp na temat Czechów: że to śmiejące się bestie.

Przy temacie fotografa Jana Saudka - mógłbym napisać o wielkim przedwojennym fotografe Josefie Sudku (bo zdarza się, że są myleni), który w okresie okupacji hitlerowskiej postanowił fotografować to, co dla niego najważniejsze: krople deszczu na szybie okna swojej pracowni, a dziś te zdjęcia są w podręcznikach historii światowej fotografii.

Przy wzmiance o książce napisanej przez fałszywą Wietnamkę - mógłbym nawiązać do tradycji mistyfikacji w czeskiej kulturze i opisać choćby sprawę fałszywego rękopisu zielonogórskiego lub drugiego - królowodworskiego, które w XIX wieku udawały rękopisy średniowieczne i miały na celu wzmocnienie tożsamości narodowej.

Przy tradycji czeskiej mistyfikacji - mógłbym napisać o geniuszu wszech czasów Járze Cimrmanie, którego sztuki teatralne, opery, wykłady i szkice epokowych wynalazków odnaleziono w 1966 roku, ale szybko okazało się, że geniusz jest wymyślony. Jednak naród tak się w nim zakochał, że do dziś odnajdują się jego nowe dzieła.

Przy temacie śmierci w Czechach - mógłbym napisać o zespole Teatru Járy Cimrmana, którego członkowie w dniu, kiedy zmarł aktor tego teatru i jeden z jego słynnych ojców założycieli, występowali wieczorem, a ze sceny nie padło na ten temat ani jedno słowo.

Przy temacie osoby pisarza Jana Balabána, który twierdził, że pisze książki o normalnych Czechach, a nie, jak się mylnie twierdzi, o życiowych rozbitkach - mógłbym napisać o jego powieści na temat śmierci, którą skończył chwilę przed własną. Nagłą.

Przy temacie niewiary w chrześcijańskiego Boga - mógłbym napisać, że Czesi, w przeciwieństwie do Polaków, wydają sporo literatury duchowej dla dzieci. Jeśli ktoś nie chce wychowywać dziecka ani w tradycji chrześcijańskiej, ani w ateistycznej, ma



do dyspozycji sporo pięknych książek, na czele z najpiękniejszą opowieścią o reinkarnacji, jaką czytałem: *Myszy idą do nieba (ale tylko na chwilę)* Ivy Procházkowej.

Przy Ivie Procházkowej - mógłbym napisać, że to siostra Lenki, która napisała powieść o życiu Jezusa...

Przy temacie... - i tak dalej.

Mógłbym. Ale powiem szczerze: nie lubię książek z gumy.

## podziękowania

Dziękuję ś. p. Kurtowi Vonnegutowi za inspirację do dwóch zdań.

Dziękuję Czechom:

Antoninowi Ciszce, Pavlínie i Petrovi Kourom, Michałowi Ginterowi, Jaroslavi Jiskrovej, Danieli i Doubravie Krautschneiderovym, Oldze Nešporovej, Zdenkowi Pavelce, Rostislavovi Pechowi, Jiřiemu Pokornemu, Magdalenie Sodomkovej, Pavłowi Trojanowi, Petrovi Vavroušce.

Dziękuję czechofilom:

Oldze Czernikow, Karolowi Furmańskiemu, Robertowi Karszni, Krystynie Krauze, Katarzynie Krawczyk, Agnieszce Lamek, Mariuszowi Suroszowi, Marii Szadkowskiej, Marcinowi Utrackiemu, Damianowi Walisko, Wojtkowi Zalewskiemu, Elżbiecie Zimnej, Ani Zurze, Mai Wesołowskiej.

A specjalnie dziękuję psychoterapeutce Danucie Golec, Renacie Zdražilovej i dr. Maciejowi Myszcze.

## książki cytowane, wspominane, opisywane

Wszystkie książki cytowane, wspominane i opisywane w mojej książce są cytowane, wspominane i opisywane po polsku, więc dla dociekliwych Czytelników podaję wersję polską tytułu, używaną na poprzednich stronach.

*Alternativni kultura. Příběh české společnosti 1945-1989*, red. Josef Alan, Nakladatelství Lidové noviny, Praha 2001.

Jan Balabán, *Možná že odcházíme* [Możliwe, że odchodzimy], Host, Brno 2004.

Vladimír Borecký, *Odvrácená tvář humoru. Ke komice absurdity* [Druga twarz humoru], Dauphin, Liberec/Praha 1997.

Paweł Boryszewski, *Kościół, którego nie było*, Wydawnictwo IFIS PAN, Warszawa 2002.

Egon Bondy, *Dzisiaj wypilem dużo piw. Wiersze wybrane*, wybr. i przeł. Leszek Engelking, „Miniatura” Kraków 1997.

*Prvních deset let* [Pierwsze dziesięć lat], Mat’a, Praha 2002.

*Sklepní práce* [Piwniczna praca], Votobia, Olomouc 1997.

*Neuspořádaná samomluva*, L. Marek, Brno 2002.

*Útěcha z ontologie. Substanční a nesubstanční model v ontologii* [Radość z ontologii], Filosofické eseje sv. 1., Dharma Gaia, Praha 1999.

*Czeski underground. Wybór tekstów z lat 1969-1989*, oprac. Martin Machovec, przeł. Dorota Dobrew, Leszek Engelking, Jan Stachowski, Dariusz Tkaczewski, Anna Car, Olga Czernikow, Maciej Domagalski i in., Oficyna Wydawnicza Atut, Wrocław 2008.

Karel Čapek, *Marsjasz czyli na marginesie literatury (1919-1931)*, wstęp i przeł. Halina Janaszek-Ivaničková, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981.

Jana Černa, *Moja matka Milena i Franz Kafka*, przeł. Magdalena i Tadeusz Lubiejewscy, Wydawnictwo Akapit i Od nowa, Katowice 1993.

*Český ateismus. Příčiny, klady, záporý. Sborník příspěvků z kurzu pro kazatele ČCE, pořádaného Spolkem evangelických kazatelů v Praze 24-28 ledna 2005*, KNIŽNICE SPEKU, sv. 11, Benešov 2006.

Radka Denemarková, *Pieniądze od Hitlera*, przeł. Olga Czernichow i Tomasz Timingeriu, Oficyna Wydawnicza Atut, Wrocław 2009.

Joanna Derdowska, *Praskie przemiany. Sacrum i desakralizacja przestrzeni miejskiej Pragi*, Zakład Wydawniczy „Nomos”, Kraków 2006.

Alexander Dubček, *Nadzieja umrze ostatnia*, przeł. Piotr Godlewski, Czytelnik/Bellona, Warszawa 1995.

Umberto Eco, *Imię róży*, przeł. Adam Szymanowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987.

Zbyněk Fišer (Egon Bondy), *Otázky bytí a existence* [Kwestie bytu i egzystencji], Svobodné slovo, Praha 1967.

Adam Georgiev, *Bulvár slunce* [Bulwar słońce], Petrklíč, Praha 2009.

*Hostie pekla* [Hostia piekła], Petrklíč, Praha 2008.

*Planeta samych chłopców*, przeł. Karol Furmański, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2010.

*Zabij mě Eliso* [Zabij mnie, Eliso], Petrklíč, Praha 2009.

Jan Halada, Mirko Ryvola, *Něžná revoluce v pražských ulicích*, Lidové nakladatelství, Praha 1990.

Helena Havlíčková, *Dědictví. Kapitoly zdějin komunistické perzekuce v Československu 1948-1989*. Votobia/Poznání, Olomouc 2002.

Bohumil Hrabal, *Czuły barbarzyńca. Teksty pedagogiczne*, przeł. Aleksander Kaczorowski, Świat Literacki, Izabelin 2003.

*Wesela w domu*, przeł. Piotr Godlewski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2001.

*Hrabal, Kundera, Havel... Antologia czeskiego eseju*, oprac. Jacek Baluch, Universitas, Kraków 2001.

Miroslav Ivanov, *Zamach na Heydricha*, przeł. Piotr Godlewski, Książka i Wiedza, Warszawa 1978.

Ivan M. Jirous, *Magorův zápisník* [Zapiski Świrusa], Torst, Praha 1997.

Aleksander Kaczorowski, *Europa z płaskostopiem*, Czarne, Wołowiec 2006.

Renata Kalenská, *Rozhovory na konci milénia* [Rozmowy na koniec wieku], Votobia, Praha 2001.

Zdeněk Kárník, *Malé dějiny československé (1867-1939)*, Dokořán, Praha 2008.

Marie Klečacká-Beyly, *Vzpomínky malostranské*, Akropolis, Praha 2008.

Ladislav Klíma, *Cierpienia księcia Sternenhocha*, przeł. Jacek Baluch, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

- Lidská tragikomedie* [Tragikomedia ludzka], Mat'a, Praha 2003.
- Velký román. Část 2. Bílá svině neboli konečné rozřešení problému o vzniku křesťanství* [Biała świnia], Pražská imaginace, Praha 1992.
- Natálie Kocabová, *Monarcha Absint* [Monarcha Absynt], Mladá fronta, Praha 2003.
- Pavel Kohout, *Kacica*, przeł. Józef Waczków, Muza, Warszawa 1995.
- Jan Konzal, Bob Fliedr, *Zpověd tajného biskupa*, Portál, Praha 1998.
- Robert Kulmiński, *Śmierć w Czechach. Wizje śmierci w prozie czeskiej 1945-1989*, Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2008.
- Milan Kundera, *Spotkanie*, przeł. Marek Bieńczyk, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2009.
- Benjamin Kuras, *Češi na vlasku. Příručka národního přežívání*, Baronet, Praha 1999.
- Lan Pham Thi, *Bílej kůň, žlutěj drak* [Biały koń, żółty smok], Knižní klub, Praha 2009.
- Tomáš Mazal, *Spisovatel Bohumil Hrabal*, Torst, Praha 2004.
- Olga Nesorová, *Reflexe smrti a pohřební obřady v současné české společnosti*, Doktorské studium antropologie, Praha 2008.
- Opowieści o zwyczajnym szaleństwie. Antologia najnowszej dramaturgii czeskiej*, wstęp Lenka Jungmannová, przeł. Krystyna Krauze, Oficyna Wydawnicza Atut, Wrocław 2006.
- Konrad Pustola, *Darkrooms*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2010.
- Tomáš Pospiszyl, *David Černý. Promrdaný roky - pravdivý příběh. Život a dílo umělce* [Przepieprzone lata], Divus, Praha 2003.
- Halina Pawłowska, *Charakter mlčel, mluwilo tělo* [Charakter milczał, mówiło ciało], Motto, Praha 2003.
- Dzięki za każdy nowy ranek*, przeł. Dorota Kania, w.a.b., Warszawa 2008.
- Hroši nepláčou* [Hipopotamy nie płaczą], Motto, Praha 2001.
- Proč jsem se neoběsila* [Dlaczego się nie powiesiłam], Motto, Praha 2003.
- Zdesperowane kobiety postępują desperacko*, przeł. Józef Waczków, w.a.b., Warszawa 2005.
- Petr Placák, *Kádrový dotazník*, Babylon, Praha 2001.
- Iva Procházková, *Myši patří do nebe (ale jenom na skok)* [Myszy idą do nieba

(ale tylko na chwilę], Albatros, Praha 2006.

Lenka Procházková, *Beránek*, Diderot, Praha 2000.

Iva Pekárková, *Lenka Procházková. Zvonek a pak chorál* [Dzwoneczek, a potem chorał], Millennium Publishing, Praha 2010.

Angelo Maria Ripellino, *Praga magiczna*, przeł. Halina Kralowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1997.

Jan Saudek, *Svobodný, ženatý, rozvedený, vdovec* [Wolny, żonaty, rozwiedziony, wdowiec], Slovart, Praha 2000.

Jaroslav Seifert, *Odlewanie dzwonów*, wybór Adam Włodek, przeł. Leszek Engelking, Marian Grześczak, Andrzej Czibor-Piotrowski, Józef Waczków, Adam Włodek, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990.

*Wszystkie uroki świata. Przypadki i wspomnienia*, przeł. Jacek Bukowski, Andrzej Czibor-Piotrowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1991.

Filip Sklenář, *Červené dlaždice* [Czerwony bruk], Agave, Praha 2005.

László Szigeti, *Drybling Hidegkuti, czyli rozmowy z Hrabalem*, przeł. Aleksander Kaczorowski, Świat Literacki, Izabelin 2002.

Jan Stern, *Mystiká Zapadu. Sociologické eseje* [Mistyka Zachodu], Malvern, Praha 2009.

Mariusz Surosz, *Pepiki. Dramatyczne stulecie Czechów*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2010.

Marie Svatošová, *Normální je věřit* [Wierzyć - to normalne], Karmelitanské nakladatelství, Praha 2009.

Radko Štastný, *Čeští spisovatelé deseti století*, HQ Kontakt, Praha 2001.

Zofia Tarajło-Lipowska, *Historia literatury czeskiej. Zarys*, Ossolineum, Wrocław 2010.

*Męczennik czeskiej prawdy. Karel Havlíček Borovský*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2000.

Karel Teige, *Svět, který se směje*, Akropolis, Praha 2004.

Jerzy Tomaszewski, *Czechy i Słowacja*, Trio, Warszawa 2008.

Jáchym Topol, *Siostra*, przeł. Leszek Engelking, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2003.

David Václavík, *Náboženství a moderní česká společnost*, Grada, Praha 2010.

Jiří Vančura, *Naděje a zklamání: Pražské jaro 1968*, Mladá fronta, Praha 1990.

Ivo Vodsed'álek, *Felixír života*, Host, Brno 2000.

Jan Žalman, *Umlčeny film*, KMa, Praha 2008.

### **Artykuły cytowane:**

Jan Faktor, *Vznik syntetické řeči v českých zemích* [Powstanie języka syntetycznego na ziemiach czeskich], „Literární noviny" nr 2, 3.01.1996.

Petr Pospíšil, *Chvála neslušnosti* [Chwała nieprzyzwoitości], „Nový prostor" nr 353/2010, 25.05.2010

Petr Třešňák, *Jdeme do lepšího. S lekarkou Marií Goldmannovou o smrti, vyhoření a pohřbech bez obřadu*, „Respekt" nr 42, 13-19.10.2008.

Jana Soukupová, *Můj otec Egon Bondy. Rozhovorse Zbyňkem Fišerem*, „Mladá fronta DNES", dodatek „Víkend", 12.06.2010.

Pavlina Formánková, Petr Koura, *Olgo, mohl by jít Václav s námi na písek. Rozhovor s Bárou Štěpánovou*, „Dějiny a současnost" nr 10/2008.

Mariusz Surosz, *Odwet na lodzie*, „Dziennik Polski" 7.05.2004.

# ***KONIEC***